

Orson Scott Card



UCIECZKA CIENIA

Prószyński i S-ka

Orson Scott Card

Ucieczka Cienia

SHADOWS IN FLIGHT

PRZEŁOŻYŁA: DANUTA GÓRSKA

V TOM Z CYKLU SAGA CIENIA

(2016)

*Dla Lynn Hendee, mądrej przewodniczki, współtwórczyni, prawdziwej
przyjaciółki*

W CIENIU OLBRZYMA

Statek gwiazdny „Herodot” opuścił Ziemię w 2210 roku z czwórką pasażerów. Jak najszybciej uzyskał niemal prędkość światła, a potem utrzymał ją i pozwolił działać względności.

Na „Herodocie” minęło zaledwie ponad pięć lat; na Ziemi upłynęło ich czterysta dwadzieścia j eden.

Na „Herodocie” troje trzynastomiesięcznych niemowląt stało się sześciolatkami, a Olbrzym przekroczył szacowaną długość swojego życia o dwa lata.

Na Ziemi wystrzelono statki kosmiczne w celu odnalezienia dziewięćdziesięciu trzech kolonii, poczynając od światów zasiedlonych niegdyś przez Formidów, i objęcia w posiadanie innych nadających się do zamieszkania planet, gdy tylko zostaną odkryte.

Na „Herodocie” sześciolatki były małe jak na swój wiek, ale bystre ponad swoje lata, podobnie jak Olbrzym w dzieciństwie, gdyż u całej czwórki aktywizowano klucz Antona, genetyczny defekt, dający jednocześnie pewną genetyczną przewagę. Ich inteligencja przekraczała poziom sawantów w każdej dziedzinie bez żadnych objawów autyzmu, ale ich ciała nie miały przestać rosnąć. Teraz były małe, lecz w wieku dwudziestu dwóch lat osiągną wzrost Olbrzyma, Olbrzym zaś dawno już będzie martwy. Ponieważ już teraz umierał. Po jego śmierci dzieci zostaną same.

W pomieszczeniu ansibla na „Herodocie” Andrew „Ender” Delphiki siedział na stosiku z trzech książek, leżącym na fotelu przeznaczonym dla dorosłych. W ten sposób dzieci obsługiwały główny komputer, który przetwarzał komunikaty poprzez ansibla, umożliwiając natychmiastową łączność „Herodota” ze wszystkimi sieciami komputerowymi dziewięćdziesięciu czterech światów Gwiezdnego Kongresu. Ender przeglądał właśnie sprawozdanie z terapii genetycznej, której wyniki wyglądały dość obiecująco, kiedy do pomieszczenia weszła Carlotta.

- Sierżant chce zwołać naradę - oznajmiła.
- Ty mnie znalazłaś - odparł Ender - więc on też może.

Carlotta spojrzała ponad jego ramieniem na ekran.

- Po co sobie tym zawracasz głowę? - zapytała. - Nie ma lekarstwa.

Nikt już nawet nie szuka.

- Lekarstwem będzie śmierć nas wszystkich - oświadczył Ender. - Wtedy syndrom Antona przestanie być znany rasie ludzkiej.

- Ostatecznie i tak umrzemy - stwierdziła Carlotta. - Olbrzym już umiera.

- Wiesz, że właśnie o tym chce rozmawiać Sierżant...

- No, w końcu musimy o tym porozmawiać, prawda?

- Niekoniecznie. Będziemy sobie z tym radzić, gdy się stanie.

Ender nie chciał myśleć o śmierci Olbrzyma, która powinna już przecież nastąpić. Dopóki jednak Olbrzym żył, Ender miał nadzieję go uratować. Albo przynajmniej przekazać mu dobre nowiny przed śmiercią.

- Nie możemy o tym rozmawiać przy Olbrzymie - powiedziała Carlotta. Przecież tutaj go nie ma - zauważył Ender.

- Ale wiesz, że może nas tu słyszeć, jeśli zechce.

Im więcej czasu Carlotta spędzała z Sierżantem, tym wyraźniej zachowywała się jak on. Paranoicznie. Olbrzym słucha...

- Jeśli teraz nas słyszy, wie, że odbędziemy spotkanie, i wie, w jakiej sprawie, więc będzie słuchał, gdziekolwiek pójdziemy.

- Sierżant czuje się lepiej, kiedy stosujemy środki ostrożności.

- Ja czuję się lepiej, kiedy mogę spokojnie pracować.

- Nikt w całym Wszechświecie nie ma syndromu Antona oprócz nas - przypomniała Carlotta - więc badacze przestali nad nim pracować, mimo że są na to środki. Pogódź się z tym.

- Oni przestali, ale ja nie - odparł Ender.

- Jak możesz go badać bez sprzętu laboratoryjnego, obiektów doświadczalnych, bez niczego?

- Mam niezwykle błyskotliwy umysł - rzucił Ender pogodnie. - Śledzę na bieżąco wszystkie genetyczne badania i łączę ich wyniki z tym, co już wiemy o kluczu Antona dzięki najlepszym naukowcom, którzy ciężko pracowali nad tym problemem. Dostrzegam powiązania, jakich ludzie nigdy nie zobaczą.

- My jesteśmy ludźmi - zauważyła Carlotta ze znużeniem.

- Nasze dzieci nimi nie będą, jeśli mi się uda - oświadczył Ender.

- „Nasze dzieci” to koncepcja, która nigdy się nie zrealizuje. Nie zamierzam się parzyć z żadnym z moich męskich krewnych, włącznie z tobą. Kropka. Nigdy. Na samą myśl o tym zbiera mi się na wymioty.

- Zbiera ci się na wymioty na myśl o seksie - sprecyzował Ender. - Ale

nie mówię o „naszych dzieciach” w sensie, że mamy się rozmnażać między sobą. Mówię o dzieciach, które będziemy mieli, kiedy ponownie dołączymy do rasy ludzkiej. Nie normalnych dzieciach, jak nasze dawno zmarłe rodzeństwo, które zostało z matką, łączyło się w pary i miało własne dzieci.

Mówię o dzieciach z aktywowanym kluczem, dzieciach małych i bystrych jak my. Gdybym znalazł sposób, żeby je wyleczyć...

- Ten sposób to pozbyć się wszystkich dzieci takich jak my i zostawić normalne, i puf, syndrom Antona znika. - Carlotta zawsze wracała do tego samego argumentu.

- To nie jest sposób na wyleczenie, tylko wytępienie naszego nowego gatunku.

- Nie jesteśmy odrębnym gatunkiem, jeśli wciąż możemy się krzyżować z ludźmi.

- Będziemy nim, jak tylko znajdziemy sposób, żeby przekazać naszą błyskotliwą inteligencję bez fatalnego gigantyzmu.

- Olbrzym jest zapewne równie inteligentny, jak my. Niech on popracuje nad kluczem Antona. A ty chodź, bo Sierżant się wścieknie.

- Nie możemy pozwalać, żeby Sierżant nam rozkazywał tylko dlatego, że tak się złości, kiedy go nie słuchamy.

- Och, co za odważne słowa - zadrwiła Carlotta. - Zawsze pierwszy się poddajesz.

- Nie tym razem.

- Gdyby Sierżant teraz tu wszedł, rzuciłbyś wszystko, przeprosił i pobiegł. Zwlekasz tylko dlatego, że mnie nie boisz się rozzłościć.

- A ty nie boisz się rozzłościć mnie.

- No chodź.

- Dokąd? Później do was dołączę.

- Jeśli ci powiem, Olbrzym usłyszysz.

- Olbrzym i tak nas wytropi. Jeśli Sierżant ma rację i Olbrzym szpieguje nas przez cały czas, nie mamy możliwości się ukryć.

- Sierżant myśli, że mamy.

- A Sierżant zawsze ma rację.

- Sierżant może mieć rację, a my możemy mu ustąpić. Nic nas to nie kosztuje. Nie cierpię pełzania przez kanały wentylacyjne - burknął Ender. - Wy dwoje to uwielbiacie, i w porządku, ale ja tego nie znoszę.

- Sierżant jest dzisiaj taki miły, że obejdzie się bez pełzania.

- Jakie miejsce wybrał?

- Jeśli ci powiem, będę musiała cię zabić - zażartowała Carlotta.
- Każda minuta, w której nie mogę prowadzić moich badań genetycznych, przybliża nas do śmierci.
- Mówiłeś już o tym i to świetny argument, ale go zignoruję. Pójdiesz na nasze spotkanie, choćbym miała cię zaciągnąć na nie siłą.
- Jeśli uważacie, że można mnie ignorować, zróbcie naradę beze mnie.
- I zastosujesz się do wszystkiego, co postanowimy z Sierżantem?
- Jeśli przez „zastosujesz się” rozumiesz: „zignorujesz całkowicie”, to tak. Wasze plany na nic innego nie zasługują.
- Jeszcze nie ułożyliśmy żadnych planów.
- Dzisiaj. Dzisiaj jeszcze nie ułożyliście żadnych planów.
- Wszystkie nasze poprzednie plany zawiodły, bo ich nie realizowałeś.
- Realizowałem każdy plan, z którym się zgadzałem.
- Przegłosowaliśmy cię, Ender.
- Dlatego nigdy się nie zgodziłem na zasadę większości.
- Kto więc rządzi?
- Nikt. Olbrzym.
- Olbrzym nie może opuścić luku towarowego. O niczym nie decyduje.
- Dlaczego więc ty i Sierżant tak się boicie, że nas podsłuchuje?
- Bo jemu zależy tylko na nas i nie ma nic innego do roboty, jak nas szpiegować.
- Prowadzi badania, tak jak ja - stwierdził Ender.
- Tego się obawiam. Wyniki: zero. Koszty: cały czas stracony.
- Zmienisz zdanie, kiedy wynajdę inwazjowirusa, który zanieśie lekarstwo na gigantyzm do każdej komórki twojego ciała, i osiągniesz normalny ludzki wzrost, a potem przestaniesz rosnąć.
- Przy moim szczęściu wyłączysz klucz Antona i zrobisz z nas wszystkich głupków.
- Normalni ludzie nie są głupi. Są po prostu normalni.
- I zapomnieli o nas - dorzuciła Carlotta z goryczą. - Gdyby nas znowu zobaczyli, pomyśleliby, że jesteśmy tylko dziećmi.
- Bo jesteśmy dziećmi.
- Dzieci w naszym wieku dopiero uczą się czytać, pisać i rachować - oświadczyła Carlotta. - My mamy za sobą ponad jedną czwartą przeciętnej długości życia. Jesteśmy odpowiednikiem dwudziestopięciolatek z ich gatunku.

Ender nie cierpiał, kiedy zwracała przeciw niemu jego własne argumenty.

To on się upierał, że są nowym gatunkiem, następnym etapem ludzkiej ewolucji, *Homo antoninis* czy może *Homo leguminensis*, po Olbrzymie, który w dzieciństwie przezywany był „Groszek”.

- Nie zobaczą nas znowu, więc nie potraktują nas jak dzieci - odparł Ender. - Nie zadowala mnie dwadzieścia lat życia ani śmierć z powodu niewydolności naszych serc. Nie zamierzam konać, walcząc o oddech, z obumierającym mózgiem, bo serce nie może mu dostarczyć dostatecznej ilości krwi. Mam pracę do wykonania i absolutnie nieprzekraczalny termin.

Carlotta wyraźnie miała dość słownej szermierki. Nachyliła się do Endera i szepnęła:

- Olbrzym umiera. Musimy podjąć pewne decyzje. Jeśli chcesz być z nich wyłączony, na zawsze, oczywiście olej to spotkanie.

Ender nie znośił myśleć o śmierci Olbrzyma. Oznaczałoby, że zawiódł, że wszystko, czego dowie się później, przyjdzie za późno. I coś jeszcze. Uczucie silniejsze od frustracji, że nie osiągnął celu. Ender czytał o ludzkich emocjach i najbardziej pasowałyby tu słowa „rozpacz” i „żał”. Nie mógł jednak o tym mówić, bo zdawał sobie sprawę, jak zareaguje Sierżant: „Ależ, Ender, chyba nie chcesz powiedzieć, że kochasz tego starego drania”. Miłość, jak wiedzieli, pochodziła ze strony ludzi, od matki, matka natomiast wolała zostać na Ziemi, żeby jej zwykłe ludzkie dzieci mogły prowadzić zwykłe ludzkie życie. Jeśliby więc coś znaczyła - jak dawno doszły do wniosku dzieci - zatrzymałaby przy nich matkę i ich zwyczajne rodzeństwo, wszystkich razem na tym statku, wszystkich razem szukających lekarstwa, nowego świata, wspólnego życia jako rodzina. Kiedy mieli niecałe dwa lata, powiedzieli to ojcu. Tak się rozgniewał, że zabronił im krytykować matkę. „To był słuszny wybór - oświadczył. - Nie rozumiecie miłości”. To wtedy przestali go nazywać ojcem. Sierżant miał rację: „To oni podjęli decyzję o rozbiciu rodziny. Jeśli nie mamy matki, to nie mamy również ojca”. Od tamtej pory mówili o nim „Olbrzym”. O matce zaś w ogóle nie wspominali.

Ale Ender o niej myślał. Czy kiedy odlecieliśmy, czuła to, co czuję teraz ja, myśląc o śmierci Olbrzyma? Rozpacz? Żał? Wybrali to, co było ich zdaniem najlepsze dla ich dzieci. Jak bowiem wyglądałoby życie normalnego rodzeństwa na tym statku, gdyby rodzina została razem? Byliby więksi niż Sierżant, Carlotta i Ender, ale czuliby się jak tępe woły, niezdolne dotrzymać kroku antoninom czy leguminotom... jakkolwiek w końcu postanowią się nazywać. Matka i Olbrzym mieli rację, że podzielili rodzinę. Mieli rację we

wszystkim. Ale Ender nie mógł tego powiedzieć Sierżantowi. Nigdy nie mówił Sierżantowi tego, czego ten nie chciał usłyszeć.

Tutaj, na „Herodocie”, rozgrywała się powtórka z historii ludzkości: najbardziej agresywne z trójki dzieci, najbardziej skłonne do gniewu i przemocy jak zawsze stawiało na swoim. Jeśli rzeczywiście jesteśmy nowym gatunkiem, pomyślał Ender, to tylko nieznacznie ulepszonym. Wciąż tkwią w nas wszystkie te nonsensy o samcu alfa, pochodzące od szympanśów i goryli.

Carlotta odwróciła się do niego plecami i ruszyła do wyjścia.

- Czekaj - odezwał się Ender. - Nie możesz mi powiedzieć, o co tu naprawdę chodzi? Dlaczego o wszystkim dowiaduję się zawsze w ostatniej chwili, kiedy wy dwoje już doszliście do porozumienia, i nie mam możliwości niczego sprawdzić ani nawet przygotować porządných argumentów?

Na plus Carlotty należy zapisać, że lekko się zmieszała.

- Sierżant robi, co chce.
- Ale zawsze ma w tobie sojusznika.
- W tobie też mógłby mieć, gdybyś ciągle mu się nie sprzeciwiał.
- Nie daję mi okazji, żebym się sprzeciwiał. Nie słucha. Jestem drugim samcem, nie rozumiesz? Ma ciebie pod kontrolą, a ja zagrażam układowi sił, bo zamierza być alfą.

Carlotta zmarszczyła brwi.

- Do godów jeszcze daleko.
- To już zależy od naszych obecnych wyborów. Myślisz, że Sierżant pogodzi się z odmową?

- Nie pozwolimy mu na to.
- My? - zapytał Ender. - Jacy „my”? Jesteście ty i on, a potem ja. Myślisz, że ty i ja nagle zmienimy się w „my” tylko dlatego, że chcesz uniknąć kaziroduktwa? Jeśli teraz nigdy nie mówisz o nas „my”, dlaczego zakładasz, że kiedyś zaryzykuję życie, żeby cię uratować?

Carlotta się zaczerwieniła.

- Nie chcę o tym rozmawiać.
Ale będziesz o tym myśleć, stwierdził Ender w duchu. Sprawilem, że zaczęłaś o tym myśleć, i już nie przestaniesz. Sojusze, które zawieramy teraz, przetrwają w przyszłości. Musimy podjąć decyzje, inaczej on będzie samcem alfa, ty będziesz jego oddaną partnerką, a ja - uległym samcem bez pary, wypełniającym tylko rozkazy alfy. Jeśli wcześniej mnie nie zabije.

- Posłuchajmy zatem, co Sierżant ma do powiedzenia - ustąpił Ender. -

Jeśli rzeczywiście nie masz o tym pojęcia.

- Naprawdę nie mam - zaprotestowała Carlotta. - On nie odkrywa przede mną swoich myśli bardziej niż przed tobą.

Ender nie zaprzeczył, ale nie była to prawda. Jeśli Carlotta rzeczywiście o niczym nie wiedziała, to zawsze tak szybko przedstawiała argumenty na poparcie każdej bzdury, jaką chciał przeforsować Sierżant, że sprawiała wrażenie, jakby zgadzała się z pomysłem Sierżanta, zanim ten jeszcze go przedstawił.

Wciąż jesteśmy naczelnymi. Zaledwie kilka genów różni nas od bezwłosych szympansów, które zaczęły gotować jedzenie, żeby kobiety zostały przy ognisku, podczas gdy ich monogamiczni partnerzy wyruszali na polowanie i przynosili mięso do domu, i zaledwie kilka genów więcej od owłosionych szympansów, które kopulują, kiedy tylko mogą, zwykle stosując przemoc, i żyją w strachu, żeby nie rozgniewać samca alfa. Tylko że my wymyślamy wyjaśnienia i usprawiedliwienia, manipulujemy innymi za pomocą słów, a nie demonstracji siły lub czułego iskania. Albo raczej nasze demonstracje siły i czułe iskanie to słowa, więc wymagają mniej energii, choć spełniają to samo zadanie.

- Udam, że ci wierzę - oznajmił Ender - żeby nie zdradzać, iż wiem, że moja obecność na spotkaniu z "Sierżantem" posłuży wyłącznie udowodnieniu jego dominacji nad naszym małym żałosnym plemieniem.

- Jesteśmy rodziną - sprostowała Carlotta.

- Nasz gatunek nie istnieje dostatecznie długo, żeby wykształcić więzi rodzinne - burknął Ender, żeby zwyczajnie ponarzekać.

Poszedł za nią na mostek, gdzie pchnęła ręczną dźwignię i otworzyła zejście do szybów konserwacyjnych otaczających przewodniki plazmy, kolektor silnika strumieniowego i soczewki grawitacji.

- Tak, posiedźmy tu przez kilka godzin i cała kwestia zapoczątkowania gatunku stanie się bezprzedmiotowa - stwierdził Ender.

- Ekranowanie działa. Poza tym i tak dużo nie zbieramy, więc zamknij się - rzuciła Carlotta.

Zeszli niżej, na poziom maszynowni, która była domeną Carlotty. Podczas gdy Ender

upierał się przy badaniach genetycznych, stanowiących wyłączny powód tej podróży, Carlotta stała się pokładowym ekspertem od mechaniki, plazmatyki, soczewkowania grawitacji i całego funkcjonowania statku. „To nasz świat - powtarzała często - więc powinniśmy wiedzieć, jak działa”. A

ostatnio przechwalała się: „W razie czego umiałabym zbudować cały statek od zera”. „To znaczy z części” - poprawił ją Sierżant. „Z rudy w górach na jakiejś nieodkrytej planecie - odparła.

- Z metali na dwóch asteroidach i komecie. Z wraku tego statku po zderzeniu z meteorem”. Sierżant się śmiał, ale Ender jej uwierzył. Teraz prowadziła ich z powrotem do dolnego laboratorium.

- Mogliśmy pójść korytarzem do górnego laboratorium i oszczędzić sobie łażenia po drabinkach - wytknął jej Ender.

- Olbrzym słyszy nasze kroki z górnego laboratorium.

- Myślisz, że nie słyszy wszystkiego wszędzie?

- Wiem, że nie - zapewniła Carlotta. - Na całym statku są takie martwe strefy.

- Które znasz.

Carlotta nie zwracała sobie głowy odpowiedzią. Oboje wiedzieli, że Enderowi właściwie jest wszystko jedno, czy Olbrzym ich słyszy, czy nie. To Sierżant chciał wszystko ukrywać czy przynajmniej wierzył, że ukrywa siebie.

Na rufie dolnego laboratorium znajdował się szyb windy, który prowadził do modułu podtrzymywania życia. Podczas faz silnego przyspieszania tył statku stawał się dnem głębokiej studni, a winda pozwalała zjechać do modułu podtrzymywania życia przy podstawie i wrócić. Ale w trakcie zwykłego lotu grawitacja była inaczej spolaryzowana, toteż szyb windy zmieniał się w zwykły chodnik, z ciężeniem wynoszącym jedną dziesiątą ziemskiego.

Luk ładunkowy statku, w którym mieszkał Olbrzym, ponieważ nigdzie indziej się nie mieścił, znajdował się bezpośrednio nad nimi. Toteż szli powoli, na palcach, starając się nie hałasować. Gdyby Sierżant ich usłyszał, wpadłby w furję, ponieważ to by znaczyło, że Olbrzym również ich słyszy.

Sierżanta nie było w module podtrzymywania życia, chociaż włączył wentylatory na pełną moc, żeby pompowały do przewodów natlenione powietrze i zagłuszały dźwięki. Ender nigdy nie mógł zdecydować, czy pachniało tu świeżością, czy zgnilizną - algi i porosty rosnące na setkach wielkich tac pod sztucznym słońcem nieustannie umierały, po czym ich protoplazmę wchłaniało następne pokolenie w cyklu bez końca.

- Wiesz, czego tu brakuje? - odezwała się Carlotta. - Zdechłej ryby. Żeby poprawić zapach.

- Nie wiesz, jak śmierdzi zdechła ryba - zauważył Ender. - Nigdy nie

widzieliśmy nawet ryby.

- Widziałam obrazki i we wszystkich książkach czytałam, że ryby brzydko pachną, kiedy się rozkładają.

- Gorzej niż gnijące algi.

- Tego nie wiesz - sprzeciwiła się Carlotta.

- Gdyby gnijące algi śmierdziały gorzej, przysłowie by mówiło: „Gość i algi zaczynają śmierdzieć po trzech dniach”.

- Żadne z nas nie wie, o czym właściwie rozmawiamy - zauważyła Carlotta.

- Ale wciąż rozmawiamy.

Ender spodziewał się zastać Sierżanta w Szczeniaku - po- jeździe technicznym zaprogramowanym przez Olbrzyma tak, żeby bez względu na wszelkie inne wydane instrukcje trzymał się w odległości pięciu metrów od pancerza „Herodota”. Ender wiedział, że Carlotta przez długie miesiące usiłowała spuścić Szczeniaka ze smyczy, ale nie mogła pokonać oprogramowania.

I właśnie takie rzeczy uświadamiały mu, jeśli nie pozostałym, że Olbrzym co najmniej dorównuje im inteligencją i ma przewagę wieloletniego doświadczenia. Wszystkie środki ostrożności Sierżanta nie miały sensu, ponieważ przy swojej nadwymiarowej konsoli w luku ładunkowym Olbrzym mógł robić, co tylko zechciał, mógł słyszeć, widzieć i prawdopodobnie nawet wachać, co tylko zechciał, a jego dzieci nic nie mogły na to poradzić, nawet sprawdzić, czy ich nie szpieguje.

Pozostała dwójka nie chciała w to wierzyć, ale Ender wiedział, że są dziećmi. Klucz Antona sprawiał, że ich mózgi wciąż rosły - a także mózg Olbrzyma. Jego obecna pojemność tak dalece przewyższała pojemność ich mózgów, że sama myśl o przechytrzeniu go zakrawała na żart. Lecz wybujała ambicja kazała Sierżantowi wierzyć, że nie tylko potrafi przechytrzyć Olbrzyma, ale już to zrobił.

Urojenia. Jedno z twoich dzieci jest szalone, Olbrzymie, i nie jestem to ja ani dziewczyna. Co zamierzasz z tym zrobić?

No dobrze, nie szalone. Tylko... wojownicze.

Podczas gdy Carlotta studiowała mechanikę statku, a Ender - ludzki genom i metody jego zmieniania, Sierżant zgłębiał tajniki broni, wojny i metody zadawania śmierci. Przychodziło mu to naturalnie. Olbrzym był niegdyś na Ziemi wielkim dowódcą wojskowym, może największym w historii, chociaż jeśli tak, matka niewiele mu ustępowała. Groszek i Petra -

najpotężniejsza broń w arsenale Hegemona, który zjednoczył świat pod jednym rządem. Należało się więc spodziewać, że wśród ich dzieci znajdą się takie o duszach wojowników. I taki był Sierżant.

Ale nawet Carlotta była bardziej wojownicza od Endera. Ender zaś nienawidził przemocy, nienawidził konfrontacji. Chciał tylko spokojnie pracować. Widział, jak któreś z rodzeństwa dokonuje czegoś niezwykłego, i nie pragnął mu dorównać ani go prześcignąć. Przeciwnie, był z niego dumny albo bał się o niego w zależności od tego, czy aprobował jego wyczyny.

Carlotta zdjęła wąski panel pod sufitem w szybie windy.

- Och, nie żartuj - zaprotestował Ender.
- Zmieścimy się bez trudu - zapewniła. - Nie masz chyba klaustrofobii?
- To pole soczewkowania grawitacji - zwrócił jej uwagę Ender. - I jest aktywne.

- To tylko grawitacja. Dziesięć procent ziemskiej. I jesteśmy ściśnięci między dwiema płytami, nie możemy spać.

- Nie cierpię tego uczucia.

Bawili się w tej przestrzeni jako dwulatki. To było jak kręcenie się w kołko aż do zawrotu głowy, tylko gorsze.

- Przeżyjesz - oświadczyła Carlotta. - Przetestowaliśmy to i dźwięk naprawdę tam zanika.

- Świetnie - mruknął Ender. - Jak będziemy słyszeć się nawzajem?

- Blaszone telefony - wyjaśniła Carlotta.

Oczywiście to nie były zabawki, które zmajstrowali, kiedy byli bardzo maleńcy. Carlotta już dawno je przerobiła w taki sposób, że bez żadnego źródła zasilania przesyłały dźwięk przez dziesięć metrów cienkiego kabla, nawet przeciągniętego za róg albo przyciśniętego drzwiami.

Oczywiście czekał tu na nich Sierżant. „Medytował” z zamkniętymi oczami, czyli według interpretacji Endera knuł, jak podbić wszystkie ludzkie światy, zanim umrze na gigantyzm jako dwudziestolatek.

- Miło, że przyszedłeś - rzucił Sierżant.

Ender go nie słyszał, ale czytał mu z ruchu warg, a poza tym dokładnie wiedział, co Sierżant powie w takiej sytuacji.

Wkrótce wszyscy połączyli się trójstronnie blaszanymi telefonami Carloty. Leżeli jedno za drugim, z odwróconymi głowami, Ender pomiędzy Sierżantem a Carlottą, żeby nie mógł w dowolnej chwili przerwać rozmowy i się wymknąć.

Jak tylko Ender wpłynął w pole grawitacyjne, ośladnęło nim znajome

wrażenie, że spada ze szczytu wodospadu albo skacze z mostu. „W dół w dół w dół” - mówiło jego poczucie równowagi. „Spadam!” - ostrzegł układ limbiczny, całkiem spanikowany. Przez pierwsze kilka minut Ender nie mógł się powstrzymać od młócenia rękami co jakieś dziesięć sekund w odruchu przerażenia, dlatego Carlotta przymocowała mu taśmą telefon do twarzy, żeby go nie stracił w kolejnym paroksyzmie.

- Zaczynamy - rzucił Ender ponuro. - Mam robotę, a to miejsce jest jak przedłużone umieranie.

- To podniecające - stwierdził Sierżant. - Ludzie płacą za zanurzenie w polu grawitacyjnym, żeby dostać kopa adrenaliny, a my mamy to za darmo.

Ender nie odpowiedział. Wiedział, że im bardziej będzie nalegał na pośpiech, tym dłużej Sierżant będzie zwlekał i mnożył dygresje.

- Tym razem zgadzam się z Enderem - oznajmiła Carlotta. - Zaprogramowałam turbulencję w soczewkach i teraz daje mi się we znaki.

Ender miał więc rację, że było gorzej niż zwykle. Po raz dziesięć tysięcy pożałował, że nie wytlukł kuso z Sierżanta, kiedy się pierwszy raz spotkali. Ustaliby wtedy inną kolejność dziobania. Zamiast tego uważnie słuchał matki, kiedy mu powtarzała, że inne dzieci są tak samo ich prawdziwymi dziećmi jak on, chociaż Ender naprawdę urodził się z ciała matki, a inne dzieci implantowano w łonach surogatek. Dla normalnych dzieci to nie miało większego znaczenia - nie pamiętały, że mieszkały gdzie indziej. Ale antoniny, jak Sierżant i Carlotta, były świadome wszystkiego już w wieku sześciu miesięcy. Pamiętały rodziny surogatek i czuły się obco z matką i ojcem.

Ender mógł je zastraszać i tyranizować, ale tego nie robił. Starał się nie okazywać, że uważa się za „prawdziwe” dziecko, chociaż - mając rok - oczywiście tak myślał. Sierżant zareagował na tę dziwną sytuację podkreśleniem swojego autorytetu i próbą przejęcia władzy. Na pewno dał się we znaki swoim zastępczym rodzicom przez pierwszy rok życia. Nie mieli pojęcia, co robić z dzieckiem, które przed ukończeniem szóstego miesiąca mówiło pełnymi zdaniami, w dziewiątym miesiącu życia wszędzie wchodziło i wszędzie się wspinało, a jako roczny maluch samo uczyło się czytać. Carlotta dla odmiany była powściągliwa. Jej przybrani rodzice mogli nie wiedzieć, ile potrafiła w tak młodym wieku. Kiedy ojciec i matka przywieźli ją do domu, okazywała nieśmiałość i szybko zostali z Enderem przyjaciółmi. Sierżant poczuł się zagrożony, wszystko więc zmieniał w zawody... albo w walkę.

Ender zasadniczo ignorował wojownicze zapędy Sierżanta. Niestety, Sierżant brał to za uległość. Lub za arogancję. „Nie współzawodniczysz, bo myślisz, że już wszystko wygrałeś”. Ale Ender nie myślał, że wygrał. Po prostu uważał współzawodnictwo z Sierżantem za bezsensowne zajęcie, stratę czasu. Żadna przyjemność bawić się z kimś, kto absolutnie musi wygrać, za każdym razem.

- Olbrzym nie spiesz się z umieraniem - zaczął Sierżant.

W tym momencie Ender zrozumiał cel całego spotkania.

Sierżant się niecierpliwił. Był synem króla, gotowym objąć tron. Ileż to razy w historii ludzkości odgrywano ten scenariusz?

- Co więc proponujesz? - zapytał, udając obojętność. - Wypompować powietrze z luku towarowego? Zatruc mu jedzenie albo wodę? A może zażadasz, żebyśmy wzięli noże i zadźgali go na śmierć w Senacie?

- Nie melodramatyzuj - uciął Sierżant. - Im większy się robi, tym trudniej będzie sobie poradzić z trupem.

- Otworzymy luk towarowy i wyrzucimy go w kosmos - zaproponowała Carlotta.

- Jak sprytnie - ocenił Sierżant z przekąsem. - Ponad połowa naszych substancji odżywczych jest uwięziona w jego ciele, co zaczyna wpływać na system podtrzymywania życia. Musimy odzyskać tę żywność, żebyśmy mieli co jeść i czym oddychać, kiedy sami urośniemy.

- Więc pokroimy go na steki? - rzucił Ender.

- Wiedziałem, że to powiesz - stwierdził Sierżant. - Nie zjemy go, nie bezpośrednio. Tylko potniemy i położymy na tacach. Bakterie go rozpuszczą i porosty zaczną rosnąć o wiele szybciej.

- A wtedy, hurra, podwójne porcje dla wszystkich! - zadrwił Ender.

- Proponuję tylko, żebyśmy przestali mu dostarczać pełną dzienną dawkę kalorii. Zanim się zorientuje, tak osłabnie, że nic nie będzie mógł zrobić.

- I tak nic by nie zrobił - zauważył Ender. - Jak tylko zrozumie, że chcemy go zabić, sam postanowi umrzeć.

- Melodramat! - parsknął Sierżant. - Nikt nie wybiera śmierci, chyba że jest szalony. Olbrzym chce żyć. I nie jest taki sentymentalny jak ty, Enderze. Zabije nas, zanim pozwoli się zabić.

- Nie zakładaj jednak, że Olbrzym jest równie zły, jak ty - odparł Ender. Carlotta pociągnęła go za stopę.

- Bądź miły, Enderze - poprosiła.

Ender już wiedział, jak to się rozegra. Carlotta wyrazi ubolewanie, ale zgodzi się z Sierżantem. Jeśli Ender spróbuje dać Olbrzymowi dodatkowe kalorie, Sierżant go pobije, a Carlotta nie będzie się wtrącać albo nawet pomoże go trzymać. Nie żeby bicie zwykle trwało długo. Ender po prostu nie chciał walczyć, więc się nie bronił. Po kilku ciosach zawsze się poddawał.

Ale to było co innego. Olbrzym i tak umierał. A to sprawiało Enderowi tyle bólu, że sama myśl o przyspieszeniu tego procesu była nie do wytrzymania.

Niczego nie do wytrzymania do tej pory nie proponowano, więc reakcja Endera zaskoczyła nawet jego. Nie. Zwłaszcza jego.

Głowa Sierżanta znajdowała się tuż obok Endera. Ender sięgnął w górę i z całej siły rąbnął nią o ścianę. Ręce Sierżanta natychmiast wystrzeliły do przodu, żeby rozpocząć walkę, ale Ender go zaskoczył. Zanim ręce Sierżanta zacisnęły się na ramionach Endera, ten zaparł się nogami po obu stronach szybu i walnął nasadą dłoni z całej siły w nos przeciwnika.

Nikt jeszcze nigdy nie zaatakował Sierżanta, więc ten nie przywykł do znoszenia bólu. Trysnęła krew i jej kuleczki rozprysły się we wszystkie strony w turbulencyjnym polu grawitacyjnym. To musiało boleć. Uścisk Sierżanta osłabł, a Ender słyszał, jak Sierżant wrzeszczy w furii do blaszanej puszk. Zwinął dłoń w pięść i wpakował kłykieć w oko Sierżanta. Sierżant ryknął. Carlotta wykręciła Enderowi stopę, krzycząc:

- Co ty robisz?! Co się dzieje?!

Ender stawiał jej opór i kantem dłoni uderzył Sierżanta w gardło. Sierżant zakrztusił się i zarzęził. Ender powtórzył cios. Sierżant przestał oddychać. Oczy miał wytrzeszczone z przerażenia.

Ender podciągnął się do przodu, aż jego usta znalazły się nad ustami Sierżanta. Przycisnął wargi do jego warg i dmuchnął, mocno. Krew i smarki z nosa Sierżanta dostały mu się do ust, ale nie mógł tego uniknąć. Jeszcze nie zdecydował, czy zabić Sierżanta. Racjonalna część jego umysłu znowu zaczynała dochodzić do głosu.

- Oto jak będzie - powiedział Ender. - Twoje rządy terroru się skończyły. Zaproponowałeś morderstwo i mówiłeś poważnie.

- On nie mówił poważnie - zaprotestowała Carlotta.

Ender machnął stopą do tyłu i trafił ją w usta. Krzyknęła, a potem tylko płakała.

- Mówił poważnie, a ty byś mu pomogła - oświadczył Ender. - Do tej pory znosiłem to gówn, ale teraz przekroczyliście granicę. Sierżancie,

niczym już nie dowodzisz. Jeśli znowu spróbujesz wydawać komuś rozkazy, zabiję cię. Zrozumiałeś?

- Enderze, on teraz zabije ciebie! - zawołała Carlotta przez łyzy. - Co w ciebie wstąpiło?

- Sierżant mnie nie zabije - odparł Ender - ponieważ Sierżant wie, że właśnie zostałem jego oficerem dowodzącym. Marzył, żeby mieć dowódcę, a Olbrzym nie chciał nim być, więc ja nim będę. Skoro nie masz własnego sumienia, Sierżancie, od tej pory ja nim będę. Bez mojego zezwolenia nie zrobisz niczego gwałtownego ani niebezpiecznego. Jeśli przyłapiesz się na myśli, żeby skrzywdzić mnie albo kogoś innego, dowiem się o tym, bo potrafię czytać w tobie jak w otwartej księdze.

- Wcale nie potrafisz - sprzeciwiła się Carlotta.

- Potrafię odczytywać język ludzkiego ciała tak, jak ty odczytujesz wskaźniki maszyny na statku, Carlotto - oświadczył Ender. - Zawsze wiem, co planuje Sierżant. Tylko nigdy wcześniej mnie to nie obchodziło na tyle, żeby go powstrzymać. Kiedy Olbrzym umrze, z własnej woli, w swoim czasie, zapewne zrobimy coś takiego, co proponowałeś, Sierżancie, bo nie możemy stracić tych substancji odżywczych. Ale nie potrzebujemy ich teraz i nie będziemy potrzebować jeszcze przez lata. Tymczasem zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby utrzymać Olbrzyma przy życiu.

- Nigdy mnie nie zabijesz - zachrypiał Sierżant.

Ojcobójstwo jest tysiąc razy gorsze od bratobójstwa - odparł Ender. - Nawet się nie zawaham. Nie musiałeś przekraczać tej granicy, ale zrobiłeś to i raczej wiedziałeś, jak postąpię. Może nawet chciałeś, żebym to zrobił. Przerazało cię, że nikt nigdy przed niczym cię nie powstrzymał. No więc to jest twój szczęśliwy dzień. Od tej pory ja będę cię powstrzymywał. Ciebie, twoją broń i twoje gry wojenne... Nauczyłem się, jak zniszczyć ludzkie ciało, i zapewniam cię, Sierżancie, że na stałe zmieniłem twój głos i twój nos. Za każdym razem, kiedy spojrzysz w lustro, za każdym razem, kiedy usłyszysz swój głos, przypomnisz sobie: Ender rządzi, a Sierżant robi to, co Ender mu każe. Jasne? Aby podkreślić efekt, chwycił za nos Sierżanta, z całą pewnością złamany. Sierżant wrzasnął, ale gardło tak strasznie go zabolalo, że zabulgotał, zakrztusił się i splunął.

- Olbrzym zapyta, co się stało Sierżantowi - ostrzegła Carlotta.

- Nie będzie musiał pytać - odparł Ender. - Zamierzam mu powtórzyć naszą rozmowę, słowo w słowo, a wy dwoje będziecie słuchać. Teraz cofnij się, Carlotto, żebym mógł wyciągnąć nędzne ciało Sierżanta z szybu i

zatomować krwawienie.

WIDZIEĆ PRZYSZŁOŚĆ

Groszek spoglądał na trójkę swoich dzieci i z najwyższym wysiłkiem ukrywał swój głęboki żal, swój strach o nie. Chociaż ulżyło mu, że Ender wreszcie obudził się ze swojego pacyfistycznego snu i zakończył dominację Sierżanta, zdawał sobie sprawę, że położyli w ten sposób podwaliny pod przyszły konflikt, którego wybuch był tylko kwestią czasu. Co się stanie, kiedy odejdę? - martwił się Groszek. Petro, kompletnie to sknociłem, ale nie wiem, co mógłbym zrobić lepiej. Miały za dużo wolności, lecz nie mogłem ścigać ich po korytarzach, w których moje ciało już się nie mieściło.

- Andrew - przemówił Groszek - doceniam twoją lojalność wobec mnie i fakt, że powtórzyłeś wszystkie rozmowy słowo w słowo, włącznie z tymi niewiarygodnie głupimi i niebezpiecznymi, które sam wypowiedziałeś.

Obserwował, jak Ender lekko się zaczerwienił - z gniewu, nie ze wstydu. Widział również, że Carlotta odetchnęła z ulgą, a twarz Cincinnatusa - Groszek nie cierpiał przydomka „Sierżant” - nagle zajaśniała triumfalną nadzieją. Te dzieci nie miały pojęcia, jakie są dla niego przejrzyste. Umiejętność odczytywania ludzkich reakcji wymaga czasu, nieważne, jak bystre jest dziecko. Ale mogły być w tym lepsze, niż Groszek podejrzewał. Co, jeśli dokładnie wiedzą, jakie emocje teraz zdradzają, i czynią to świadomie?

Petro, dostałaś łatwiejsze zadanie. Nigdy nie przypuszczałem, jakim wyzwaniem będzie wychowywanie dzieci tak głęboko zdeterminowanych, żeby przetrwać - jakkolwiek postanowią to nazwać - i tak nadnaturalnie wyposażonych w niezbędne ku temu umiejętności. Choć pewnie sam w tym wieku byłem lekko przerażający, jeśli ktoś zwróciłby na mnie uwagę. Gdyby Achilles chociaż trochę lepiej mnie rozumiał, zabiłby mnie, nie Buch. Ale Achilles był szalony i zabijał raczej z potrzeby niż z konieczności.

Enderowi wystarczyło opanowania, żeby nie bronić swojej postawy pomimo krytyki ani nie wysuwać dalszych oskarżeń przeciwko rodzeństwu. Stał tylko cierpliwie pomimo lekkiego rumieńca, który już zanikał.

- Bello - zwrócił się Groszek do Carlotty.
- Nie nazywam się tak - odparła nadąsana.
- Takie imię jest na twojej metryce urodzenia.
- W świecie, którego nigdy już nie zobaczę.

- Więc Carlotto - poddał się Groszek. - Chyba rozumiesz, że unikanie konfliktu poprzez nieustanne sprzymierzanie się z silniejszym bratem nie podziąła, ponieważ ci chłopcy są sobie równi.

- Nikt tego nie wiedział aż do dziś - burknęła Carlotta.

- Ja wiedziałem - oświadczył Groszek.

- Ja zaś wciąż nie wiem - rzucił Sierżant.

- Zatem twoje absurdalne samozadowolenie jest całkowicie nieuzasadnione, Cincinnatusie. Bardzo nieostrożnie założyłeś, że Ender jest tylko tym, kim się wydaje. Chociaż gdyby naprawdę był zabójcą, już byś nie żył, zaatakowany z zaskoczenia.

Sierżant błysnął mikroskopijnym uśmiechem.

- Nie, Cincinnatusie - podjął Groszek. - Fakt, że Ender nie jest zabójcą, nie znaczy, że cię nie zabije, jeśli uzna, że tak trzeba. Widzisz, ty jesteś napastnikiem, rywalem i nie rozumiesz, kim jest Ender: obrońcą, jak chłopiec, którego imieniem go nazwałem. Chociaż nie odczuwa potrzeby rządzenia innymi, nie pozwoli ci zabrać tego, czego nie chce ci dać... włącznie z moim życiem. I jego życiem.

- Dziękuję ci za lekcję, ojcze - powiedział Sierżant. - Zawsze robię się mądrzejszy po tych miłych pogawędkach.

Groszek ryknął - tak przeciągle i donośnie, że cały przedział towarowy zawibrował. Dzieci wyraźnie struchlały. Jeszcze nie tak dawno temu ukłękłyby przed nim, odruchowo - Groszek nigdy tego nie wymagał.

- Jesteś oskarżony o planowanie mojego morderstwa, Cincinnatusie. Może skromna próba okazania skruchy byłaby lepsza niż jawne zadzieranie nosa...

- I co zrobisz, ojcze? Zabijesz mnie? Wiesz, że miałem rację. Bezproduktywnie zużywasz nasze...

- Rozumiem, że jesteś jeszcze tak młody i tak mało wiesz, iż sądzisz, że już mnie nie potrzebujesz - powiedział Groszek - ale pewnego dnia powrócisz do wszechświata ludzi kompletnie nieprzygotowany na to, co tam zastaniesz, ponieważ w twojej bezbrzeżnej arogancji i nawet nie przyjdzie ci do głowy, że jest wielu ludzi, którzy ci dorównują albo cię przewyższają.

Sierżant milczał.

- Żyłem wśród nich. Jako dziecko przetrwałem na ulicach Rotterdamu wśród najbardziej zdiczających istot ludzkich, ale znalazłem wśród nich i istoty najlepsze, i najbardziej cywilizowane. Wiem, jak ludzie toczą wojny. Wiem, jak knują morderstwa. Wiem, co jest dla nich ważne... tysiące

rozmaitych rzeczy, o których nie macie pojęcia. Zabić mnie teraz, kiedy prawie niczego was nie nauczyłem...

- Dlaczego nas nie nauczyłeś? - zapytała Carlotta gwałtownie. - Nie powiedziałeś nam nawet tyle, żebyśmy wiedzieli, że wciąż za mało wiemy.

- Nie wydawaliście się gotowi ani zainteresowani - odparł Groszek. - Ale skoro moje serce może się zatrzymać w każdej chwili, chyba powinienem zacząć. Rozpocznijmy więc od tego: ludzie mają ci za złe, kiedy próbujesz ich zabić.

- Przepraszam, jeśli sprawiłem ci przykrość - powiedział Sierżant. Udawał skrucę już lepiej, ale wciąż mało przekonująco.

- Zwykle próbują cię zabić w odwecie. Jesteś bystry, Cincinnatusie, ale jesteś również mały. Przeciętny dziesięciolatek mógłby cię zabić bez większego wysiłku. Dorosły mógłby cię złamać w rękach.

- Mógłby? - powtórzył Sierżant. - Według moich badań istnieje silny opór przed zabijaniem niemowląt.

- Twoje badania zatem są nieadekwatne. Samce alfa pewnego typu zabijają dzieci instynktownie, przy najdrobniejszej prowokacji, i społeczeństwo dokłada wielu wysiłków, żeby ich od tego powstrzymać. Twoje zaś prowokacje wcale nie są drobne.

- Jesteśmy twoimi dziećmi - stwierdziła Carlotta. - Opowiadałeś nam historię Buch i Achillesa, jak poradziłeś Buch zabić Achillesa, kiedy po raz pierwszy go przyprowadziłeś do twojego jeeshu.

- Nazywaliśmy to rodziną... „Jeesh” to było co innego, później. I tak, radziłem jej zabić Achillesa i miałem rację, ponieważ Achilles był socjopatą i musiał zabić każdego, kto go upokorzył. Stanowił bezpośrednie zagrożenie. Dla bezpieczeństwa Buch i dzieci, które chronił, musiał umrzeć. Nie zabiła go, więc on w końcu ją udusił i wrzucił do Renu. Jak to się przekłada na naszą obecną sytuację?

- Zużywasz tyle naszych zasobów... - zaczął Sierżant.

- Zużywam dokładnie dwa razy tyle kalorii, ile przeciętny dorosły człowiek, a wasza trójka razem zużywa tyle, ile jeden dorosły, co w sumie stanowi odpowiednik trojga ludzi na statku, który może wyżywić dwudziestu dorosłych przez dziesięć lat albo pięciu przez czterdzieści lat.

Zdumiewa mnie twoje poczucie zagrożenia, Sierżancie. Dlaczego zależy ci, żebym umarł? Czy jestem zbyt uciążliwym tyranem?

- Wysunęłam argument - przypomniała Carlotta - a ty jak zwykle zrobiłeś dygresję, żeby porozmawiać z jednym z chłopców.

- Szkoda, że twoja matka przekazała ci dziedzictwo feminizmu. Przez to stałaś się drażliwa bez powodu, Carlotto. Przypomniałaś, że nalegałem na zabicie Achillesa, lecz najwyraźniej twój argument nie polegał na tym, że skoro jaw twoim wieku chciałem zabić niebezpiecznego wroga, ty powinnaś planować zabijanie ludzi...

Carlotta wydawała się skonsternowana.

- Chyba na tym polegał. W pewnym sensie.

- Odpowiedziałem na niego. Dlaczego nie słuchałaś? Na ulicach Rotterdamu rządziła zasada „zabij albo gin”. Gdybyśmy nie zabili Achillesa, on zabiłby nas. W końcu popełnił wiele okropnych czynów, zanim zginął. Przeciwnie mnie macie tylko moją... konsumpcję... więc skoro bawimy się w analogie, to przyszedłem do grupy Buch jako zagłodzony szkrab.

- Naszych rozmiarów - dodała Carlotta sceptycznie.

- Mniejszy - sprostował Ender. - Czytałem jego metrykę z czasu, kiedy zdawał do Szkoły Bojowej, a wtedy już jego grupa jadła dobrze od miesięcy. W porównaniu z nim jesteście wielkimi grubymi mięśniakami.

- Studiowałeś jego akta? - zdziwiła się Carlotta.

- Lizus - mruknął Sierżant.

- Stanowi jedyny przypadek syndromu Antona wcześniejszy od nas - oświadczył Ender. - To oczywiste, że przestudiowałem każdy strzępek informacji na temat jego fizycznego i umysłowego rozwoju.

- Kontynuując moją odpowiedź na niesłuszne porównanie Carlotty... - podjął Groszek. - Byłem dodatkową gębą do wyżywienia i nie wyglądałem, jakbym mógł coś wnieść do jej małej grupy. Buch mogła mnie wykopać... Mogli mnie pobić na śmierć tylko za to, że chciałem się do nich przyłączyć. Wiele grup tak postępowało, a nawet gorzej. Obserwowałem ją i zobaczyłem, że jest zdolna do miłosierdzia w granicach wyznaczanych przez brutalne warunki ulicznego życia. Stanowiłem wtedy dla nich realne zagrożenie: że uszczuplę ich zasoby i nie pomogę im zdobyć więcej - ale Buch mnie wysłuchała. Rozumiecie to? W sytuacji autentycznego zagrożenia nie zaczynała od zabijania. Dała mi szansę.

- I to miłosierdzie ją w końcu zabiło - stwierdził Sierżant.

- Nie miłosierdzie, które mi okazała - zapewnił Groszek.

- Owszem, miłosierdzie okazane tobie - nie ustępował Sierżant. - Przyjęła cię, bo przedstawiłeś jej swój plan, żeby wziąć jakiegoś większego chłopca na waszego obrońcę, żebyście mogli się dostać do jadłodajni na jeden porządny posiłek dziennie. Zgadza się?

Groszek zorientował się, dokąd Sierżant zmierza, ale pozwolił mu dokończyć.

- Zgadza się.
- I nawet zaproponowałeś Achillesa jako oczywisty wybór, bo był duży, ale kulawy, więc potrzebował grupy Buch, żeby pomogła mu zdobywać jedzenie, tak jak wy go potrzebowaliście, żeby was bronił przed łobuzami i złodziejami.

- Miałem rację pod każdym względem oprócz wyboru Achillesa, a ten wybór był błędem tylko z powodów, których nie mogłem znać, zanim nie zobaczyłem jego reakcji, kiedy go obezwładniliśmy i fizycznie podporządkowaliśmy.

- Ale gdyby od razu kazała swojej grupie cię przepędzić, nie zginęłaby. Groszek westchnął.

- Co dało się przewidzieć, Sierżancie? Mój plan zadziałał idealnie i wszyscy w grupie jedli lepiej. Może Buch żyłaby dłużej bez moich błędów, ale te dzieci, które ledwo żyły, z pewnością by umarły. Nie przewidziałem morderstwa... ale dokładnie zrozumiałem zasady rządzące społecznością.

- Myślę, że przykład Carlotty jest doskonały - oświadczył Sierżant. - Kiedy jesteś otoczony przez wrogów, musisz być bezlitosny.

Czas znowu ryknąć.

- Gdzie są twoi wrogowie, ty głupi szczeniaku?!

Sierżant się skulił, ale miał ikrę!

- Cały ludzki wszechświat! - odkrzyknął.

- Cały ludzki wszechświat nie wie, że istniejesz, i ma to gdzieś - stwierdził spokojnie Ender.

- Powinien wiedzieć! - Sierżant odwrócił się gwałtownie do brata. - Złożyli obietnice i ich nie dotrzymali! Porzucili nas!

- Nieprawda - zaoponował Groszek. - Ludzie, którzy składali te obietnice, dotrzymali ich, i następne pokolenie, i następne.

- Ale niczego nie znaleźli - wytknął mu Sierżant.

- Znaleźli ponad dwieście możliwości, które nie zadziałały, chociaż część z nich wciąż wygląda dość obiecująco. To bardzo dużo dla każdego, kto wie, jak działa nauka. Może musimy zbadać pięćset ślepych zaułków, zanim odkryjemy prawidłowe rozwiązanie? A oni ogromnie nam pomogli.

- Ale przestali. - Carlotta okazała się równie uparta, jak Sierżant.

- To nie znaczy, że są naszymi wrogami. Ostatecznie ani ty, Carlotto, ani ty, Sierżancie, nie zrobiliście absolutnie niczego, żeby pomóc Enderowi i

mnie w naszych badaniach. Zgodnie z waszym rozumowaniem jesteście naszymi wrogami tak samo jak oni, tylko wy ignorujecie w dodatku własny interes.

- Ten statek jest naszym światem! - zaprotestowała Carlotta gorąco. - Wszystko wskazuje na to, że spędzimy tutaj całe życie. Ktoś musi wiedzieć, jak naprawić i odbudować każdą jego część.

- Ja wiem - oznajmił Groszek.

- Ale ty nie możesz nic zrobić. Mieszkasz w tym pudle i boisz się każdego wysiłku, bo możesz dostać ataku serca i umrzeć.

- Mogę stąd zdalnie kontrolować Szczeniaka i zrobiłem to kilka razy, kiedy konieczne były naprawy.

- A kiedy umrzesz, kto to będzie robił? - zapytała Carlotta - Ja! Nie porzuciłam waszego projektu wyleczenia syndromu Antona, tylko pracowałam nad projektem równie ważnym dla naszego przetrwania.

- To prawda - przyznał Groszek - i pochwalam to. Nie powinienem wrzucać cię do jednego worka z Sierżantem, kiedy obróciłem przeciwko niemu jego własne oskarżenia.

- A ja się przygotowuję, żeby nas bronić przed wrogami - oznajmił Sierżant.

- To kompletne kuso - odparł Groszek. - Jakieś trzy dni zabrało ci rozgryzienie, jak zmienić wyposażenie statku w broń, i ćwiczysz po kilka minut dziennie, toteż jesteś wystarczająco silny i zwinny, żeby walczyć... jeśli przypadkiem trafimy na bardzo niskich wrogów, którzy nie zdołają cię zaskoczyć i będą atakować tylko po jednym, jak na widach. Przez resztę czasu fantazjujesz o nieistniejącym wrogu, a potem próbujesz wciągnąć rodzeństwo do swojego paranoicznego wszechświata.

- Kiedy napotkamy wroga, będziesz się cieszył, że poświęcałem czas...

- Wszyscy jesteście geniuszami - przerwał mu ostro Groszek. - Kiedy nadejdzie wróg, każde z was będzie umiało go przechytrzyć bez spędzania całych tygodni w tym absolutnym szaleństwie.

- Nazywasz mnie szaleńcem? - parsknął Sierżant. - Ty, wielki wojownik, który wprowadził Petera Wiggina na urząd Hegemona? - Odwrócił się do Endera. - Nie studiowałem metryki Olbrzyna, tylko jego bitwy.

- Nie wprowadziłem Petera na żaden urząd - zaprzeczył Groszek. - Pomogłem mu zdławić wojny, które groziły wyniszczeniem rasy ludzkiej, jak już pokonaliśmy Formidów.

- Skoro o tym mowa - podchwycił Sierżant. - Byłeś dwukrotnie

lepszym strategiem i taktykiem niż ten dzieciak, którego imieniem nazwałeś Endera.

- Ale nie byłem nawet w połowie tak dobrym dowódcą, bo nie potrafiłem nikogo kochać ani nikomu ufać, dopóki nie nauczyłem się tego od waszej matki, wiele lat później. Nie można dowodzić ludźmi na wojnie, jeśli im nie ufasz, i nie można pokonać wroga, jeśli go nie kochasz.

- Nie muszę nikim dowodzić w bitwie, bo nie mam kim. Jestem tylko ja.

- Nie masz kim dowodzić, ale całe życie dyrygujesz i manipulujesz swoim genialnym rodzeństwem. Przeciwnieństwo dobrego dowódcy? Tyran, który za bardzo się boi wyimaginowanych zagrożeń, żeby rozpoznać racjonalną radę, kiedy ją słyszy.

- Najgorsze, co zrobiła matka w swoim życiu, to zostawienie cię, żebyś sam nas wychowywał - rzucił Sierżant. - Jeszcze mnie znieważasz.

- Jak śmiem - zadrwił Groszek. - Syn spiskuje, żeby mnie zamordować, a ja śmiem go znieważać! Głupio postępujesz i zasłużyłeś na miano głupca. Popatrz na siebie: rzekomo przygotowujesz się, żeby stawić czoło każdemu wrogowi. A twój brat właśnie rozkwaśił ci nos i zmiażdżył gardło, więc wyglądasz jak pomidor i skrzypisz jak zardzewiały zawias.

- Rzucił się na mnie bez ostrzeżenia! - krzyknął Sierżant.

- Znowu głupota - ocenił Groszek. - Wprowadziłeś do naszego małego świata całkiem nowy element: morderstwo ojca Endera. I tak beznadziejnie słabo go znałeś, że nawet nie przyszło ci do głowy, że zareaguje na tę groźbę inaczej niż na wszystkie twoje poprzednie próby tyranizowania ich.

- Ender nie był moim wrogiem - bronił się Sierżant.

- On jest twoim jedynym wrogiem, odkąd go pierwszy raz spotkałeś, kiedy Pet ra i ja wreszcie odnaleźliśmy was wszystkich i zebraliśmy razem, gdy miałeś rok. Drugi męski antonin. Rywal. Od pięciu lat nie robisz nic innego, tylko starasz się go wziąć pod but. Wszyscy twoi wyobrażeni wrogowie to substytuty Andrew Delphiki. Obmyślałeś dla niego jedno upokorzenie za drugim, zmanipulowałeś swoją siostrę, żeby sprzymierzyła się z tobą przeciwko niemu. I oto smutny rezultat. Ender i Carlotta to produktywni członkowie naszej małej czteroosobowej społeczności, podobnie jak ja. Ale ty, Cincinnatusie Delphiki, zużywasz nasze zasoby, nie tworzysz niczego wartościowego i zakłócasz funkcjonowanie innych. Nie wspominając o zbrodnicy spisku i próbie popełnienia morderstwa pierwszego stopnia.

Ku zdumieniu Groszka oczy Sierżanta wypełniły się łzami.

- Nie prosiłem, żebyś mnie zabrał w tę podróż! Nie chciałem lecieć! Nie lubiłem cię, lubiłem Petrę. Ale ty nigdy nie zapytałeś, czego chcę!

- Miałeś dopiero rok - odparł Groszek.

- Co to znaczy dla antonina?! Ty nie miałeś nawet roku, kiedy uciekłeś z laboratorium, gdzie się pozbywano takich eksperymentów jak ty! Mogliśmy mówić, mogliśmy myśleć, mogliśmy odczuwać, a ty i Petra nawet nie spytałeś, po prostu wyrwaliście nas z naszych domów i ogłosiliście, że jesteście naszymi prawdziwymi rodzicami. Ten wielki brzydki olbrzym i ormiański geniusz wojskowy. Chciałem zostać z rodziną, która mnie wychowywała, z kobietą, którą nazywałem matką, ze zwyczajnym, ciężko pracującym mężczyzną, którego nazywałem ojcem. Ale nie, ty i twoja żona wzięliście nas sobie. Jak niewolników! Wysłani tu, zabrani tam... Wasza własność. I gdzie skończyłem? W kosmosie, z podświetlną prędkością, podczas gdy reszta ludzkiej rasy przemieszcza się w czasie osiemdziesiąt pięć razy szybciej od nas. Każdy rok naszego życia to całe życie dla członków ludzkiej rasy. I ty mi mówisz o moich zbrodniach? Powiem ci, dlaczego chciałem twojej śmierci. Ukradłeś mi mojej prawdziwej rodzinie! Dałeś mi twój parszywy klucz Antona, a potem odebrałeś mi wszystkich, którzy się o mnie troszczyli, i zamknąłeś mnie tutaj, bezwładny olbrzym, z dwójką mięczaków, którzy nawet nie rozumieją, że są niewolnikami!

Groszek nie miał odpowiedzi. Przez całe pięć lat tej podróży nigdy nie przyszło mu do głowy, że dzieci mogą pamiętać kobiety, które je urodziły. Nie mogły wiedzieć, że wykradziono je jako embriony i rozproszono po świecie, umieszczając w ciałach kobiet, które nie miały powodów podejrzewać, że noszą w sobie potomstwo wielkich generałów, Juliana Delphiki i Petry Arkanian, poczęte *in vitro*.

- No tak... - mruknął wreszcie. - Cholera. Dlaczego wcześniej nic nie powiedziałeś?

- Bo do tej pory nie wiedział, że właśnie to go wkurza - wyręczył brata Ender.

- Wiedziałem przez cały czas! - próbował krzyknąć Sierżant, ale teraz już całkiem stracił głos. Tylko chrypiało mu w gardle.

- Nie będziesz mógł mówić normalnie przez miesiąc - skomentowała Carlotta sucho.

- Wszystkie nasze pierwsze rodziny były głupie - powiedział Ender - i

bały się nas. Twoja nie była wyjątkiem. Rodzice nie chcieli cię nawet dotykać. Uważali cię za potwora, sam nam mówiłeś.

- A czym jest ta rodzina? - szepnął Sierżant gwałtownie. - Ojciec to gadająca góra w ładowni, a matka to hologram, który powtarza to samo w kółko i w kółko, w kółko i w kółko.

- Nic nie może na to poradzić - zauważyła Carlotta. - Nie żyje.

- Tamci mogli ją poznać, mieszkali z nią, rozmawiali z nią codziennie - ciągnął Sierżant. - My mamy Olbrzyna.

Groszek odchylił się i spojrzał na sufit. Potem zamknął oczy, bo i tak niczego nie widział. Spod zaciśniętych powiek wypłynęły łzy.

- To była okropna decyzja - powiedział cicho. - Cokolwiek byśmy zrobili, wyszłoby źle. Nie rozmawialiśmy o tym z wami, ponieważ mieliście za mało doświadczenia, żeby dokonać inteligentnego wyboru. Byliście skazani na śmierć w wieku około dwudziestu lat. Myśleliśmy, że znajdziemy lekarstwo szybko... za dziesięć lat, dwadzieścia... i będziecie mogli wrócić na Ziemię - wciąż tak młodzi, żeby mieć całe życie przed sobą.

- Ten genetyczny problem jest bardzo skomplikowany - przyznał Ender.

- Gdybyśmy zostali na Ziemi, od dawna byście nie żyli. Wasze normalne rodzeństwo dożyło ilu, stu dziesięciu lat?

- Dwoje z nich - potwierdził Ender. - Wszyscy przekroczyli setkę.

- A wy troje bylibyście odległym smutnym wspomnieniem... Rodzeństwo z tragicznym defektem genetycznym, które przeżyło tylko jedną piątą długości przeciętnego życia.

- Jedna piąta życia jest lepsza niż to - szepnął Sierżant.

- Wcale nie - zaprzeczył Groszek. - Przeżyłem ją i to nie wystarcza.

- Zmieniłeś świat - powiedział Ender. - Dwa razy go ocaliłeś.

- Ale nigdy nie zobaczę, jak zakładacie własne rodziny.

- Nie martw się - pocieszyła go Carlotta. - Jeśli Ender i ty nie znajdziecie lekarstwa, nigdy nie będę miała dzieci. Nie przekażę tego nikomu.

- Właśnie o to mi chodzi - powiedział Groszek. - Kiedy Petra i ja cię poczęliśmy, wierzyliśmy, że pewien naukowiec potrafi rozwiązać problem. To właśnie on przekręcił we mnie klucz Antona. I to on zabił wszystkie pozostałe eksperymenty. My nigdy nie chcieliśmy tego wam zrobić. Ale stało się i myśleliśmy tylko o tym, jak wam dać prawdziwe życie.

- Twoje życie jest prawdziwe - powiedział Ender. - Takie życie by mnie zadowoliło.

Mieszkam w skrzyni, z której nie mogę wyjść - warknął Groszek, zaciskając dłonie w

pięści. Nigdy nie zamierzał się skarżyć. Użalanie się nad sobą było nieznośnie upokarzające. Ale cała trójka musiała zrozumieć, że postąpił słusznie, robiąc wszystko, żeby nie zostali oszukani tak jak on. - Co z tego, że spędzicie pierwsze pięć czy dziesięć lat życia w kosmosie, jeśli to wam zapewni następne dziewięćdziesiąt lat... i dzieci, które dożyją setki, i wnuki...? Ja nigdy tego nie zobaczę... ale wy tak.

- Nie, nie zobaczymy - odszepnął Sierżant. - Lekarstwo nie istnieje. Jesteśmy nowym gatunkiem o długości życia wynoszącej dwadzieścia dwa lata, najwyraźniej. Pod warunkiem że spędzimy ostatnie pięć lat w dziesięcioprocentowej grawitacji.

- Dlaczego więc chcesz mnie zabić? - zapytał Groszek. - Czy moje życie nie jest według ciebie dość krótkie?

W odpowiedzi Sierżant uczeplił się rękawa Groszka i zapłakał. Ender i Carlotta chwycili się za ręce i patrzyli. Groszek nie wiedział, co czują. Nie wiedział nawet, dlaczego Sierżant płacze. Nigdy nikogo nie rozumiał. Nie był Enderem Wigginem. Ale od czasu do czasu go namierzał, śledził poprzez ansibl w sieciach komputerowych i wydawało mu się, że Ender Wiggin też nie miał najlepszego życia. Samotny, bezdzietny, latał z planety na planetę i nigdzie nie zatrzymywał się dłużej, a potem wracał do szybkości światłnej, toteż pozostawał młody, podczas gdy rasa ludzka się starzała. Całkiem jak Groszek. Ender Wiggin i ja dokonaliśmy tego samego wyboru: trzymać się z dala od ludzi.

Dlaczego Ender Wiggin chował się przed życiem, Groszek nie potrafił odgadnąć. Sam miał krótkie słodkie małżeństwo z Petrą, miał te nieszczęsne, piękne, niemożliwe dzieciaki. Ender zaś nie miał nic.

To dobre życie, myślał Groszek, i nie chcę, żeby się skończyło. Co się stanie z tymi dziećmi, kiedy odejdę? Nie mogę ich teraz zostawić, nie mam wyboru. Kocham je bardziej, niż potrafię znieść, ale nie mogę ich ocalić. Są nieszczęśliwe, a ja nie potrafię tego zmienić. Dlatego płaczę.

OBSERWACJA NIEBA

Carlotta wykonywała kalibracje grawitacyjne w podstawie pola na samym końcu statku, kiedy Ender wszedł do modułu podtrzymywania życia, znajdującego się tuż nad tym miejscem. Albo tuż przed nim, zależy, jak popatrzeć na statek.

Soczewkowanie grawitacji tak bardzo wszystko komplikowało. Tace porostów, alg i bakterii, które wytwarzały tlen oraz podstawowy materiał używany w procesorach żywności, musiały pozostać poziome bez względu na to, co się działo ze statkiem. Podczas przyspieszania nie trzeba było nic robić - inercja nadawała tacom właściwą orientację, „dołem” w stronę rufy. Ale podczas zwykłego lotu uprawy stałyby się nieważkie, dlatego należało skonfigurować pole soczewkowania grawitacyjnego tak, żeby zapewnić im niezmienną pozycję. Ponieważ jednak porosty potrzebowały co najmniej połowy normalnej ziemskiej grawitacji, a w luku towarowym tuż przed - lub ponad - modułem podtrzymywania życia już połowa g zabiłaby ojca w godzinę - jego serce by nie wytrzymało - konieczne były ciągłe poprawki. Soczewkowali grawitację z tysięcy gwiazd i musieli nieustannie ją dostosowywać w miarę zbliżania się do najbardziej masywnych z nich lub oddalania.

Carlotta wzięła na siebie obowiązek pilnowania, żeby wskaźniki grawitacji zawsze były idealnie skalibrowane, dzięki czemu komputery pracowały na dokładnych danych o przyptywach grawitacyjnych i soczewkowanej grawitacji w różnych częściach statku. Okablowała ładownię tyloma zabezpieczeniami, że alarmy włączały się przy najmniejszej zmianie sił ciężenia oddziałujących na ojca. Tutaj, w module podtrzymywania życia, tolerancja była znacznie większa, ale Carlotta i tak cały czas musiała pilnować, żeby porosty podlegały dostatecznie dużej grawitacji, aby nie wyrastały pionowo i nie zacieniały tac, bo wtedy algi na najniższych ich poziomach nie mogłyby fotosyntetyzować.

Każda taca przypominała w gruncie rzeczy sześciocentymetrowy las deszczowy, z porostami zamiast drzew, których misterna korona wznosiła się na tyle, na ile pozwalała grawitacja, przepuszczając światło do wolno płynącej na dole rzeki, gdzie kilka gatunków alg tworzyło minihabitaty dla setek rozmaitych bakterii, żyjących w wiecznie zmiennej

symbiozie. Wszystkie przetworzone odchody czterech istot ludzkich - większość pochodziła od ojca, chociaż udział dzieci nie był już bez znaczenia - wkraplano na tace w dość stałym tempie, a bakterie miały za zadanie rozłożyć każdą kroplę na odżywczą zupę, którą mogły się karmić algi i na końcu porosty. Bakterie zjadały również gnijące porosty, algi i siebie nawzajem. To był świat wzajemnie pożerających się istot, ale starannie ograniczony, żeby nic się nie zmarnowało. Potem tace jedna po drugiej były automatycznie wysuwane, zbierano z nich większość porostów i trochę alg, a następnie odstawiano na dwutygodniowe odrastanie. To, co zebrano, stawało się jedzeniem.

Gdyby ludzi było więcej, proces zachodziłby znacznie szybciej - opróżniano by do dziesięciu tac dziennie, ale wtedy więcej odchodów użyłniałoby tace, więc odrastanie też przebiegałoby szybciej.

Do systemu należało również wpuszczać nieodnawialne pierwiastki śladowe, które się wyczerpywały. To była delikatna równowaga, ale mogła przetrwać stulecia, pod warunkiem że dbano o maszyny, a grawitacja i przyspieszenie nie przekraczały ustalonych granic.

Istniał jeszcze ogród zielony, którym trzeba się było opiekować. Nie był tak zautomatyzowany, jak system podtrzymywania życia, a bez niego jedzenie stanowiłoby niesmaczną papkę na niesmacznych plackach. Carlotta podjęła się również tego zadania, odkąd ojciec nie mógł się już dostać do ogrodu. Poza tym miał tak duże dłonie, że z trudem manipulował listkami ziół. Pod koniec swojej ogrodniczej kariery na statku wyrывał właściwie tyle samo, ile zbierał, więc uprawy ucierpiały.

Chłopcy chętnie zostawili Carlocie wszystkie prace konserwacyjne. W rezultacie, stwierdziła z mieszaniną dumy i rozgoryczenia, niezauważalnie przypisali jej tradycyjną rolę kobiety: gotowanie i sprzątanie. Trzeba było dyscypliny, żeby powtarzać w kółko te same czynności i nigdy nie pozwalać sobie na lenistwo czy niedbalstwo. A Carlotta nie miała pewności, czy może powierzyć to zadanie któremukolwiek z braci. Nie wiedziała, czy wynika to z gatunkowej różnicy płci, czy po prostu z charakterów ich trojga, ale Ender, chociaż zdolny do nieskończonej cierpliwości w swoich badaniach, zawsze musiał mieć przed sobą cel i widzieć zakończenie, natomiast Sierżant miał okres skupienia... no cóż, sześciolatka. Zresztą Carlotta doszła do wniosku, że z nich trojga Sierżant jest najbardziej ludzki - najbardziej przypomina zwykłe dziecko. Był mniej stabilny emocjonalnie, potrzebował nieustannej stymulacji i ciągłych zmian, akcji. A właśnie tego życie na statku

nigdy nie zapewniało. Nigdy nie zdarzały się kryzysy. Badania Endera przynosiły rezultaty - zwykle negatywne - w tempie ruchów lodowca, natomiast konserwatorskie prace Carlotty nie powodowały żadnych zmian, jedynie pogłębiały jej wiedzę praktyczną i teoretyczną o wszystkim, co dotyczyło statku. Biedny Sierżant. Musi strasznie cierpieć z powodu tej nudy. Nic dziwnego, że ciągle fantazjuje o zagrożeniach i wrogach. Trzeba przyznać, że zabicie ojca było na razie najbardziej szokującym z jego sfabrykowanych kryzysów, postępek krańcowo głupim i niecywilizowanym, ale właśnie coś takiego mogło wymyślić dziecko. A kiedy Ender rozkwaśił mu nos i prawie go udusił, Sierżant zaznał wreszcie swojej wymarzonej grozy. Gdy jednak wyzdrowieje, jego znudzenie i frustracja będą znowu narastać. Co wtedy wymyśli? Pewnego dnia stanie się coś okropnego. Na statku było po prostu za mało ludzi, żeby urozmaicić życie.

- Sierżant potrzebuje psa - stwierdziła Carlotta.

Ender podskoczył.

- Co ty tam robisz na dole?

- Pracuję - odparła Carlotta. - A co ty robisz?

- Pobieram próbki. Od dawna zajmujemy się wirusami do składania genów, ale teraz prowadzimy badania nad latencją bakterii i chemicznymi wyzwalaczami. Największy problem to zmiana wszystkich komórek ciała jednocześnie i powstrzymanie układu immunologicznego przed odrzuceniem siebie po zmianie. Mamy tu na tacach niektóre z tych bakterii i zamierzam spróbować połączenia ich cech z niektórymi z naszych bakterii jelitowych, żeby zobaczyć, czy mogą wpływać na ich techniki.

Wydawał się taki szczęśliwy.

- Wiesz, że Sierżant nigdy nie zapomni, co się wtedy stało.

- Że go stłukłem na kwaśne jabłko? Nie spodziewałem się, że zapomni - odparł Ender. - Właściwie liczyłem, że to zapamięta.

- Pobiłeś go tylko dzięki zaskoczeniu. Nigdy więcej ci na to nie pozwoli.

Ender westchnął i nie odpowiedział.

- Sierżant potrzebuje psa - powtórzyła Carlotta.

- Teoretycznie mogłbym chyba zrekapitulować całą historię ewolucji i skonstruować jakieś małe zwierzątko, z którym mógłby się bawić, ale zabrałoby to więcej czasu niż nasza przewidywana długość życia... I zapewne wyhodowałbym tylko coś w rodzaju kalmara. Stworzenie strunowej formy

życia trwałoby jeszcze dłużej i raczej nie mógłbym zagwarantować rezultatu.

- On potrzebuje czegoś, co mógłby kochać i jednocześnie kontrolować - oznajmiła Carlotta.

- Myślałem, że po to ma ciebie - zauważył Ender.

- On mnie nie kontroluje.

- Naprawdę? - rzucił. - Widocznie marionetka nie widzi sznurków.

- Widzę wszystko to, co ty - oświadczyła Carlotta. - To, co nazywasz sznurkami, ja postrzegam jako mój nieustanny wysiłek, żeby uchronić Sierżanta przed szaleństwem.

- Możemy chyba przyjąć, że jego plan zamordowania Olbrzyma świadczy o całkowitym niepowodzeniu tych wysiłków.

- Nie pozwoliłabym mu tego zrobić - zapewniła Carlotta.

- A kiedy go powstrzymałaś przed czymkolwiek?

Pogarda w głosie Endera sprawiła, że Carlotta zapragnęła go zranić. Tylko trochę. Może biopsja wątroby we śnie? Mała rana, intensywny ból, szybkie wyzdrowienie.

- Gdybyś raczył się kontaktować z kimkolwiek, kto nie zajmuje się genetycznymi badaniami setki lat świetlnych stąd, wiedziałbyś, ile szalonych planów mu wyperswadowałam. O tym dowiedziałeś się tylko dlatego, że niczego mi nie wyjawiał, dopóki nie wyskoczył z tym do ciebie, a ty złamałeś mu nos.

- Należało mu się - stwierdził Ender.

- Osiągnąłeś tylko tyle, że stałeś się jego największym wrogiem. Pilnuj się, Enderze.

- Skierowałem już część mojej uwagi na śledzenie poczynąń Sierżanta.

- On cię tak bardzo wyprzedza, że cokolwiek śledzisz, zapewniam cię, że to nie Sierżant. A raczej zobaczysz tylko to, co on zechce ci pokazać.

- Ale z tego też mogę się dużo dowiedzieć. Carlotto, nie mam w tej chwili głowy do tego. Wolałbym odłożyć naszą pogawędkę na bardziej dogodną chwilę.

- Sierżant potrzebuje czegoś, nad czym mógłby pracować.

- Sierżant nie potrafi pracować nad niczym, co nie obejmuje aktów przemocy albo walki na śmierć i życie.

- Właściwie my oboje też nad tym pracujemy, jeśli się zastanowić - oświadczyła Carlotta. - Ty próbujesz pokonać nasz genetycznie zakodowany gigantyzm, zanim również nas wygna do ładowni, a ja próbuję zapewnić sprawne funkcjonowanie wszystkich systemów statku, żebyśmy nie zginęli

wskutek jakiegoś wypadku czy awarii.

- Właśnie o tym mówię - podchwycił Ender. - Sierżant mógłby zajmować się naprawdę ważnymi rzeczami, gdyby tylko się przyłożył. Jest dostatecznie bystry... W ciągu kilku miesięcy mógłbym go wprowadzić w najnowsze badania genetyczne.

- On nie chce pracować dla ciebie ani dla mnie. Sierżant nie jest urodzonym podwładnym.

- Jak większość paranoidalnych schizofreników.

- Nigdy nie mów takich rzeczy - obruszyła się Carlotta. - To prawdziwa choroba, której Sierżant nie ma, i jeśli zaczniesz o nim myśleć w ten sposób...

- Czy ty nie masz ani odrobiny poczucia humoru? - przerwał jej Ender.

- To, co życie na statku robi z Sierżantem, wcale nie jest zabawne.

- Gdybym nie żartował - powiedział Ender - musiałbym go brać poważnie, co odrywałoby mnie od pracy.

- Miałam nadzieję, że pomożesz mi wymyślić coś, co ułatwi Sierżantowi znoszenie życia tutaj. On cierpi z powodu samotności bardziej niż ty i ja. Jest bardziej podobny do ojca.

- Olbrzym i Sierżant? Nigdy o tym nie myślałem, ale chyba masz rację. Sierżant powinien żyć na ulicy, gdzie nieustannie groziłaby mu śmierć głodowa i w każdej chwili mógłby zostać zabity. Nareszcie miałby zajęcie. Tak naprawdę więc nie chcesz psa dla Sierżanta. Raczej tygrysa szablozębnego. Czegoś, co wciąż by na niego czyhało, żeby mógł się zająć zwalczaniem prawdziwych zagrożeń, a nie urojonych.

- Myślałam raczej o towarzyszu, który rozszerzy granice jego życia poza statek.

- Pies na innym świecie? - zdziwił się Ender.

- W świecie ludzi mamy tyle pieniędzy, że to aż śmieszne. Ten facet Graff zajął się finansami ojca tak sprytnie, że nikt tam nie ma pojęcia, jacy jesteśmy bogaci.

- Wszystkie pieniądze, których potrzebujemy, zmieszczą się w mojej garści - powiedział Ender.

- Teraz nie mamy dla nich zastosowania - zgodziła się Carlotta. - Pomyślałam tylko, że możemy kupić coś, czym Sierżant mógłby się opiekować wirtualnie, poprzez ansibl. Może wynająć kogoś, żeby wszczepił coś jakiemuś zwierzęciu... Na jakimś skolonizowanym świecie z mnóstwem dzikich terenów... Twój żart z tygrysem szablozębnym wygląda na niezły pomysł.

Ender przestał pobierać próbki i zamyślił się na chwilę.

- On za nic nie przyjmie tego jako prezentu od nas. Czy nawet jako naszego pomysłu. Pomyśli, i słusznie, że poddajemy go terapii. A przecież nie uważa, że ma jakiś problem.

- Wiem - przyznała Carlotta, chociaż właściwie nie myślała o tym w ten sposób, dopóki Ender tego nie powiedział.

- Zawsze mówisz, że wiesz, ale nie sądzę, żeby tak było.

- Wiedziałam, że to powiesz - oświadczyła Carlotta.

- Najmądrzejsza, wszechwiedząca Carlotta wspomniała.

- Najwyższy czas, żebyś to przyznał.

- Na kilku światach są laboratoria, w których bada się różną ksenofaunę. Zapewne chciałabyś, abym pod jakimś pretekstem przedstawił to jako własny projekt i opowiadał o tym z takim entuzjazmem, aby Sierżant pomyślał, że za moimi plecami przejmuje kontrolę nad tym stworzeniem i używa go do własnych celów.

- Coś w tym rodzaju... - potwierdziła Carlotta, która nie posunęła się w myślach tak daleko. - Ja nie mam szans zrobić nic wiarygodnego w tej sprawie, bo cała moja praca ogranicza się do statku. Ale ty utrzymujesz tyle kontaktów przez ansibl...

- Tylko nikt nie ma pojęcia, że jestem sześćioletnim antoninem na statku kosmicznym. Dla każdego jestem inną osobą, a z powodu różnicy czasu głównie zbieram dane. To nie są żadne znajomości.

- Nigdy tak nie myślałam.

- Po prostu nie chcę, żebyś sądziła, że mam rozległe grono przyjaciół w ludzkim wszechświecie. Gdyby się dowiedzieli, kim jestem i gdzie jesteśmy, pewnie media poświęciłyby nam przelotną uwagę, a potem sprawdziłyby nasze finanse, a ktoś inny znalazłby powód, żeby je uznać za nielegalne, i zabrałby nam większość pieniędzy.

- Nie znajdą ich - zapewniła Carlotta.

- Nasz software i nasi agenci tak mówią - odparł Ender. - Co nie znaczy, że ktoś naprawdę pomysłowy nie mógłby ich zadziwić. Ale wracając do twojej propozycji... Mogę zrobić coś takiego. Wątpię, czy pomoże, ale warto spróbować. Ty też chcesz zwierzaczka?

- Może tylko link do jakiegoś domowego robota, żebym mogła popatrzeć, jak ktoś wykonuje rutynowe prace dzień po dniu, rok po roku, i przypomnieć sobie, że maszyny prowadzą życie bardziej interesujące ode mnie.

- Więc uważasz się nad sobą tak samo jak my - stwierdził Ender. - Ależ my wszyscy cierpimy.

- Mówisz, jakby to nic nie znaczyło.

- No, nie żyję tak, jakby to nic nie znaczyło. Jestem tak znudzony swoją pracą, że w niektórych dni chciałbym po prostu umrzeć razem z Olbrzymem.

- Czy wiesz, dlaczego Olbrzym nie chce umrzeć? - zapytała Carlotta.

- Ponieważ nas kocha - odpowiedział Ender - i nie może spocząć, dopóki nie zapewni nam szansy na szczęście. Cokolwiek to jest.

- Olbrzym nie musiał przecież nas kochać - zauważyła Carlotta - a ty mówisz o tym tak, jakby to było równie naturalne, jak powietrze.

Ender wskazał otaczające go urządzenia systemu podtrzymywania życia.

- Nie ma nic naturalnego w powietrzu, którym oddychamy.

- Ojciec to dobry człowiek. Szlachetny. Prawdziwy altruista.

- Błąd - sprostował Ender. - Ojciec to mały dzikus, który zaczął podziwiać pewną zakonnicę irhieniem Carlotta i nieco starszego chłopca nazwiskiem Ender Wiggin i chciał być równie dobry, jak oni byli w jego wyobrażeniu, więc poświęcił całe swoje życie na udawanie prawdziwego chłopca i dalej działa według tego scenariusza, ponieważ boi się, że gdyby kiedyś przestał, odkryje, że nadal jest tym samym głodującym śmieciarzem, który jakoś utrzymał się przy życiu na ulicach Rotterdamu.

Carlotta się roześmiała.

- Nie przyszło ci do głowy, że może to rola dzikusa została mu narzucona, a dobry człowiek w naszej ładowni jest prawdziwym Julianem Delphiki?

- Czy to ważne? Wszyscy jesteśmy małymi dzikusami, a przez „my” rozumiem całą rasę ludzką we wszystkich wariantach. Dopiero zaczęliśmy ewoluować w stworzenia, które naprawdę chcą i potrzebują cywilizacji. Wszyscy musimy pokonać agresywnego samca alfa i groźnie opiekuńczą matkę, żebyśmy mogli żyć razem blisko siebie.

- Jak my na tym statku - stwierdziła Carlotta.

Poszukam zwierzaka dla Sierżanta. - I dla ciebie - przypomniała Carlotta.

- I dla mnie. I kto wie? Może ojcu by się poprawiło, gdyby miał jakieś życie poza statkiem?

- Potrzebna jest duża przepustowość łącza, żebyśmy wszyscy mogli się bawić ze zwierzakami na innych planetach.

- Stać nas, żeby to opłacić - ucięła Carlotta.

- Zajmę się tym - obiecał Ender.

- Udawaj, że to ważne - zaproponowała Carlotta - a nawet dość pilne.

Ender nic więcej nie powiedział. Zamknął ostatnią próbkę i wyszedł z modułu podtrzymywania życia.

Carlotta już zakończyła odczyty. Jak zwykle wszystko działało doskonale.

Jaka rutynowa, nudna, samotna praca czekała na nią teraz? Upłynęło trochę czasu, od kiedy ostatni raz sprawdzała śledzący software. Tygodnie? Dni? Co najmniej kilka dni. Zamknęła panel podłogi nad sensorami pola grawitacyjnego i ruszyła do szybu windy.

Kiedy stanęła na platformie, poczuła pod nogami podłogę. Ale kiedy winda ruszyła w górę, twarda podłoga zniknęła, a Carlotta - choć trzymała się poręczy - miała wrażenie, że spada jednocześnie w każdym kierunku. Była do tego przyzwyczajona, chociaż wciąż doświadczała niewielkiego przyływu adrenaliny, bo jej ciało jak zwykle wpadało w chwilową panikę - układ limbiczny ukryty głęboko w jej mózgu wciąż nie rozumiał, że nie mieszkała już na drzewie i nie musiała panikować, gdy poczuła, że spada. Wkrótce dotarła do strefy, w której grawitacja została ustawiona w ten sposób, że moduł podtrzymywania życia znajdował się na rufie statku, a nie na dnie. Tutaj szyb windy biegł po dnie statku - wzdłuż kilu, gdyby użyć żeglarskiej analogii - toteż luk towarowy, gdzie mieszkał ojciec, miała teraz nad sobą. Leżała na plecach, uczipiona poręczy, a winda przesuwiała ją do przodu. Nie było to trudne - grawitacja u ojca odpowiadała księżycowej, około jednej dziesiątej przyciągania ziemskiego.

Ender był już w dolnym laboratorium. A ona dopiero po kilku krokach weszła całkowicie w strefę normalnej ziemskiej grawitacji, którą statek utrzymywał w dziobowych pomieszczeniach, gdzie ojciec i tak nie mógł wejść. Ender nie podniósł nawet głowy, zajęty wkładaniem próbek do rozmaitych urządzeń. Jedne zamrażał, nad drugimi zamierzał od razu pracować. Nie miał dla niej czasu.

Zazdrościła mu poczucia, że to sprawa niecierpiąca zwłoki. Bo w przeciwieństwie do kryzysu Sierżanta praca Endera była naprawdę pilna - wisiał nad nimi ostateczny termin. Carlotta nie wierzyła ani przez chwilę, że mogą uratować ojca, ale dla ich trójki istniała jeszcze nadzieja i Ender nieustannie o tym pamiętał. W głębi duszy wiedziała, że jako jedyny robił coś naprawdę ważnego dla nich wszystkich. Ale wraz z ojcem tak się w to zaangażował, tak skrupulatnie śledził wyniki badań, że Carlotta straciła nadzieję, że kiedykolwiek zdoła nauczyć się tyle, żeby im dorównać. Zawsze

będzie wiedziała za mało. Mimo to natychmiast rzuciłaby swoje obowiązki, gdyby ją wezwali, gdyby zlecili jej wykonanie jakiegoś zadania, nawet podrzędnego. „Masz, dopilnuj tego, podczas gdy my będziemy zajmowali się praw dziwymi problemami...”. Nie miałyby nic przeciwko. Ale oni nigdy nie poprosili jej o pomoc. ,

Bez słowa minęła teraz Endera i wspięła się do górnego laboratorium. Usiadła przy terminalu śledzącego komputera, wywołała holomapy i zaczęła przeglądać wszystkie układy gwiazdne leżące w pobliżu ich trasy, zaczynając od gwiazd, które właśnie mieli minąć, i posuwając się do przodu. Komputer sprawdzał rozmieszczenie masy w każdym układzie, żeby ocenić, jak grawitator będzie musiał dostosować soczewkowanie. Przy czterdziestej gwieździe - wciąż odległej od nich o kilka miesięcy, ale mieli ją minąć stosunkowo blisko - komputer wskazał anomalię. Wykryto obiekt należący do układu gwiazdy, ale zgodnie z raportem jego masa nieustannie się zmieniała.

Oczywiście było to niemożliwe, zwykły artefakt danych. Masa zapewne się nie zmieniała, tylko w rzeczywistości obiekt poruszał się po trasie innej niż przewidywana na podstawie masy gwiazdy i jej większych planet, dlatego program ciągle modyfikował dane, żeby dostosować je do ostatniej lokalizacji obiektu.

Ale to wcale nie był obiekt. Miał własny napęd i poruszał się po trasie, którą sam wybierał, niezależnej od grawitacji gwiazdy i jej planet.

Carlotta wydała software'owi polecenie, żeby uznał obiekt za statek kosmiczny. Natychmiast otrzymała nowy raport. Statek miał teraz stałą masę - ponad tysiąc razy większą niż „Herodot” - i jego trajektoria nabrała sensu: zwalniał, wchodząc do układu gwiazdnego. Nie kierował się jednak w stronę gwiazdy, ale planety skalistej w jej ekosferze.

Nawet największe ludzkie statki kolonizacyjne nie były tak wielkie, ale zmierzały zazwyczaj na planety dokładnie tego rodzaju. Gdyby „Herodot” prowadził teraz misję zwiadowczą, ta planeta uruchomiłaby wszystkie odpowiednie alarmy. Obecnie jednak wysyłał tylko rutynowo wszystkie zebrane dane astronomiczne przez ansibl do głównych kartografów. Dawniej pieczę nad mapami sprawowała Międzynarodowa Flota, ale w ostatnich stuleciach to Gwiazdny Kongres odpowiadał za ciągłe aktualizacje. Wstępny raport „Herodota” oszacował masę planety na jeden przecinek dwa g. Oznaczało to, że skoro znajdowała się w ekosferze, z pewnością posiadała atmosferę, ponieważ jednak zatrzymała więcej wodoru niż Ziemia

i brakowało jej satelity takiego jak ziemski Księżyc, składu atmosfery nie dało się jeszcze przewidzieć. Za ćwierć wieku czasu ziemskiego, kiedy się bardziej zbliżą, zbiorą więcej informacji o warunkach panujących na tej planecie.

Ale Carlottę niezbyt interesowała sama planeta. Planety były dla nich bezużyteczne, ponieważ ojciec nie mógł wytrzymać nawet połowy g, nie mówiąc o jeden przecinek dwa. Fakt, że kierował się tam obcy statek, sugerował też istnienie atmosfery atrakcyjnej dla gatunku, do którego statek należał. Dla Carlotty jednak liczyła się sama obecność obcego statku.

Gatunek podróżujący w kosmosie nie mógł nawigować bez instrumentów, które wykryją przelatującego „Herodota”. A jego silnik strumieniowy i emisje plazmy stanowiły potencjalne niebezpieczeństwo dla obcych, którzy mogli się poczuć zagrożeni, chociaż nie znaj dowali się na kursie kolizyjnym.

Ponieważ obcy statek zwalniał, podchodząc do planety, Carlotta nie była w stanie ocenić, czy mógł on - albo jakiś mniejszy pojazd na jego pokładzie - rozwinąć prędkość dorównującą prędkości „Herodota”. Mieli jednak kilka - opcji. „Herodot” mógł lekko skrócić, żeby nie przechodzić tak blisko obok tego układu. W ten sposób wprowadzie nie ukryją się przed obcym statkiem, ale zmniejszą prawdopodobieństwo, że tamci będą chcieli ich zatrzymać; ich emisja plazmy i zbieranie masy nie wywrą wpływu na żaden obiekt rozsądnie uznany za część tego układu gwiazdowego. Ale skręt, nawet niewielki, wymagałby znacznego spowolnienia. Obiekty podróżujące z prędkością tak bliską świetlnej jak oni po prostu nie mogą skręcać. Musieliby zwolnić do mniej niż osiemdziesięciu procent prędkości światła, żeby choć nieznacznie odchylić swój tor. Żeby wykonać skręt o stopień lub więcej, musieliby zwolnić dwukrotnie. Wtedy zaś wróciliby do normalnego strumienia czasu. Relatywistyczne efekty lotu z prędkością podświetlną nie występowały przy mniejszych prędkościach. To oznaczało, że badania genetyczne w ludzkich światach przestaną posuwać się skokami w stosunku do „Herodota”, tylko będą się wlokły w tempie najwyżej dwóch dni na dzień albo jeszcze mniejszym.

Czy to istotne? I tak nikt w ludzkich światach nie pracował już bezpośrednio nad kluczem Antona - tylko ojciec i Ender się tym zajmowali, a ich badań wcale nie spowolni zmiana szybkości statku. W pokrewnych dziedzinach może nastąpić jakiś przełom,

O którym dowiedzą się z opóźnieniem, ale przez ponad cztery stulecia

wszystkie takie przełomy były w najlepszym razie inkrementalne. Powstawały interesujące kierunki badań, lecz nic naprawdę ważnego się nie wydarzyło.

Carlotta jednak wiedziała, że ich wybór nie ogranicza się do tych dwóch możliwości: lecieć dalej z podświetlną prędkością w linii prostej albo zwolnić na tyle, żeby wykonać skręt, a potem jak naj szybciej wrócić do podświetlonej. Istniała trzecia możliwość. Mogli zwolnić i spotkać się z obcym statkiem.

Niebezpieczne. Potencjalnie zgubne. Ludzkość spotkała do tej pory tylko jeden obcy gatunek i prowadziła z nim wojnę na wyniszczenie. Według autora Królowej kopca, piszącego pod pseudonimem Mówca Umarłych, Formidzi wcale nie zamierzali unicestwić rasy ludzkiej. Ale Carlotta w to nie wierzyła - łatwo przypisać szlachetne motywy obcemu gatunkowi, który już nie istnieje.

Toteż zmniejszenie szybkości i spotkanie z tymi obcymi było niezwykle niebezpieczne -nawet śmiertelnie. Pierwszy statek kolonizacyjny Formidów, który wszedł do Układu Słonecznego, przyniósł śmierć. Oba wczesne spotkania, w Pasie Kuipera i późniejsze w pasie asteroidów, a potem lądowanie Formidów na Ziemi, gdzie próbowali oni zastąpić ziemską biotę własną, kosztowały życie tysiący ludzi. W wojnie o ocalenie Ziemi siły były wyrównane, a rezultat nie był pewny aż do samego końca. Formidzka technologia przewyższała ludzką, lecz w sposobie myślenia Formidów istniały luki, które ludzie wykorzystali, żeby odeprzeć tę pierwszą próbę kolonizacji. Zanim Międzynarodowa Flota dotarła do wszystkich światów skolonizowanych przez Formidów, poziom technologiczny obu cywilizacji mniej więcej się wyrównał, tyle że ludzie mieli pole destrukcji molekularnej stosowane w czerpaku silnika. Użyli uzbrojonego pola Dr. M, żeby całkowicie zniszczyć rodzinny świat Formidów, a razem z nim wszystkie królowe kopca.

A jeśli ta grupa obcych dysponuje technologią równie zabójczą dla ludzi, jak pole Dr. M dla Formidów? No a nawet jeżeli technologicznie obie strony są na zbliżonym poziomie, to przecież obcy mogą się okazać bardziej bezwzględni i zawzięci od Formidów... Problem polega! na tym, że nie można już było uniknąć spotkania. Nieważne, co robi „Herodot”, i tak go wykryją - a po jego ścieżce plazmy mogą się cofać aż do końca. Skoro lecieli prosto jak strzała od momentu, gdy osiągnęli prędkość podświetlną, obcy musieliby tylko podążać kursem wyznaczonym przez ślad emisji plazmy

„Herodota”, nawet kiedy sam ślad zaniknie, żeby znaleźć rodzinny świat ludzi.

Olbrzym i jego dzieci mieli misję: utrzymać prędkość podświetlną do momentu, gdy wynajdą metodę ocalenia własnej odmiany ludzkiego gatunku. Ocalenia swojego życia, jeśli zdołają. Ale jaki w tym sens, skoro tymczasem reszta rasy ludzkiej zostanie unicestwiona? Znacznie pożyteczniej byłoby zwolnić i zatrzymać się, nie skręcić, żeby dowiedzieć się jak najwięcej o tym obcym statku i jego pasażerach. Przez ansibl mogli wysyłać każdy strzępek informacji, jaki zdobędą, aż do chwili... kiedy obcy ich zniszczą. Wówczas rasa ludzka zyskałaby czas, żeby jak najlepiej przygotować się na spotkanie tych obcych, kiedy śladem „Herodota” dotrą do Ziemi.

Poza tym zawsze istniała szansa, że Obcy gatunek dysponuje słabszą technologią niż „Herodot”. Może okaże się przyjaźnie nastawiony... Może okaże się godzien najwyższego szacunku.

Tak czy owak, istniało spore prawdopodobieństwo, przynajmniej według Carlotty, że cała rasa ludzka będzie miała za co dziękować temu stateczkowi antoninów - albo leguminotów, żeby zacytować żarcik Endera z przezwiska ojca. Bo gdyby rasa ludzka musiała wysłać pierwszych ambasadorów do tego nowego obcego gatunku, nie mogłaby wybrać nikogo lepszego niż wielki wojownik Julian Delphiki i jego troje niezwykle błyskotliwych dzieci. Jeśli z tymi obcymi mogli się mierzyć jacyś ludzie, to tylko owi wymierający geniusze na samotnym stateczku.

I Sierżant będzie mógł się zająć czymś pożytecznym, zamiast obmyślać sposoby zabicia ojca... czy ktokolwiek był dzisiaj jego wrogiem.

Carlotta wysłała sygnał do Endera i Sierżanta: „Chodźcie ze mną do Olbrzyma. Zdarzyło się coś ważnego”. Potem przekopowała stosowne mapy i raporty na holotop ojca.

OBCY TO WROGOWIE

Gdyby wezwał go Olbrzym albo Ender, Cincinnatus mógłby ich zignorować. Ale nie miał nic przeciwko Carolcie. Szanowała go dostatecznie, żeby nie marnować jego czasu. Tamci dwaj zaś zakładali jednomyślnie, że cokolwiek robi Sierżant, jest to bezwartościowe, zatem można mu przerywać.

Olbrzym zawsze sypiał w luku towarowym, ale Sierżant pamiętał czasy, kiedy zaglądał do laboratoriów i sterowni. Już po roku podróży jednak zanadto urósł, żeby się zmieścić nawet w korytarzach specjalnie przystosowanych do jego rozmiarów. Sierżant pamiętał, jak go zasmuciło, kiedy Olbrzym stał się więźniem w ładowni.

Ostatnim razem, kiedy Sierżant tu był, bolała go twarz i gardło po zdradzieckim ataku Endera. Teraz ból minął i większość objawów również. Ender natomiast zachowywał się nonszalancko, jakby nic się nie stało. Pewnie już zapomniał o tym incydencie, uznał go za zbyt błahy, żeby o tym myśleć. Ale Cincinnatus myślał o nim przez cały czas. Wściekłość i wstyd wciąż go paliły. Musiał coś zrobić, żeby ugasić ten płomień, ale co - nie miał pojęcia. Z pewnością nie zamierzał atakować żadnego z rodzeństwa - ta droga prowadziła do zagłady ich gatunku, zanim miał szansę się rozwinąć. Ender mógł uznać geny Cincinnatusa za przydatne, ale Cincinnatus wiedział, że to Ender był z nich najlepszy i to jego geny powinny być przekazane następnym pokoleniom. Nawet w największym gniewie Cincinnatus nie zapominał, co jest najważniejsze.

Na prośbę Carlotty Olbrzym podłączył swój holotop do dużego holodisplaya i teraz śledzili ruchy obcego statku w układzie gwiezdny, do którego się zbliżali. Carlotta nie musiała informować Cincinnatusa, jakie mają opcje.

- Oczywiście, że się zatrzymamy i spróbujemy z nimi porozumieć - oświadczył. - Nie mamy wyboru. Nie możemy zostawić za sobą potencjalnego zagrożenia, jeśli go nie zbadamy.

Pozostali przytaknęli. Grupa tak inteligentna nie potrzebowała dyskusji, kiedy wybór był oczywisty.

- Nie ma powodu, żeby Ender przestał pracować nad problemem genetycznym - uznał Olbrzym. - Badamy interesującą możliwość, związaną z

latencją bakterii. Carlotta zajmie się deceleracją, zbliżeniem i komunikacją.

Cincinnatus poczuł rozpacz. Jak zwykle nikt nie miał dla niego nic do roboty. Ale Carlotta, dobre serduszko, zlitowała się nad nim. Nie znosił tego. Nie potrzebował, żeby rozgłaszano jego hańbę.

- A co z Sierżantem?

Olbrzym popatrzył na nią jak na idiotkę.

- Uzbroi „Herodota”, żebyśmy byli gotowi roznieść ten obcy statek w pył, jeśli zajdzie potrzeba.

Tak po prostu. Pierwszy raz w życiu Cincinnatus się liczył. Olbrzym miał dla niego zadanie.

- Nie chcemy urządzać demonstracji siły. - Ender oczywiście był sceptyczny.

Olbrzym westchnął i teraz Ender otrzymał spojrzenie mówiące: „Naprawdę jesteś taki tępý?”.

- Andrew, ty chyba czasami zapominasz, że każde z was jest dokładnie tak samo inteligentne jak pozostali. Cincinnatus nie użyje żadnej broni przeciwko wrogowi, którego potencjału jeszcze nie znamy. A nawet kiedy poznamy, nie wykona pierwszy wrogich kroków. Nie potrzebujemy wojny. Potrzebujemy oceny. Ale jeśli oni chcą walczyć, musimy się przygotować, żeby tylko miażdżąca przewaga technologiczna mogła nas zabić albo wziąć do niewoli.

Cincinnatus nie musiał nic mówić. Miał pracę. Ważną. A co najważniejsze, miał zaufanie Olbrzyma.

Wystarczające zaufanie, żeby przez następnych kilka tygodni Olbrzym przestudiował wszystkie propozycje Cincinnatusa i zaaprobował je, udzieliwszy kilku sugestii. Carlotta pomogła mu zamontować małokalibrowy generator pola Dr. M na froncie Szczeniaka, żeby działał jako tarcza i potencjalnie jako broń. Cincinnatus poświęcił wiele godzin na uzbrojenie małych sond atmosferycznych, ustawiając w nich kilka poziomów zniszczenia. Ważne, żeby mieć arsenał reagujący z odpowiednią siłą. Totalne zniszczenie to najmniej pożądana opcja. Ile obcych ras mieli szansę napotkać w tej podróży? Byłoby miło, gdyby zostało coś do zbadania, nawet gdyby musieli wszystkich pozabijać. Rozpylenie obcych i ich statku w chmurę nieodróżnicowanych atomów stanowiło absolutną ostateczność.

Do tego właśnie Cincinnatus się szkolił. To wydawało mu się oczywiste od początku jego samodzielnej edukacji. Olbrzym przeżył na ulicach

Rotterdamu, bo dzięki sprytowi, bezwzględności i dobrze ulokowanemu zaufaniu potrafił się obronić przed znacznie większymi i silniejszymi wrogami. Potem, kiedy siostra Carlotta go znalazła, Olbrzym poszedł do Szkoły Bojowej i stał się najlepszy we wszystkim. Cincinnatus przeanalizował tr anskrypcje wielkich bitew, w których Olbrzym brał udział pod dowództwem Endera Wiggina, i za każdym razem przekonywał się, że Olbrzym był najlepszy. Wiggin widocznie to rozumiał, bo przydzielał mu najtrudniejsze zadania i polegał na jego radach.

Jeden brat został nazwany na cześć Andrew Wiggina. Niech będzie - Olbrzym kochał Wiggina i dobrze mu służył. Swoją córkę nazwał Carlotta, imieniem zakonnicy, która go uratowała, dostrzegła jego wartość i wysłała go na wojnę. Ale Cincinnatus nie nosił imienia po nikim z przeszłości Olbrzyma. Cincinnatus nosił imię wielkiego rzymskiego generała, który uratował swój kraj, a potem zrzekł się władzy i powrócił na wieś, żeby dożyć swoich dni w spokoju. O tym właśnie marzył Olbrzym; tym była dla niego ta podróż. Próbą zakończenia życia w spokoju, poświęcenia się, żeby uratować życie dzieci.

Dla Cincinnatusa to było przesłanie jasne jak słońce. „Jesteś żołnierzem - mówił do niego Olbrzym. - Pójdiesz moim śladem na wojnę. Zakończyłem moją wojskową karierę, ty będziesz ją kontynuował”. Cincinnatus więc niestrudzenie studiował sprawy wojenne, od uzbrojenia po taktykę, od strategii po logistykę. Każdy okres, każdą bitwę, wszystkich generałów, dobrych i złych. Postrzegał wszystko przez pryzmat wojny. Przygotowywał się. I co dostał w nagrodę? Przezwyśko „Sierżant”, jakby był zwykłym podoficerem, jak gdyby nigdy nie miał zostać dowódcą.

Ale Cincinnatus znosił to przezwyśko i ich pogardę. Wytrwale robił swoje, pocieszając się, że Olbrzym wycierpiał większe upokorzenia jako najmniejsze dziecko na ulicach Rotterdamu, a potem znów najmniejsze w Szkole Bojowej. Olbrzym wystawia mnie na próbę. Pokażę mu, że nic mnie nie zniechęci i z pewnością nic mnie nie złamie.

Olbrzym przez cały czas konsultował się z pozostałą dwójką, z Enderem w kwestiach genetyki, z Carlottą w sprawach statku. Pozostawiony więc samemu sobie Cincinnatus rozpaczał. Z milczenia Olbrzyma próbował wynioskować, czego ten od niego chce. Wreszcie uznał, że Olbrzym nie wierzy, żeby dało się przekreślić w drugą stronę klucz Antona. Tego ostatniego zadania Olbrzym nie zdołał wykonać. Niczym Rzymianin, który poniósł klęskę w wielkim przedsięwzięciu, nie miał innego wyjścia,

tylko usiąść w wannie i otworzyć sobie żyły. Lecz to nie było po żołniersku. Wielki żołnierz, jak Olbrzym, kazałby swemu towarzyszowi przebić się mieczem, by zginąć jak na polu walki. Tak się wydawało Cincinnatusowi. Ale widocznie się mylił.

Jakże nie miałbym się mylić! - krzyknął bezgłośnie do Olbrzyma. - Nigdy ze mną nie rozmawiałeś, nigdy mi nie powiedziałeś, czego chcesz. Szedłem twoim śladem tak pilnie, że mógłbym powtórzyć z pamięci każdą bitwę, w której brałeś udział. Ale ty skazałeś mnie na domysły. Nie dałeś mi nawet najmniejszej wskazówki, czy cenisz mnie i moją pracę. Zostawiłeś mnie samego, równie samotnego jak niegdyś ty na ulicach miasta.

Kiedy Ender rozkwaśił mu nos i uszkodził gardło - i mógł go zabić - Cincinnatus wpadł w rozpacz. Czuł się jak syn marnotrawny, który rościł sobie prawa do swojego dziedzictwa i stracił je, a teraz był tylko sługą w domu Olbrzyma. I właśnie wtedy, gdy wydawało się, że znalazł się w najgorszym punkcie swojego życia, na horyzoncie pojawił się wróg, a Olbrzym zwrócił spojrzenie na swojego wojskowego następcę i namaścił go. Oczywiście to on stworzy dla nich broń! Oczywiście to on przygotuje ich do wojny.

Cincinnatus był gotowy. Zaplanował już, jak uzbroić praktycznie wszystko na statku. Stworzył programy, które nakierują porty wylotu plazmy tak, żeby usmażyła wszystko, co zbliży się do „Herodota”. Stworzył programy zmieniające silnik strumieniowy w prawdziwy miotacz, który wygeneruje pole destrukcji molekularnej, żeby pochłonęło wszystko, co skróci dystans. Już dawno spenetrował wszystkie banki danych dawnej Międzynarodowej Floty i nowego Gwiezdnego Kongresu i miał pewność, że w razie potrzeby zdoła pokonać jeden na jednego każdy okręt wojenny, jaki rasa ludzka przeciw niemu wystawi. Ponieważ zawsze zakładał, że największe zagrożenie nadejdzie w końcu ze strony ludzi, którzy zdecydują, że leguminotów trzeba wytępić, zanim zastąpią Homo sapiens jako dominująca forma życia we Wszechświecie. Zamiast tego jednak pojawił się statek obcych i Olbrzym obdarzył Cincinnatusa zaufaniem, kiedy postanowili zwolnić, żeby się z nim spotkać.

Cincinnatus powinien triumfować - został zrehabilitowany. Ale czuł tylko ulgę i lekkie rozgoryczenie: Nareszcie! A wcześniej nie mogłeś dać mi do zrozumienia, że potrzebujesz syna wojownika?

Lecz ulga i rozgoryczenie szybko się rozwiały i Cincinnatus musiał przyznać, że teraz czuje tylko zgrozę, z dnia na dzień coraz silniejszą. Nie,

już nie zgrozę. Nagi strach, oto co czuł. Wszystkie jego militarne studia i planowanie miały wymiar teoretyczny albo historyczny. To była rzeczywistość. Jeżeli zawiedzie, wszyscy mogą zginąć. Jeśli zbyt szybko użyje zabójczej siły, może sprowokować miazdzący odwet, ale jeśli będzie zwlekał za długo, wyprzedzający atak wroga może ich zniszczyć, zanim przystąpią do działania. Jeśli nie zdoła w locie poradzić sobie z nieznaną taktyką wroga, mogą umrzeć.

Olbrzym zawsze był w tej luksusowej sytuacji, że na jego barkach nigdy nie spoczywał pełny ciężar dowodzenia. Zawsze miał nad sobą Endera, a później Petera Hegemona. Cincinnatus miał Olbrzyma, ale Olbrzym odszedł ze służby. Był powolny, a bitewny stres mógł mu nadwerężyć serce. Cincinnatus musiał się przygotować do samotnej walki, żeby ocalić swojego brata i siostrę - swoje rodzeństwo, swój gatunek.

Kiedy Ender popełnił błąd albo zabrnął w ślepy zaułek, po prostu wzdychał i zaczynał od początku. Nie tracił nic oprócz czasu. Ale jeśli Cincinnatus popełni błąd, wszyscy mogą zginąć. Nie było próbnej jazdy. Nie było testów i gier wojennych. No bo skąd? Kiedy Olbrzym był w

Szkole Bojowej, ludzkość znała Formidów. Miała na czym trenować. Ale ci nowi obcy? - nic o nich nie wiadomo. Jak więc miał trenować?

Cincinnatus odkrył u siebie skłonność do zamierania w bezruchu. Pracował nad czymś i nagle uświadamiał sobie, że nie robił absolutnie nic przez pół godziny, niekiedy nawet przez godzinę. Obracał tylko w głowie wyimaginowane scenariusze, zawsze kończące się katastrofą, zawsze z jego winy. Dusił się, zamarzał, panikował i porzucał rodzeństwo na łasce wroga. Wszyscy liczyli na niego i wydawało się, że był całkowicie gotowy: statek został wyposażony na wojnę, software przetestowany i działał idealnie. Nie mogli jednak wiedzieć, że w głębi duszy Cincinnatus wariował ze strachu.

Po prostu im powiem. Powiem Olbrzymowi: „Nie mogę tego zrobić. Nie jestem twoim następcą. Jestem żalosną pomyłką. Nieudacznikiem. Jeśli dojdzie do wojny, w ogóle nie możecie na mnie liczyć”. W końcu poszedł do Olbrzyma, żeby mu to wyznać, ale zamiast tego rozmawiali o dawnych bitwach. Dlaczego zrobiłeś to? Dlaczego Ender Wiggin zrobił tanto? Olbrzymowi chyba sprawiało to przyjemność.

- Endera Wiggina wyróżniało to, że rozumiał wroga, chłopców, z którymi walczył w Szkole Bojowej, i samych Formidów. Oczywiście nie wiedział, że walczy z Formidami. Myślał, że jego przeciwnikiem jest Mazer

Rackham, jedyny człowiek, który zrozumiał królowe kopca i wykorzystał swoją wiedzę, żeby wygrać drugą wojnę z Formidami. Więc Ender walczył z Mazerem Rackhamem jak z królową kopca i wierzył, że Rackham po prostu genialnie udaje formidzki sposób prowadzenia wojny. Dlatego próbował zrozumieć nie samego Mazera Rackhama, ale Formidów, których ten rzekomo naśladował.

- Ty też to robiłeś, prawda? - zapytał Cincinnatus.

- Nie - zaprzeczył Olbrzym. - Byłem wtedy młody. Nienawidziłem wroga i pozwalałem, żeby strach przed nim mną kierował. Cokolwiek wróg miał zrobić, gdziekolwiek pójść, musiałem być gotowy, żeby mu się przeciwstawić. I byłem bardzo, bardzo dobry. Bardzo szybki. Bardzo kreatywny. Ale Ender wcale tak nie myślał. Myślał: „Czego wróg chce i potrzebuje? Jak mogę mu dać to, czego potrzebuje, w taki sposób, żeby się odsłonił?”

Jak mogę odebrać wrogom wolę walki albo zdolność bojową?”. To inna taktyka.

- Dlaczego więc nie przyjąłeś tego sposobu myślenia? - zapytał Cincinnatus.

- Nie wiedziałem, że tak właśnie postępuje Ender. Byliśmy blisko... byłem jego najlepszym przyjacielem, a on był moim jedynym przyjacielem, w tamtych czasach twoja matka i ja zaledwie się tolerowaliśmy. Ale nie zdawałem sobie sprawy, że on myśli w tak diametralnie inny sposób niż ja. Sądziłem po prostu, że jego pomysły, jego rozkazy wynikają z czystego geniuszu. A czasami, że są szalone. Ale zawsze się sprawdzały, więc później nazywałem to błyskotliwością.

- Dlaczego nie mogłeś myśleć tak jak on?

- Bo Ender potrafił kochać. Nie mówię o ciepłych, cikliwych uczuciach... chociaż ich też nie znałem. Mówię o wejściu w skórę kogoś drugiego, zrozumieniu jego potrzeb, odkryciu, czego pragnie, a także co naprawdę będzie dla niego dobre. Zrozumieniu go lepiej, niż on sam rozumie siebie. Jak matka, która wie, kiedy jej dziecko jest zmęczone, chociaż dziecko zapewnia, że wcale nie chce mu się spać. Robił to ze swoimi przeciwnikami. Poznawał ich naprawdę i całkowicie. A potem pomagał im odkryć prawdę o nich samych... że nie są wojownikami. Że nie mają do tego talentu. Wyjawiał im, że wojna nie jest dla nich słuszną drogą. Co zawsze było prawdą. Wojna zasadniczo nie jest słuszną drogą. Jeśli kochasz wojnę, przegrasz ją w starciu z kimś takim jak Ender, kto nienawidzi jej tak

bardzo, że zrobi wszystko, żeby zwyciężyć i ją zakończyć.

- Nienawidzisz wojny, żeby ją wygrać. Kochasz wroga, żeby go zniszczyć. Nie lubię paradoksów, zawsze mam wrażenie, że ktoś próbuje mnie nabrać.

- Zwykle tylko sam siebie oszukuje. Ale to właściwie nie są paradoksy. Ktoś, kto myśli, że kocha wojnę, zawsze się myli, ponieważ wojna niszczy wszystko, czego dotknie. Wszystko burzy. Kiedy więc nie można jej uniknąć, walczysz w taki sposób, żeby pokazać wrogowi, jaka to destrukcja. Kiedy wreszcie to zobaczy, przestanie.

- Tylko że Ender zabijał wrogów. Co działa nawet lepiej.

- Nie - zaprzeczył Olbrzym. - Nie dążył do zabijania. Pamiętaj, kiedy walczył z królowymi kopca, myślał, że to tylko trening. Myślał, że Mazer Rackham go testuje. Jego celem było zademonstrowanie nauczycielowi, jak destrukcyjny jest proces testowania. Walczył tak, jak gdyby walczył z Formidami, ale był bezwzględny tylko w symulacji.

- Zabił tamtego chłopca w Szkole Bojowej.

- Bronił się. Brutalnie, gruntownie, ale nie zamierzał popełnić morderstwa. Chciał tylko pokazać, że wojna, której żąda Bonzo, jest destrukcyjna. Tak naprawdę kochał tego chłopca. Podziwiał jego dumę, jego poczucie honoru. Próbował go uratować przed jego własną destruktywnością.

- Myślę, że byłeś lepszym dowódcą.

- Byłem szybszy od Endera, bardziej bezwzględny. - Olbrzym westchnął. - Ale z każdą kolejną bitwą przekonywałem się, że droga Endera była słuszna. A kiedy wreszcie zrozumiałem, co on robi, też próbowałem. Po prostu... nie potrafiłem kochać mojego wroga. Rozumiałem Achillesa dostatecznie dobrze, ale go nie kochałem. Tylko się go bałem. Aż do samego końca. Nie miałem wyboru i musiałem go zabić - tyle rozumiałem. Achilles nie był Bonzem. Achilles nigdy by nie zaprzestał walki tylko dlatego, że ktoś mu pokazał, jak destrukcyjne są jego wojny. Destrukcja była jego celem. On ją kochał. Był naprawdę zły.

- Więc co by Ender z nim zrobił?

- To samo co ja. Zabiłby go. Albo by spróbował. Achilles był bystry i szybki. Mógł pokonać Endera.

- Ale nie mógł pokonać ciebie.

- Nie wiem, czy nie mógł. Ale nie pokonał.

Raz po raz podczas tej rozmowy Cincinnatus chciał zapytać: „Bałeś się? Bo ja tak się boję”. Lecz nie zrobił tego. Słuchał, mówił, a potem wrócił do

narastającej zgrozy przygotowań do wojny, do której prowadzenia nie miał kompetencji.

Zaczęły go dręczyć koszmarne sny. Odtwarzał w wyobraźni widy z Formidami, zawsze rozdzierającymi na strzepy Endera, Carlottę albo Olbrzyma, którzy krzyczeli: „Sierzancie! Na pomoc! Ratuj mnie, Sierzancie!”. A on stał z potężną bronią w obu rękach i nie mógł wycelować, nie mógł wystrzelić, mógł tylko patrzeć, jak jego rodzina umiera.

Wszyscy troje sypiali w górnym laboratorium, ale kiedy zaczęły się kosmary, Cincinnatus chował się w Szczeniaku albo w jakimś innym miejscu na statku, gdzie mógł zwinąć się w kłębek i złapać kilka godzin snu, zanim koszmar go dopadł. Sprawdzał każdą broń nieskończenie wiele razy, chociaż wiedział, że działa doskonale. To żołnierz okaże się niewypałem.

Toteż kiedy zaczęli odbierać przekazy wideo od małych dronów, które wysłali przodem, Cincinnatus był tak przerażony, że ledwie mógł oddychać. Nie wierzył, że pozostali inni nic nie zauważyli. Ale nie zauważyli. Ciągłe odwoływali się do niego, kiedy dyskutowali o możliwych strategiach. A kiedy obejrzeli przekazy wideo i uświadomili sobie rozmiar monstrualnego kosmolotu, otwarcie okazywali strach - nerwowy śmiech, kulawe dowcipy, wyrazy jawnego podziwu i trwogi. Lecz nawet wtedy Cincinnatus się nie zdradził i nadal na nim polegali. Co najdziwniejsze, chociaż strach całkowicie nim ośwładał, wcale nie sparaliżował analitycznych możliwości jego umysłu.

- Nie widzę żadnych oznak, że ten potwór zauważył nasze drony - stwierdził. - Właściwie nie widzę żadnych oznak, że przeprowadzają jakieś rozpoznanie planety, chociaż weszli na geosynchroniczną orbitę wokół niej.

- Może mają instrumenty, które nie muszą przenikać przez atmosferę - zasugerowała Carlotta. - My mamy.

- Możemy określić zawartość tlenu i stąd wiemy, że to świat roślinny - przyznał Cincinnatus. - Ale gdybyśmy zamierzali się tam osiedlić, wysłalibyśmy drony po próbki bioty, żebyśmy mogli zbadać chemię tamtejszego życia i sprawdzić, czy jest z nami kompatybilne.

Olbrzym wydal z siebie przeciągłe „hmmm”.

- Formidzi nie musieli tego robić, bo kiedy kolonizowali planetę, wypuszczali taki gaz, który rozkładał wszystkie formy życia na protoplazmatyczną breję. Ich strategia polegała na tym, żeby pozbyć się miejscowej flory i fauny i zastąpić je własną szybko rosnącą.

- Kiedy więc Formidzi przybyli na Ziemię, nie pobierali żadnych

próbek i nie robili testów? - zapytała Carlotta.

- Z tego co wiemy, nie - odparł Cincinnatus. - Przeglądałem to wszystko przez kilka ostatnich miesięcy. Formidzi nie robili niczego, czego mogliśmy się spodziewać. Teraz rozumiemy dlaczego, ale wtedy nie mieliśmy pojęcia o ich misji.

- Mówisz „my”, jakbyś tam był - zauważył Ender.

- My, ludzie. My, wojskowi - wyjaśnił Cincinnatus. - Podobnie jak ty mówisz „my” ogólnie o naukowcach.

- Uważasz więc, że ci obcy są jak Formidzi? - zapytała Carlotta.

- Nie - burknął Cincinnatus.

- Jak mogą być tacy sami? - rzucił Ender ze zniecierpliwieniem, jakby pytanie Carlotty było głupie. - Pomyśl, jak bardzo różnili się Formidzi od rasy ludzkiej. Ci obcy muszą się zasadniczo różnić i od Formidów, i od nas.

Olbrzym ponownie zabrał głos:

- Nie o to chodziło Cincinnatusowi.

Ender i Carlotta spojrzeli na brata.

- No więc o co?

Cincinnatus popatrzył na Olbrzyma.

- A ty myślisz, że o co mi chodziło?

- Po prostu to powiedz - zaproponował Olbrzym. - Nie potrzebujesz najpierw mojej zgody.

Ale oczywiście to oznaczało, że już ją otrzymał.

- Myślę - zaczął Cincinnatus - że ten statek nie jest jak Formidzi. To są Formidzi.

Carlotta i Ender byli tak zdumieni, że Ender się roześmiał, a Carlotta nawet wydała

pojedyncze drwiące prychnięcie.

- Wszyscy Formidzi zginęli.

Cincinnatus wzruszył ramionami. Nieważne, czy mu uwierzą, czy nie. Zresztą mógł się mylić.

- Pomóż im - polecił Olbrzym.

- Ten statek nie emituje żadnych fal radiowych. Nie ma żadnych dronów, żadnych sond. Silniki odpaliły tylko na tyle, żeby wprowadzić go na orbitę wokół tej planety. I dalej nic. Czy to byłoby możliwe na ludzkim statku?

- Nigdy nie uważaliśmy, że jest ludzki - zaprotestował Ender.

- Ktokolwiek jest na nim, nie używa fal elektromagnetycznych do

komunikacji.

- Czyli mają ansible... - podsunęła Carlotta.
- To coś więcej - oświadczył Cincinnatus. - On wygląda jak formidzki statek. Nie jak te, które przyleciały na Ziemię, ale to jest ta sama estetyka.
- Raczej wyraźnie mu jej brakuje - oświadczyła Carlotta.
- Właśnie tak wyglądają statki Formidów. Żadnej dbałości o wdzięk czy proporcje. Popatrzcie na te wszystkie otwory. Czy dorośli ludzie mogliby ich używać? Są szerokie i niskie. Akurat żeby formidzkie robotnice się tamtędy wyroiły. Dokładnie jak drzwi na powierzchni formidzkich statków kolonizacyjnych. Ekspedycja osiedleńcza, którą wysłali na Ziemię, składała się z nowych modeli statków. Mniej szych i smuklej szych od tego. Również szybszych. Nie tak bliskich prędkości światła, jak „Herodot”, ale dostatecznie sprawnych, żeby wykorzystać zalety względności. Ten statek jednak... Czy widzicie cokolwiek, co mogłoby sobie poradzić z relatywistycznymi prędkościami?

Carlotta się zaczerwieniła.

- Nawet o tym nie pomyślałam. Nie. Osłony są kamienne i nie ma czerpaka. Statek musi zabrać dostateczną ilość paliwa, żeby rozpedzić ten ogromny kawał skały, a potem zwolnić na końcu podróży. To powolna maszyna.

- Praktycznie księżyc - dodał Ender.
- Podczas pierwszej fali kolonizacji Formidzi na pewno wysyłali takie statki - powiedział Cincinnatus. - Ogromne, ponieważ musiały podtrzymywać ekosystem przez dekady lotu, nie tylko przez kilka lat. Kamienne osłony chroniły przed meteorytami, nie przed radiacją.
- Jak długo więc ten może być w drodze?
- Przy dziesięciu procentach prędkości światła... wystarczyło im na to paliwa. Jak myślisz, Carlotto?

Wzruszyła ramionami.

- Chyba tak.
- Mogli podróżować przez siedemset lat, może nawet tysiąc. Patrzcie, jaka poszczerbiona i podziurawiona jest osłona. Ile zderzeń przetrwała?
- To bardzo długo, żeby podtrzymać zamknięty ekosystem - zauważyła Carlotta.

- Jeśli to naprawdę statek Formidów - zastrzegł Cincinnatus - i naprawdę podróżuje od siedmiu, ośmiu czy dziesięciu stuleci, wszystko mogło się zdarzyć. Epidemia, wyczerpanie się nieodnawialnych

pierwiastków śladowych... Przypuszczam, że dotarli do pierwotnego miejsca przeznaczenia przed wiekami, ale nie nadawało się do zamieszkania, więc ruszyli dalej, szukać innego świata. Może to pierwszy, który znaleźli.

Carlotta pokręciła głową.

- Kiedy Formidzi przybyli na Ziemię, od razu zeszli na jej powierzchnię i zaczęli ją przystosowywać. Tutaj nie robią nic. Myślę, że oni nie żyją.

- Jak więc weszli na geosynchroniczną orbitę? Formidzi nigdy nie zbudowali komputerów, ponieważ wykorzystywali mózgi wszystkich robotnic do przechowywania i przetwarzania danych. Wydaje się, że nie mieli żadnych automatycznych systemów. Ktoś po prostu odkrył tę planetę i skierował tam statek.

- Dlaczego więc tak zamarli? - zapytał Ender.

- Bo nas zobaczyli - odparł Cincinnatus.

Ender prychnął drwiąco.

- Daj spokój. Kiedy przylecieli na Ziemię, nasze statki roily się wszędzie, poczynając od Pasa Kuipera!

- Ale dla nich nasze statki były niczym - wyjaśnił Cincinnatus. - Zbyt powolne. Oni mieli wtedy relatywistyczne gwiazdo- loty, a my nigdy nie opuściliśmy Układu Słonecznego. A teraz, pomyśl, co właśnie pokazaliśmy tym obcym? Gwiazdolot, który zbliża się do prędkości światła bardziej, niż Formidom kiedykolwiek się udało, a oni siedzą w przedrelatywistycznej arce. Nie odważą się zająć swoimi sprawami. Czekają, żeby zobaczyć, co my zamierzamy zrobić.

- Przynajmniej musimy założyć, że to właśnie robią - wtrącił się Olbrzym.

Cincinnatus poczuł lekki dreszcz triumfu. Olbrzym najwidoczniej też odgadł to wszystko -

tylko prawdopodobnie wcześniej. I założył, że Cincinnatus też pójdzie tą drogą, a pozostali nie.

- Więc... co robimy? - zapytała Carlotta.

- Nic. Jeszcze nie jesteśmy gotowi - odparł Cincinnatus. Dostrzegł cień uśmiechu na twarzy Olbrzyma. - Pamiętajcie, że Formidzi komunikują się mentalnie. Na tym statku musi być królowa kopca, inaczej nie miałoby sensu wysyłanie kolonii. A jeśli jest taka jak ta, która przyleciała na Ziemię, czeka, żeby królowa kopca z „Herodota” nawiązała z nią łączność.

- Nie - powiedział Olbrzym. - Blisko, ale coś przegapiłeś.

Cincinnatus poczuł rumieniec wpełzający z szyi na policzki.

Natychmiast zorientował się, o co chodzi Olbrzymowi.

- Oczywiście. Zapomniałem. Ta królowa kopca na pewno komunikuje się ze wszystkimi królowymi z założonych kolonii i z rodzinnego świata. One wiedziały, że ona tu jest i że szuka innej planety. Jeśli umarła i zastąpiła ją córka, poznały również córkę. Odległość nic dla nich nie znaczy. Kiedy więc ta królowa kopca dowie się, że jesteśmy ludźmi, będzie wiedziała, że zabiliśmy wszystkie pozostałe królowe.

Ender kiwnął głową.

- Wpadliśmy w kuso po kolana. Nie rozpoznała naszego statku, bo tej konstrukcji nie widziała jeszcze żadna królowa kopca. Prawdopodobnie wzięła więc nas za obcych innego gatunku. Ale jak tylko odkryje, że jesteśmy ludźmi, zobaczy w nas najstraszniejszych, najbardziej bezwzględnych wrogów, jakich do tej pory napotkała. Pomyśli, że zamierzamy ją zabić.

- A co innego mogłaby pomyśleć? - zapytała Carlotta.

- Chyba że... - podsunął Olbrzym.

- Chyba że co? - zdziwiła się Carlotta.

Cincinnatus też nie miał pojęcia, o co chodzi Olbrzymowi.

- Może ona nie wie?

- Nie zgaduj - skarcił go Olbrzym. - Myśl.

To Carlotta znalazła odpowiedź:

- Mówca Umarłych.

- To fikcja - oświadczył Ender.

- Twoi przyjaciele naukowcy uważają, że to fikcja - odparł Olbrzym. - Miliony ludzi wierzą, że Królowa kopca jest prawdziwa, traktują ją jak Biblię.

- Co o tym wiesz, czego my nie wiemy? - zapytał Cincinnatus.

- Wiem, kim jest Mówca Umarłych - oświadczył Olbrzym. - Ponieważ on napisał również Hegemonia. Teraz w ludzkiej przestrzeni oprawia się te dwie książki razem. Znałem Petera Wiggina i zapewniam was, że każde słowo, które Mówca Umarłych napisał o nim w Hegemonie, jest prawdą. I każde słowo o waszej matce. Sama prawda. Równie wiernie opisał królową kopca.

- Jak to możliwe? - zapytała Carlotta. - Przecież oni wszyscy nie żyją.

- Widocznie nie wszyscy - stwierdził Olbrzym. - Mówca Umarłych pracuje na podstawie wywiadów.

- To fantastyka - zawyrokował Ender.

- I to mówi sześciolatek - parsknął Olbrzym. - Jestem trzykrotnie starszy od ciebie i wiem, o czym mówię. Ty nie wiesz. Jeśli czytałeś Królową kopca, to pamiętasz, że one zrozumiały swój błąd i głęboko żałowały, że zabiły tyle autonomicznych istot, kiedy przybyły na Ziemię. Zakładały, że wszyscy jesteśmy robotnikami i zabicie nas w sensie moralnym znaczy tyle, ile przycięcie komuś paznokci. Kiedy zdały sobie sprawę, że każdy z nas jest niezależnym, niepowtarzalnym bytem, wycofały się z ekspansji do naszej przestrzeni. Tylko że nie mogły nas o tym zawiadomić, bo nie miały języka, a my byliśmy głusi na ich sygnały mentalne.

- Następny powód, dla którego Królowa kopca musi być fikcją - upierał się Ender.

- Wojna więc trwała dalej i zabiliśmy ich wszystkich - ciągnął Olbrzym. - Królowa kopca na tym statku kolonizatorskim musiała znać każdy ich krok i kiedy odkryje, że jesteśmy ludźmi, przestraszy się nas. Tak, byłaby szalona, gdyby się nie bała... Ale może również być pełna skruchy i gotowa udowodnić swoje pokojowe zamiary.

- Albo żadna zemsty, bo my, ludzie, zabiliśmy wszystkie jej siostry, chociaż nie dokonały ponownej inwazji na Ziemię - stwierdził Cincinnatus.

- To również możliwe - przyznał Olbrzym. - I miała dużo czasu, żeby obmyślić, co robi ludzom, jeśli ich napotka. Może to będą pokorne, uniżone przeprosiny, może podstęp, żebyśmy się odślonili i wystawili na cios, a może druzgoczący atak, jak tylko odkryje, do jakiego należymy gatunku.

- Albo wszyscy na tym statku nie żyją - dodał Cincinnatus.

- Zapominasz, że wszedł na orbitę parkingową - wytknęła mu Carlotta.

- O niczym nie zapominam - odparł Cincinnatus. - Kiedy widzisz coś, co wygląda na martwe, czasami to podstęp, czasami efekt milczenia, a czasami to coś naprawdę jest martwe.

- Podsumujmy zatem - odezwał się Olbrzym. - Może ten statek kolonizacyjny jest pełen rozgniewanych formidzkich żołnierzy, może jest pusty, a może jest w nim królowa kopca, która niczego bardziej nie pragnie, niż zostać naszym przyjacielem.

- No więc co robimy? - powtórzyła Carlotta. - Jeśli to naprawdę formidzki statek, nie bardzo możemy ich wywołać naszym kodem identyfikacyjnym.

- Chyba nie ma innego wyjścia, tylko wysłać ambasadora - oznajmił Olbrzym. - Albo szpiega, jeśli wolicie bardziej precyzyjną terminologię.

- Kogo? - zapytał Ender.

Cincinnatus z przyjemnością zauważył, że Ender niezbyt się do tego palił.

- No, ja się nie zmieszczę do Szczeniaka - stwierdził Olbrzym. - Więc to musi być ktoś z was.

- Ja polecę - zaofiarował się Cincinnatus. - Jestem najlepiej przygotowany, gdyby coś poszło źle, i najmniej znaczę, jeśli naprawdę poszłoby źle.

Zobaczył, że Ender uważał to za okropny pomysł, a Carlotta miała wątpliwości. Ale Olbrzymowi to odpowiadało.

- Okrąż go i zobacz, jaką wywołasz reakcję - polecił. - Wyląduj na powierzchni. Jeśli będziesz mógł otworzyć drzwi, otwórz i zaproś do inspekcji. Pokaż im swój kształt. Wynoś się stamtąd, jeśli zrobi się niebezpiecznie. A jeżeli nie otrzymasz żadnej odpowiedzi, i tak się wynoś. Otwarcie drzwi to wszystko. Nie wchodź do środka, nie sam. Zrób wszystko, co nie graniczy z przemocą albo groźbą, żeby nakłonić mieszkańców statku, kimkolwiek albo czymkolwiek są, do wyjścia na zewnątrz i nawiązania komunikacji. Ale powtarzam, sam nie wchodź do środka. Nie wejdę - obiecał Cincinnatus.

- Wejdzie - oświadczył Ender. - Praktycznie musi. Przecież to Sierżant.

- Wcale mnie nie znasz, jeśli myślisz, że złamię rozkaz - warknął Cincinnatus.

- Zrobi dokładnie to, co trzeba - uciął Olbrzym. - A jeśli nie, poradzi sobie nie gorzej niż ktoś z was na jego miejscu.

Ender i Carlotta nie mieli na to odpowiedzi. Olbrzym przemówił. I gdyby tylko na tym poprzestał...

- Poza tym - dodał - Cincinnatus nie wejdzie do środka, bo przeraża go myśl, że miałby to zrobić sam.

On wie, pomyślał Cincinnatus z rozpaczą. Mogłem to ukryć przed rodzeństwem, ale nie przed nim.

- Wiem, że go to przeraża - ciągnął Olbrzym - bo mnie też. Każdy, kto się nie boi, jest za głupi, żeby mu zaufać w tak ważnej sprawie.

Zna mnie, pomyślał Cincinnatus, i mi ufa.

- Czyli to w porządku, jeśli po powrocie będę musiał wyprać bieliznę? - zapytał.

Koniecznien - zgodził się Olbrzym. - I to zanim się u mnie zameldujesz.

CZEGO NIE MOŻNA ZROBIĆ

Ender wiedział, że Sierżant pilotuje Szczeniaka wokół statku obcych. Przez chwilę nawet wyświetlał jego obraz w kąciку swojego holodisplaya, ale transmisja ciągle odrywała go od genetycznych modeli, które właśnie nadeszły z zespołu badawczego, finansowanego przez jedną z ich fundacji.

Obcy statek - interesujące. Może nawet istotne dla przetrwania rasy ludzkiej. Wszystko się rozgrywało w czasie rzeczywistym, zatem konsekwencje błędu będą natychmiastowe i nieodwracalne. To jednak, na co patrzył Ender, było równie pilne. Patrzył na porażkę i śmierć.

Po prostu nie było sposobu, żeby odwrócić tę część klucza Antona, która powodowała, że Olbrzym i jego dzieci przez całe życie rośli w stałym tempie, bez odwrócenia procesu nieustannego przyspieszonego tworzenia nowych komórek i struktur nerwowych. Nawet gdyby zdołali opracować mechanizm do jednoczesnej zmiany molekuł genetycznych w każdej komórce ich ciał - co było całkowicie nieprawdopodobne, nie bez uszkodzeń i strat - żadna prosta jednostopniowa zmiana w ich DNA nie mogła zahamować gigantyzmu, jeśli przy tym nie staną się głupi. Nie głupi. Normalni. Ale to była ewentualność nie do przyjęcia.

Przekręcenie klucza stanowiło cel eksperymentu, który stworzy! Olbrzyma i jego zamordowane rodzeństwo w nielegalnym laboratorium Volescu dwadzieścia dwa lata temu. Nie dało się wyłączyć albo włączyć tylko części klucza. Segmenty proteiny wykonującej te dwa podstawowe zadania były nierozdzielne.

Ale przed rokiem Ender zainicjował badania nad innym podejściem. Zamiast odwracać klucz Antona czyjego część, mogli stworzyć kod normalnego wzorca ludzkiego wzrostu -szybki wzrost we wczesnym dzieciństwie, spowolnienie aż do następnego skoku w okresie dojrzewania, a potem staza przez resztę życia - i wkleić go gdzie indziej. Problem polegał na tym, że DNA jest kodem, ale komórka przez nie kontrolowana musi wiedzieć, jak go odczytać. Jeśli po przekręceniu klucza wprowadzi się kod normalnych wzorców wzrostu, komórka odbiera sprzeczne sygnały, które zakłócają się nawzajem. W rezultacie powstają śmieciowe proteiny, bez mechanizmów zbierania i usuwania. Zabijają komórkę mniej więcej w jeden dzień. A teraz Ender otrzymał potwierdzenie, że wprowadzenie kodu

tworzącego procedury zbierania śmieci również zabijało proteiny, których potrzebował klucz. Nie było sposobu, żeby w jądrze komórki wykonać oba działania jednocześnie.

Te wszystkie badania, które sponsorowali, uczyniły cuda dla ludzi cierpiących na rozmaite zaburzenia genetyczne. Umożliwiły stworzenie licznych modyfikacji i w rezultacie poprawę jakości życia milionów osób. Ale ciągle nie mogli osiągnąć tej jednej rzeczy, która była ich celem. Czworo skazańców wyruszyło w kosmiczną podróż donikąd. Równie dobrze mogliby wrócić do domu i umrzeć.

Może Sierżant miał rację. Może bardziej miłosiernie byłoby przyspieszyć śmierć Olbrzyma, dopóki jeszcze wierzył, że można uratować jego dzieci.

Ender sprawdzał raz, drugi i trzeci, szukał jakiejś luki, jakiegoś pytania, którego jeszcze nie zadali, jakiegoś alternatywnego wytłumaczenia, niesamowicie wymyślnego mechanizmu kompensującego kaskadę błędów powstających w tym skomplikowanym procesie. Ale prawo niezamierzonych konsekwencji objęło już cały projekt. Żaden element ludzkiego genomu nie odpowiadał tylko za jedną rzecz. Każda zmiana, którą wprowadzali, powodowała uszkodzenia, a naprawianie ich wywoływało kolejne uszkodzenia, aż przebudowanie komórki w bezpieczny i produktywny sposób stawało się tak nieprawdopodobne, że nie warto było nad tym pracować.

- On tam jest - powiedziała Carlotta cicho.
- Daj mi spokój - burknął Ender.
- Ryzykuje dla nas życie, a ty nawet nie chcesz spojrzeć? Aż tak go nienawidzisz?

Ryzykuje życie. Co to za życie?

Ale Ender nie mógł się zdobyć na wypowiedzenie tych słów. Zamiast tego przełączył ekrany i oto widział Szczeniaka przyczepionego do powierzchni obcego statku w pobliżu domyślnego miejsca dostępu. Ender zrobił zbliżenie i teraz dron pokazywał, jak Sierżant wychodzi ze Szczeniaka w kombinezonie próżniowym. Trzymał się powierzchni za pomocą magnesów zamiast minigravitatora z pokładu Szczeniaka, ponieważ nie chcieli ryzykować soczewkowania grawitacji po drugiej stronie statku - kto wie, jaki chaos mogliby wywołać? Magnesy były nieporęczne, chodziło się z nimi powoli i niezdarnie, ale nie powodowały żadnych szkód.

„Nie musisz być taki ostrożny, Sierżancie - chciał powiedzieć Ender. - Jeśli teraz stracisz życie, niewielka strata. I tak nie masz go dużo przed sobą”. Wiedział, że to śmieszne. Rozczarowanie zmieniające się w rozpacz i

użalanie się nad sobą. Nieracjonalne. Bezproduktywne. No więc cztery nieważne osoby cierpiały na nieuleczalną chorobę skracającą życie. To jednak nie znaczyło, że nie mogą zapoczątkować gatunku krótko żyjących geniuszy. Może ewolucja zdoła dokonać tego, czego nie umieli genetycy - znajdzie mechanizmy przedłużające ich życie albo ograniczające gigantyzm. Zawsze istniała nadzieja.

Ale teraz liczył się Sierżant i statek obcych.

Łatwo powiedzieć. Trudniej stłumić rozpacz. Kto by pomyślał, że to Sierżant, nie Ender, okaże się pożyteczny?

Zaledwie kilka minut zabrało Sierżantowi otwarcie drzwi.

- Chyba nie używają żadnych narzędzi do otwierania - powiedział Sierżant cicho, a jego głos lekko drżał. Czy to możliwe, żeby Sierżant się bał? - Wystarczyło raz przekręcić i otwarte.

- Ile powietrza wyleciało? - zapytała Carlotta.

- Wcale.

- Więc może to nie jest zamieszкана strefa - uznała Carlotta. - Atmosfera nie mogła całkiem się ulotnić. W kadłubie nie ma przebić.

- Wejść do środka - zaproponował Ender.

- Nie! - odezwał się natychmiast ostry głos Olbrzyma. - Nie wchodzić tam.

- Z zewnątrz nic nie zobaczy - stwierdził Ender - ani czy żyją, ani czy nie... A jeśli teraz tego nie sprawdzi, wróci z niczym.

- Nie sam - oświadczył Olbrzym. - Nie może wejść do środka sam.

- Wracaj - rozkazała Carlotta. - Polecę z tobą jako wsparcie.

- To znaczy żeby zobaczyć, co mnie zabija? - zaśmiał się Sierżant. Nerwowo?

- Wyślij tam pełzacza - polecił Olbrzym.

- Tam są same kable i sensory - powiedział Sierżant. - To nie jest wejście do statku, tylko studzienka konserwacyjna. Poszukam innych drzwi.

- Dobrze - zgodził się Olbrzym, a w jego głosie słychać było ulgę.

- Jest obiecujące miejsce dokładnie na wprost twojej pozycji, jakieś dziesięć metrów do przodu i trzy kroki w lewo - oznajmiła Carlotta.

- Dlaczego obiecujące? - zapytał Sierżant.

- Ma znacznie bardziej skomplikowany zamek.

- Żeby chronić integralność atmosfery - wywnioskował Sierżant.

- Prawdopodobnie.

- Zabierz Szczeniaka - polecił Olbrzym.

- To tylko kilka kroków - zaprotestowała Carlotta.
- Może potrzebować narzędzi, a trudno powiedzieć których - odparł Olbrzym.

- A ty wolisz mieć pod ręką środek ucieczki - dodał Ender - na wypadek gdyby wyleźli stamtąd paskudni kosmici, żeby cię zjeść.

- To nie żarty - ostrzegł Olbrzym.

- Nie żartowałem - zapewnił Ender.

Prowokowanie Olbrzyma sprawiało mu perwersyjną przyjemność. Wkrótce będzie musiał go zawiadomić o niepowodzeniu kolejnych testów. Wyrok śmierci. Czemu trochę nie pożartować pod szubienicą?

Na holodisplyu Endera wyświetliły się słowa. Widocznie Olbrzym chciał mu coś powiedzieć tak, żeby inni nie słyszeli.

„WIEM, CO ODKRYŁEŚ. TO BYŁO OCZYWISTE, ZANIM JESZCZE ZACZAŁEŚ TĘ SERIĘ TESTÓW”.

Ender odpowiedział mu na głos:

- Mogłeś mi powiedzieć.

„POWIEDZIAŁEM”, nadeszła odpowiedź. „ALE NIE SŁUCHAŁEŚ”.

- Co powiedzieć? - zapytała Carlotta. - O czym ty mówisz? Ender wstukał swoją odpowiedź.

„WIĘC POZWOLIŁEŚ MI ZMARNOWAĆ TYŁE CZASU”. Carlotta usłyszała stukanie.

- Och, prywatna rozmowa - rzuciła z pogardą. - Czy Olbrzym kazał ci się zamknąć?

„TO BYŁ TWÓJ CZAS, JEŚLI CHCIAŁEŚ GO ZMARNOWAĆ”.

- Chciałem odnieść sukces - odparł Ender.

„ODNIOŚŁEŚ. TERAZ WIEMY NA PEWNO”.

- Och, więc to terapia - domyśliła się Carlotta. - Nie możesz się skupić na Sierzancie? Musisz gadać tylko o sobie? Czy ty masz jakieś uczucia?

„CZY MOGĘ ZABIĆ CARLOTTE?” - wstukał Ender.

„ODMOWA ZEZWOLENIA”.

Sierżant wrócił do Szczeniaka, który uniósł się nieznacznie i prześlizgnął po powierzchni w stronę wejścia wypatrzanego przez Carlottę. Ten właz otwierał się od środka i na zewnątrz nie miał żadnych widocznych mechanizmów.

- Czy mam zapukać? - zapytał Sierżant. - Otwiera się tylko od wewnątrz.

- Jest tam jakiś zamek, panel czy klawiatura? - chciała wiedzieć

Carlotta.

- Jeśli to Formidzi, niczego takiego nie potrzebują - oznajmił Ender. - Królowa kopca zawsze wie, kiedy chcą wejść, i każe innej robotnicy otworzyć im drzwi.

- Jeśli rozbiję zamek - powiedział Sierżant - mogę spowodować poważne uszkodzenia w środku.

- Marna konstrukcja, jeśli nie ma śluzy powietrznej - stwierdziła Carlotta.

- Wewnętrzne drzwi mogą być otwarte - zauważył Sierżant. - Nie wiemy, co się tam dzieje.

- Może czeka tam pięćdziesięciu żołnierzy uzbrojonych po zęby, żeby cię rozwalić, kiedy się włamiesz... - rzucił Ender.

„ZAMKNIJ SIĘ”.

Oho, Olbrzym się porządnie rozgniewał.

- Spróbuję je podważyć - zaproponował Sierżant. - Może po prostu dadzą się wepchnąć do środka.

- Myślisz, że masz szansę? - zapytała Carlotta sceptycznie.

Ale Sierżant już wyjmował łom z zewnętrznej skrzynki narzędziowej Szczeniaka. Po kilku minutach stwierdził:

- Trochę ustępuje, ale te drzwi chyba nie są na zawiasach. Przesuwają się.

- Lepsza konstrukcja - oceniła Carlotta.

- Więc je odsuń - poradził Ender. - Przymocuj magnesy o dużej przyczepności i niech Szczeniak pociągnie.

- W którą stronę? - zapytał Sierżant.

- Spróbuj w obie - zasugerowała Carlotta.

Dziesięć minut zabrało zmontowanie wyciągarki, żeby pociągnąć drzwi w jedną stronę, potem drugie dziesięć przestawienie jej, żeby spróbować w drugą stronę.

- To nie działa - oświadczył Sierżant.

Ender się zaśmiał.

- Dajcie spokój. Myślcie jak Formidzi! Próbujecie otworzyć drzwi, jakby je zaprojektowano dla ludzi. Formidzkie tunele są szerokie, ale niskie.

Sierżant wymamrotał kilka niemiłych słów, a potem zaczął przestawiać Szczeniaka, żeby pociągnąć drzwi w stronę, którą postrzegali jako dół. Ustępowały powoli, walcząc z oporem wewnętrznej maszynarii, ale wreszcie się przesunęły.

- Tym razem podmuch powietrza - oznajmił Sierżant.
- Ale nie stały prąd - zauważyła Carlotta.
- To śluza powietrzna - potwierdził Sierżant. - Słuszna decyzja, Carlotto.

Och, więc Carlotta została pochwalona za znalezienie drzwi, ale ani słowa podziękii dla Endera za odkrycie, w którą stronę się otwierają. Typowe.

- Wejdz do środka - polecił Ender. Czekał, żeby Olbrym się sprzeciwił, ale nie padł żaden kontrujący rozkaz.

Sierżant stał bez ruchu nad wejściem do śluzy.

- No wchodź - ponaglił Ender.
- Najpierw skanuję - odparł Sierżant.
- Jeśli coś tam było, wyleciało z tym podmuchem powietrza - zapewnił Ender.

Sierżant ukląkł obok drzwi, oderwał od powierzchni magnetyczne podeszwy i opuszczył się do śluzy.

- Pusta - oznajmił natychmiast.

Wszyscy widzieli to na sześciennym displayu, który przekazywał obraz z hełmu Sierżanta.

- Jak trudno otworzyć wewnętrzne drzwi? - zapytała Carlotta.
- Jest dźwignia - powiedział Sierżant. - Nie wiem, czy elektryczna, czy mechaniczna. Duża jak na pierwszy wariant, mała jak na drugi.
- Spróbuj, to zobaczymy - proponował Ender.
- Nie - sprzeciwił się Olbrym. - Wtedy naruszysz atmosferę.
- Najpierw więc zamknij drzwi zewnętrzne - poradził Ender.

Milczenie. Wszyscy rozumieli, że w ten sposób Sierżant odetnie sobie drogę ucieczki do Szczeniaka.

- Nie podoba mi się to - oświadczył Olbrym.
- Niczego się nie dowiemy, dopóki tego nie zrobię - stwierdził Sierżant.

Ponownie głos mu leciutko zadrżał.

Zewnętrzne drzwi się zasunęły.

- Te są elektryczne, więc wewnętrzne pewnie też - powiedział Sierżant.

- Nie uszkodziłem mechanizmu, kiedy je otworzyłem siłą.

- Albo dowiesz się, że uszkodziłeś, kiedy spróbujesz je otworzyć - zripostował Ender. „ZAMYKAM TWOJĄ STACJĘ”.

Ender wstał, podszedł do Carlotty i usiadł obok niej.

- Olbrymowi nie podobają się moje pomysły - poskarżył się.
- Mnie też - odburknęła Carlotta.

- Otwieram - oznajmił Sierżant.

Kadłub nie wpływał na jakość dźwięku, ale obraz z hełmu Sierżanta prawie nic nie ujawniał, nawet kiedy Carlotta powiększyła go tak, że wypełnił cały holosześcian.

- Zapal światło - podsunął Ender.
- Już się robi - rzucił Sierżant z irytacją.

Nie lubił, kiedy Ender proponował oczywiste rozwiązania? Biedny chłopiec.

Teraz zobaczyli niski tunel z korytarzami rozgałęziającymi się w różne strony.

- Nikt nie wyszedł cię przywitać - powiedziała Carlotta. - Wszyscy nie żyją.

- Albo zastawili pułapkę - dodał Ender. - Wejdź dalej i sprawdź.

Cały ekran komputera Carlotty zgasł.

- Hej! - zaprotestowała.
- Ostrzegałem cię, Ender - oznajmił Olbrzym.
- Ale dlaczego karać mnie? - oburzyła się Carlotta.

- Daj spokój - powiedział Ender. - Oni nie żyją, nie ma żadnego niebezpieczeństwa.

- Błąd - oświadczył Olbrzym.

Display ponownie ożył. Najwyraźniej Sierżant rzeczywiście wślizgnął się do tunelu. Był dostatecznie wysoki, żeby mógł siedzieć wyprostowany.

- Przed chwilą coś się poruszyło - oznajmił Olbrzym. - Kiedy marnowaliście mój czas waszym niedojrzałym zachowaniem.

- Ender marnował - sprostowała Carlotta.

- A ty się świetnie do niego dostosowałaś - warknął Olbrzym. - Sierżant jest w niebezpieczeństwie, a wy tracicie cenne...

Ruch na displayu. Dużo ruchu. Kilkanaście małych stworzeń wyroiło się z bocznych tuneli i pomknęło prosto do Sierżanta.

- Wynoś się stamtąd! - zawołał Olbrzym.

- Obraz natychmiast podskoczył i zakołysał się mdląco, kiedy Sierżant nogami naprzód rzucił się z powrotem do służby. Drzwi zdążyły się zamknąć do połowy, kiedy dwa stworzenia wpadły tam razem z nim. Jedno zaatakowało ciało Sierżanta, drugie jego hełm. Zablokowało co najmniej jeden wizjer, toteż obraz stracił głębię. Otwórz służę! - krzyknęła Carlotta.

Sierżant widocznie miał na tyle przytomności umysłu, żeby pamiętać, gdzie jest dźwignia.

- Złap jedno i trzymaj - poradził Ender.
 - Ale z ciebie zimny marubo - syknęła Carlotta bynajmniej nie z podziwem. Oboje jednak wiedzieli, że to słuszna rada.
- Podmuchał stworzenie częściowo zasłaniające wizjer hełmu.
- Mam tego na ciebie - oznajmił Sierżant. - Próbuje przegryźć mój kombinezon.
 - Pozbądź się go - rozkazał nagle Olbrzym.
 - Nie, trzymam je teraz za kark, daleko od siebie. Tylko się szamocze. Nie jest rozumne.
 - Skąd wiesz? - zapytał Olbrzym.
 - Bo jest głupie - odparł Sierżant. - Szybkie, ale tępe, coś jak krab.
 - Wracaj do Szczeniaka - rozkazał Olbrzym.
 - Ono oddycha powietrzem - ciągnął Sierżant - a może po prostu lubi ciśnienie atmosferyczne, bo wreszcie przestało się szamotać.
 - Szybko zamrożone - stwierdził Ender. - Dobra metoda zbierania okazów. Tyle że niszczy każdą komórkę w ich ciele.
 - I tak będziemy mogli dużo się o nim dowiedzieć - odparła Carlotta - kiedy Sierżant je tu przywiezie.
 - To znaczy ja będę mógł dużo się o nim dowiedzieć - poprawił ją Ender.
 - Zamierzasz trzymać w tajemnicy to, czego się dowiesz - zagadnął Sierżant - czy też podzielisz się z nami tą wiedzą?
 - On tylko się zachowuje jak smarkacz - westchnęła Carlotta. - Nie wiem, co w niego wstąpiło.
 - Jest zazdrosny, bo dla odmiany ja robię coś ważnego - wyjaśnił Sierżant.
- Te słowa zaboląły, bo było w nich sporo prawdy.
- Wygląda na to - powiedział Ender - że statek opanowały szczury.
 - Och, tego już za wiele! - zawołała rozwścieczona Carlotta i stanęła naprzeciw Endera. - Sierżant ryzykuje życie, a ty siedzisz tu wygodnie i...
 - Carlotto, uspokój się - rozległ się głos Olbrzyma, tym razem przez interkom, nie w komputerze. - Ender nie mówił o naszym statku.
- Carlotta natychmiast zrozumiała.
- Więc myślisz, że to stworzenie, które złapał Sierżant, to tylko... szkodnik?
 - Może przedtem spełniało inną funkcję, bo inaczej nie trzymaliby go na statku. Ale teraz to szkodnik.

- Nie pierwsza linia obrony?
- Obrony przed czym? - zapytał Ender. - Nic w tym statku nie wskazuje, że spodziewali się spotkania z kimś innym niż z własną załogą.
- Więc... gryzonie wymknęły się spod kontroli, bo wszyscy rozumni pasażerowie statku zginęli? Dzięki czemu one żyją?
- Jeszcze nie wiem - przyznał Ender. - Ale to jest statek wielopokoleniowy, nie relatywistyczny. Musi mieć wewnętrzną ekologię. Szczury zwyczajnie wydostały się na wolność.
- A wiesz o tym, ponieważ...
- Domyślam się.
- Cieszę się, że wreszcie skupiłeś się na bieżącym zadaniu, Ender - znowu odezwał się Olbrzym. - Odłóżcie dalszą dyskusję do czasu, aż Sierżant wróci z tym okazem.
- Wysłałeś raport do Gwiezdnego Kongresu? - zapytał Sierżant, który siedział już w Szczeniaku.
- To działa automatycznie - przypomniała Carlotta.
- Nie działa - zaprzeczył Olbrzym. - Odciałem wszystkie automatyczne raporty w chwili, gdy wypatrzyłeś ten statek, Carlotto.
- Nie powiesz im o nim? - zdziwił się Ender.
- Nie powiedziałem im nawet o tej planecie - przyznał Olbrzym. - Nic. Carlotta była zaskoczona.
- Dlaczego? Jeśli ten obcy statek okaże się wrogi...
- Mam zapisane wszystkie informacje. Jeżeli nas zaatakuje, wyślę je mikroimpulsem przez ansibl. Do tej pory będzie to nasz mały sekret.
- Czy tu się realizuje jakiś odgórny plan? - zapytał Ender. - Bo jeśli tak, chyba powinienes go nam zdradzić, skoro w każdej chwili możesz dostać wylewu i umrzeć.
- Carlotta go spoliczkowała.
- Nie mów tak do niego!
- Trzymaj ręce przy sobie! - warknął Ender dziko. - To prawda, a wielki Julian Delphiki stawia czoło każdej prawdzie, tak, ojcze?
- Istnieje plan - przyznał Olbrzym spokojnie. - Żadnego bicia, Carlotto. Ile ty masz lat, pięć?
- Mam sześć - bąknęła Carlotta.
- Więc zachowuj się stosownie do swojego wieku. Dzieci powinny się nauczyć już w pierwszej klasie, że nie wolno się bić.
- Porównanie do zwykłej pierwszoklasistki było tak uwłaczające, że

obrażona Carlotta rzuciła się z powrotem na swój fotel i wywołała jakieś nieistotne raporty techniczne.

- Uważam, że powinniśmy izolować ten okaz - powiedział Ender - na wypadek, gdyby przynosił jakąś obcą chorobę.

- Ustalono już dawno temu, że biologia Formidów różni się od naszej wystarczająco, żeby ich choroby nas nie atakowały i vice versa.

- A jeśli na tym statku wymyślili coś nowego? - zapytał Ender. - Jeśli zmarli na jakąś zarazę?

- My się nie zarazimy - zapewnił Olbrzym.

- A jeśli to nie Formidzi? - upierał się Ender. - Wtedy wszystkie pewniki możemy wyrzucić za okno.

- To bez znaczenia - odparł Olbrzym. - Próżnia zabiła wszystkie mikroby, które mógł przenosić ten okaz.

- Niektóre wirusy mogą przetrwać w próżni absolutnej - upierał się Ender.

- Nie możemy go izolować, Ender - powiedział Olbrzym. - Osad jest już na całym kombinezonie próżniowym Sierżanta. Zresztą i tak nie mamy takich możliwości. Po prostu zaryzykujemy. Nie pomyśleliśmy, żeby wyposażyć ten statek odpowiednio na spotkanie z obcymi formami życia. Nie mieliśmy prowadzić eksploracji.

Ender wiedział, że Olbrzym ma rację. Wyrwał się, jak tylko pomyślał o groźbie zarażenia, ale nie wybiegł myślą dalej. Nieudolność. Żenada.

- Może będziemy mieli szczęście - powiedział - i ten okaz przywlecze zarazę, która zakończy nasze cierpienia.

- Co w ciebie wstąpiło?! - oburzyła się Carlotta.

Olbrzym wyjaśnił:

- Ender właśnie się dowiedział, że nie ma sposobu, żeby zatrzymać nasz mały genetyczny mechanizm samozagłady. Nie bez utraty naszej sprawności intelektualnej. I pewnie nawet wtedy nie. Nic się nie da zrobić.

- Bardzo taktownie ich zawiadomiłeś - zadrwił Ender. - Nie ma to jak wałnąć z grubej rury.

- Próbowałem ci to delikatnie zasugerować miesiąc temu - powiedział Olbrzym - ale mi nie uwierzyłeś.

Carlotta wydawała się zdruzgotana.

- Nie ma więc nadziei?

- Wszyscy wyrośniemy na maksa jak Olbrzym, a potem umrzemy - stwierdził Ender.

- Możesz zmieścić mnóstwo życia w ciągu następnych piętnastu lat - pocieszył ją Olbrzym. - Ja tak zrobiłem.

Ale nie gniołeś się w kosmolocie trylion kilometrów od najbliższej istoty ludzkiej -powiedziała z goryczą Carlotta. - To nie jest życie.- Owszem, jest - oświadczył Olbrzym. -To, które masz. A teraz do roboty. Sierżant wróci za chwilę, musimy zdjąć to stworzenie i zbadać je. I nie zapominajcie o jednym: ktoś - albo coś - zaparkował ten statek na geosynchronicznej orbicie. Dopóki się nie dowiemy, kto to zrobił, dopóty nie będziemy mieli pojęcia, na jakie zagrożenia albo szanse natrafiliśmy.

PREZENTACJA

Kiedy Groszek opowiadał im o biologii, fizyce, chemii, historii albo inżynierii, musiał bardzo się starać, żeby nie dać im się prześcignąć. W końcu przez całe dzieciństwo uczył się tylko o wojskowości, a w dojrzałym wieku - jeśli można to tak nazwać - dowodził oddziałami w prawdziwej walce albo usiłował wyprzedzić o krok Achillesa. Rozwiązywał rzeczywiste problemy. Tutaj, na „Herodocie”, nie miał tak wielkiej przewagi nad dziećmi. Każde z trójki realizowało własny program badań, a Groszek mógł tylko śledzić, co robią, jednocześnie prowadząc własne badania w kierunkach, których nie wybrały. Na szczęście dzieci nie traktowały tego jak wyścigu. Znajdowały czas na zabawę. Groszek nie miał takiego luksusu.

Podczas tych intelektualnych zmagania rozmawiały z nim i on rozmawiał z nimi jak równi sobie. Uczyli się razem, uczyli się nawzajem. I czuli się równi. Nie mieli pojęcia, że są dziećmi. Nazywali go Olbrzymem. Próbowali się przed nim chować. Rozumiał ich potrzebę prywatności. Rozumiał ich gniew i frustrację. Sam nienawidził Volescu, kiedy wreszcie pojawił się, co z nim zrobił eksperyment.

Nie zdawali sobie jednak sprawy z tego, jak dziecinne są ich reakcje. Uważali się za ludzi, nie dzieci. Dzieci nigdy nie pojmują, że są dziecinne. Chociaż czują te same emocje co dorośli, po prostu nie umieją ich jeszcze ukrywać - nie nabrały takiej wprawy w kłamstwie. Ale nie tylko pod tym względem rodzeństwo zachowywało się dziecinnie. Nie nauczyło się kontrolować wpływu tego, co czuje, na to, co robi. Czy to była definicja dorosłości? Że chcesz jednego, ale robisz drugie, bo wiesz, co jest dobre i słuszne, i chcesz postępować dobrze i słusznie bardziej, niż chcesz tego, czego chcesz? Dalsza perspektywa, tego brakowało dzieciom. Gdyby jednak im to zarzucić, byłyby skonsternowane. Przecież planowały w dalszej perspektywie! Po prostu nie rozumiały, jak dalsza perspektywa powinna się przekładać na ich bieżące decyzje.

I dlaczego miały rozumieć? Uczyły się samokontroli tak, jak zawsze uczył się tego dzieci -zderzając się z brakiem opanowania innego dziecka. Ale Groszek się o nich bał. Bo zostało mu naprawdę niewiele życia. Cały czas czuł wysilone bicie swojego serca; prawie nie mógł spać, bo serce wciąż szarpało mu się w piersi. Umrze na długo przedtem, zanim dzieci

dojrzeją dostatecznie, żeby opanować swoje impulsy, zdecydowanie wcześniej, zanim nauczą się zasad współżycia. Wszystkie myślały, że rozumieją się nawzajem, i pod wieloma względami miały rację. Ale żadne z nich nie potrafiło zrozumieć siebie. Były takie małe i wciąż wierzyły, że kierują nimi znane im motywy. Dorosły stwierdza: „Nie, nie powiem tego, bo jestem po prostu zazdrosny. Przecież on nic złego nie zrobił”. Ale dziecko nie uświadamia sobie zazdrości, tylko gniew, więc krytykuje, znieważa, drwi i powoduje nieodwracalne szkody. Niszczy zaufanie.

Oni nie mogli stracić do siebie zaufania. Musieli liczyć na siebie nawzajem, inaczej nie mieli żadnej przyszłości. Gdyby jednak zdołali utrzymać się przy życiu i dalej pracować razem, jakaż czekała ich przyszłość! Groszek nie mógł im wyjaśnić, co miał na myśli. No, tak naprawdę mógł, ale wtedy pozbawiłby ich resztek dzieciństwa i przytłoczył ciężarem wiedzy, że cała ich przyszłość jest szczegółowo zaplanowana. Jako jednostki prawie nie mieli przyszłości, ale wielką przyszłość jako założyciele nowego gatunku rasy ludzkiej. Jeśli jednak nie rozwiążą problemu gigantyzmu i przedwczesnej śmierci, nowy gatunek zostanie skazany na zagładę, kiedy zaledwie pokosztuje dojrzałości, będzie uwięziony w wiecznym dzieciństwie albo - w najlepszym razie - w okresie dojrzewania. Nie, w najgorszym razie.

Nieprzewidywalni, odtrącający role narzucane im przez potrzeby innych - jak można zbudować nową cywilizację, bazując na decyzjach nastolatków? Tacy rzadko coś budują, głównie niszczą.

Ale gdy zainteresował ich jakiś problem, cudownie było patrzeć, jak pracują ich umysły. Małeńkie rączki, małe nawet jak na sześciolatki, chwytają instrumenty, wstukiwały instrukcje, manipulowały danymi w holoprzestrzeni; umysły błyskawicznie wyciągały wnioski - zwykle prawidłowe - i pojmowały konsekwencje pomysłów. Jakby dzielić pokój z trzema Newtonami. Newtonami i Einsteinami, których cechuje absolutny egotyzm dzieciństwa.

I tak już będzie zawsze.

Może najlepszym wyjściem jest porażka. Może jeśli nie przeżyjemy, jeśli zniszczą nas stworzenia z tamtego statku, tak będzie lepiej dla ludzkości. Ponieważ razem z moimi dziećmi tworzę tutaj rasę potężnych dzieciaków, przepełnionych strachem, złością i pretensjami do całego świata. Mogę tylko nauczyć je zachowania lepszego od tego, jakie przychodzi im naturalnie. Przyjmą je albo nie. Nie mam na to wpływu.

Wygodne było to, że każde z dzieci miało własną, wybraną przez siebie specjalność. Podczas gdy Ender analizował na wpół rozerwane szczątki kraboszczura, Carlotta i Cincinnatus odbywali kolejne wyprawy Szczeniakiem na obcy statek. Nie weszli do śluzy. Zamiast tego Carlotta, ubezpieczana przez Sierżanta na wypadek, gdyby statek zaczął się bronić przed ich drobną inwazją, otwierała wszystkie włazy techniczne, robiła pomiary, sporządzała sche maty okablowania i wykonywała inne inżynierskie zadania mieszczące się w jej możliwościach, żeby się dowiedzieć, jak działa cała maszyneria i czego mniej więcej mogą się spodziewać w środku.

Oba projekty przynosiły fascynujące rezultaty; Groszek sprawdzał postępy co godzinę i trzymał otwarte kanały audio, więc w każdej chwili mógł im odpowiedzieć, żeby myśleli, że stale zagląda im przez ramię. Ale nie zaglądał. Miał własne zadanie. Za pomocą instrumentów i dronów „Herodota” sondował planetę, wokół której orbitowali.

Miała tlenową atmosferę, a to znaczyło, że w wielkich oceanach doszło do bakteryjnej rewolucji i bujne życie roślinne przeniosło się na ląd. Skany w różnych lokalizacjach nie wykryły niczego podobnego do drzew, tylko rośliny płożące, paprocie i grzyby. Na innych światach grawitacja jeden przecinek dwa g nie powstrzymała rozwoju łodyg, grubiejących w potężne pnie, toteż brak lasów sugerował, że ten świat jest bardzo młody. I nie było tu ani śladu zwierzęcego życia. Nawet owadów czy robaków, przynajmniej niczego takiego nie wykryły sondy, które wysyłał. Zatem znaleźli planetę dojrzałą do skolonizowania, gdzie w dodatku nie trzeba się martwić o miejscowe zwierzęta. Zgodnie bowiem z edyktem Gwiezdnego Kongresu rośliny należało zachować tylko jako nasiona, próbki i dane, nie in situ; zwierzęta zaś wszystko zmieniały, ponieważ wydzielano im wtedy wielkie rezerwaty, zwykle całe kontynenty, żeby ewolucja mogła przebiegać bez zakłóceń.

Dzieci nie mogły wiedzieć, że obecność obcego statku stanowiła zwykły zbieg okoliczności, chociaż jeśli dwa statki spotykały się w kosmosie, takie zdarzenie było o wiele, wiele bardziej prawdopodobne w pobliżu planety nadającej się do zamieszkania niż gdziekolwiek indziej. Bo Groszek się tutaj kierował. Jak tylko sensory statku ustaliły, że planeta ma atmosferę w ekosferze, nieznacznie skorygował kurs, żeby trafić w to miejsce.

Gdyby nie zwrócił ich uwagi obcy statek, Groszek zaproponowałby, żeby się zatrzymali i przeprowadzili badania dla dobra czystej nauki. Ponieważ wiedział jedno: dzieci nie mogą

spędzić całego życia na tym statku. Potrzebowały świata. Potrzebowały projektu, w który się zaangażują. Potrzebowały miejsca, gdzie mogą tworzyć dzieci in vitro i wychowywać je tak szybko, jak zdołają je produkować sztuczne macice na statku.

A Carlotta myślała, że sporządziła kompletną mapę ich maszyny i kompletną inwentaryzację wszystkiego na pokładzie. Petra i Groszek jednak planowali od początku, że bez względu na to, czy znajdzie się lekarstwo na śmiertelny gigantyzm, ich genialne dzieci będą potrzebowały domu, miejsca, gdzie będą mogły bezpiecznie rozwijać swój nowy genotyp. Niezbadanego świata.

Gdyby tylko Groszek wiedział, ile czasu mu zostało... Na razie jego ciało funkcjonowało -głównie dzięki temu, że jak najmniej poruszał rękami i nogami, tyle tylko, żeby krew krążyła; ćwiczenia mogły go zabić, tak samo jak bezczynność. Nie mógł jeszcze sobie pozwolić na umieranie - dopóki się nie upewnił, że dzieci tu zostaną.

Do tej pory sądził, że - w razie konieczności - mógłby je zmusić do lądowania, gdyby uszkodził statek. Teraz jednak nie miał pewności, czy z luku towarowego zdoła wyrzucić takie szkody, których Carlotta nie naprawi. Zamiast więc uwięzić dzieci, musiał je przekonać. A nie mógł tego zrobić bez planów, które by im przedstawił - dostatecznie atrakcyjnych i sensownych.

Obcy statek wszystko zmieniał. Reprezentował potencjalnie konkurencyjną faunę i florę, z którą musiałyby walczyć. Jeśli przebywały na nim istoty rozumne - uśpieni koloniści w stazie czekający na koniec podróży? - to dzieci nie mogłyby bezpiecznie dorastać i wychowywać potomstwa. Groszek nie miał tyle czasu, żeby szukać innej planety. A jeśliby umarł, zanim znaleźliby miejsce, w którym dzieci będą mogły zapuścić korzenie, gotowe byłyby wrócić do Stu Światów i szansa przepadnie. Nawet jeśli osiągnęłyby dojrzałość, ich genom zostanie uznany za wadliwy. Możliwe, że otrzymają zakaz reprodukcji; przynajmniej takie zasady obowiązywały w większości cywilizowanych światów.

Petra od dawna nie żyła, ale to nie zwalniało Groszka ze złożonej jej obietnicy. Zgodzili się, że to najlepsze rozwiązanie dla antoninów, i nie zamierzał zmieniać decyzji. Ale nie mógł powstrzymać dzieci przed robieniem tego, co chciały. Mógł do pewnego stopnia kształtować ich świat, ukrywając przed nimi pewne informacje, lecz to nie były zwykłe sześciolatki, gotowe wierzyć w magię i duchy, jeśli dorośli mówili im, że istnieją. Jedyne

informacje, jakie rzeczywiście mógł zachować przed nimi w sekrecie, dotyczyły wyłącznie jego planów i zamiarów. Wciąż sprawował wystarczającą władzę nad statkiem i nad nimi, żeby stanowiły one najważniejsze elementy ich środowiska. Dopóki nie umrze.

Po dwóch dniach badań Ender miał gotowy raport, podobnie jak Carlotta i Sierżant. Zebrali się w luku towarowym, żeby urządzić prezentację. Zaczął Ender:

- To jest statek Formidów - oznajmił. - Proteiny w kraboszczurze to kompletny zestaw protein z formidzkich światów, bez żadnych domieszek. Ale jest coś dziwnego. DNA jest prawie identyczne z zapisanym genomem Formidów, pobranym z tyłu zwłok po wojnie. Istnieją kluczowe różnice, lecz miejscowe. Zupełnie jakby Formidzi zastosowali jakąś perwersyjną neotenię... Te kraboszczury wyglądają jak efekt świadomego cofnięcia się do wcześniejszych etapów formidzkiej ewolucji. Mają okrutne szpony i twarde pancerze, które u dorosłych Formidów są tylko szczątkowe.

Carlotta i Sierżant natychmiast zrozumieli sens tej informacji.

- Królowe kopca mogą więc modyfikować swoje potomstwo - zauważył Sierżant - i postanowiły zmienić niektóre dzieci w te małe potworki.

- Wątpię, czy nadal uważają je za dzieci, jeśli w ogóle tak kiedykolwiek myślały - powiedziała Carlotta. - Jeśli się ma tysiące dzieci, na pewno bez żadnych skrupułów można traktować część z nich jak zwierzęta.

Groszek powstrzymał się od oczywistego porównania; nie doceniliby dowcipu.

- Domyślasz się, jak się rozmnażają? - zapytała Carlotta.

- Ten osobnik był samicą - odparł Ender. - Wydawała się całkowicie zdolna do rozrodu, ale nie na dużą skalę, i nie rosło w niej żadne jajo. - Odwrócił się do Sierżanta. - Czy wyglądała inaczej niż pozostałe?

- Była głównie bliższa - zażartował Sierżant. - Poruszały się szybko i pędziły prosto na mnie. Ogólnie tylko oceniłem ich rozmiary, ale wszystkie wyglądały tak samo.

- Może więc wszystkie są samicami, jak robotnice Formidów - stwierdził Ender. - Albo występują u nich obie płcie i dymorfizm płciowy jest minimalny, jak u ludzi. Wydaje się sensowne, że królowa kopca nie chce, żeby te stworzenia miały własną królową. Wszystkie więc są zdolne do rozrodu.

- Rozmnażają się jak szczury - mruknęła Carlotta.

- Musi istnieć jakiś czynnik ograniczający ich populację - powiedział Sierżant. - Czy raczej tak zamierzała królowa, która je stworzyła. Może to nie była królowa kopca z tej kolonii. Mogły powstać o wiele wcześniej, a potem rozmnażać się w naturalny sposób. Formidzi mogli nawet nie pamiętać, że te kraboszczury to ich krewniacy.

- Myślisz, że są jadalne? - zapytała Carlotta. - Nie dla nas, ale...
- Mają sporo mięsa - powiedział Ender. - Masz rację, to może być żywy obiad.

- Więc po co im dawać te szpony? - zagadnął Sierżant.
- Jeden szpon do kruszenia - wyjaśnił Ender. - Może złamać jak zapalkę każdą kość w naszych ciałach. W przeciwieństwie do Olbrzyma uważam, że muszą uciekać się do korzystania z drugiego szponu, przeznaczonego prawdopodobnie do chwytania i rozdzierania. Kruszącym łamią zdobycz, a potem przytrzymują, żeby rozszarpać.

- Czyli są mięsożerne - zawyrokował Groszek.
- Albo żywią się wyjątkowo twardymi owocami czy orzechami - dodał Ender. - Nie dowiemy się, dopóki ich nie zobaczymy w ich habitacie.

- Którym obecnie jest ogromny kosmolot - dorzucił Groszek.
- Więc teraz moja kolej? - zapytała Carlotta.
- Skończyłeś, Ender? - upewnił się Groszek.
- W zasadzie tak. Formidzkie proteiny, przypuszczalnie pochodzące od samych Formidów. Sierżant odkrył, że są niebezpieczne, silne i szybkie. Nie wiem, jak długo może im się opierać kombinezon próżniowy.

- Co je zabije? - chciał wiedzieć Sierżant.
- Cokolwiek. Pancierz nie chroni ich przed niczym mocniejszym od zębów mniejszych zwierząt. Mogą zgniatać się nawzajem, może je zmiażdżyć kamień wielkości pięści. Więc ty nam powiedz, jakiej broni powinniśmy użyć, żeby je trzymać w ryzach.

Sierżant kiwnął głową.

- Na pewno nie palnej, nie na statku. Zastanawiam się, czy nie możemy ich spowolnić sprayem usypiającym.

- Musiałbym mieć żywy okaz, żeby sprawdzić, co na nie działa - odparł Ender. - Ale znam środki uspokajające stosowane na okazach formidzkiej fauny z kilku skolonizowanych światów. Mogę upichcić koktajl usypiaczy, które nie mają wpływu na ludzi.

- Po prostu nie chcę ich zabijać hurtowo - wyjaśnił Sierżant.

- Teraz, kiedy wiemy, że wywodzą się od Formidów, jest całkiem

możliwe, że to one kierują statkiem.

- Za małe mózgi - zaproponował Ender.
- Ale mogą mieć królową - upierał się Sierżant. - Albo jakiś kolektywny umysł mądrzejszy niż poszczególne osobniki. Po prostu uważam, że nie powinniśmy tam wejść i zabijać. Ciągłe myślę o tych starych widach Formidów z Chłostania Chin, o tej wstrętnej chmurze, która zmieniała żywe istoty w kałuże i kupki protoplazmatycznej mazi.

- Przygotujmy więc kilka środków usypiających, które można zaaplikować w postaci mgły - zaproponował Groszek.

- I porządny, solidny plan awaryjny. Na przykład spray z kwasem. Nawet jeśli są rozumne czy półrozumne, jeśli nas zaatakują, żeby zabić, uderzymy pierwsi.

- Krwawa natura, kły i pazury - zacytowała Carlotta.

- Nie traktuj sentymentalnie stworzeń, które chcą nas zabić - skarcił ją Sierżant.

- Nie jestem sentymentalna - zaprzeczyła Carlotta. - Gotowa jestem zakrwawić pazury, jeśli tego trzeba, żeby przeżyć. Przecież wszyscy jesteśmy dziećmi Olbrzyma. Nie jesteśmy krwiożerczy, ale nie zawahamy się zabić w razie konieczności. Nie jak ten mięczak, którego imieniem nazwano Endera.

- Mówisz o moim przyjacielu - zwrócił jej uwagę Groszek.

- Nie naszym - odburknęła Carlotta.

- Gdyby tak miało być - powiedział Groszek - byłby waszym najwierniejszym przyjacielem i najlepszym obrońcą. Ale nigdy się o tym nie przekonacie, bo nigdy się nie spotkacie.

- Mówisz tak, jakby on wciąż żył - zdziwił się Sierżant.

- Dlaczego zakładasz, że nie żyje? - zapytał Groszek.

- Bo od wojny minęło ponad czterysta lat.

- Nie tylko my potrafimy wykorzystywać loty kosmiczne, żeby nie starzeć się w tym samym tempie co inni ludzie.

- Ale my jesteśmy szalem - przypomniał Sierżant. - Nikt przy zdrowych zmysłach by tego nie robił.

- Jesteśmy nowym gatunkiem walczącym o przeżycie - dodał Ender. - Dlaczego wielki Ender Wiggin miałby wyruszyć na tułaczkę?

Groszek nie chciał kontynuować tego tematu. Miał pewne podejrzenia, odkąd przeczytał Królową kopca, ale wolał ich nie formułować, zwłaszcza w bezpośredniej bliskości starożytnego statku kolonizacyjnego Formidów.

- Carlotto? - zwrócił się do córki. - Co wiemy o tym statku?

- To zdecydowanie starsza technologia. Formidzka... Nie ma pisma, tylko kodowanie kolorem najważniejszych rzeczy. Mnóstwo silniczków, dlatego potrzebują tylu włazów konserwacyjnych. Oczywiście musieli ich sporo usunąć w późniejszych modelach, kiedy przestawili się na prędkości relatywistyczne. Ta konstrukcja się nie nadawała. Myślę, że zbudowali ten statek w kosmosie, doczepiając wszystko do asteroidy, z której wykuli kształt, jaki widzimy. Prawdopodobnie większa część metalu tworzącego szkielet i kadłub statku, żelazo, nikiel i tak dalej, pochodzi z resztek asteroidy. Ale to nie jest nieprzenikalny stop ze statków, które najechały Ziemię po dwa tysiące setnym roku.

- Jeszcze go nie potrzebowali - zauważył Sierżant. - Nie przy dziesięciu procentach prędkości światła.

- Zgadza się - potwierdziła Carlotta. - Myślę, że ten statek rozstrzyga tę kwestię. - Nawiązała do długotrwałej dyskusji między historykami, dotyczącej niezwykle twardego stopu, tworzącego powłokę wokół wszystkich statków, które musiała pokonać Międzynarodowa Flota w wojnach z Formidami: czy ten stop miał służyć do obrony przed atakami wroga? To by sugerowało, że albo Formidzi walczyli między sobą w kosmosie, albo z innymi gatunkami obcych, których ludzkość do tej pory nie spotkała. Albo przylecieli na Ziemię, żeby walczyć z ludźmi. Jeśli jednak twardsza od diamentu powłoka miała jedynie osłaniać przed promieniowaniem podczas podróży z prędkością podświetlną, to znaczyło, że Formidzi nie przybyli na Ziemię przygotowani do wojny, tylko przypadkiem ich zbroje okazały się nie do przebicia. Arka stanowiła dowód, że wysyłali statki kolonizacyjne chronione tylko prymitywną tarczą antykolizyjną z przodu. Okazali się straszliwymi przeciwnikami w walce, ale prawie na pewno nie zamierzali jej podejmować, kiedy przylecieli na Ziemię.

- Miło wiedzieć - stwierdził Groszek. - Na szczęście ta kwestia i tak nigdy nie miała znaczenia. Co jeszcze?

- Te potężne kolumny pełnią funkcję konstrukcyjną... Cały szkielet statku wznosi się pionowo ze skały, jak ogromny wieżowiec. Ale są również puste w środku. To silniki rakietowe, i dostarczają paliwo. Nieradioaktywne, dużo śladów węgla. Paliwo musi być bardzo wydajne, bo nawet jeśli ta skała skrywa olbrzymie zbiorniki, raczej nie mogą sprowadzić statku na powierzchnię planety, żeby przetwarzać jakieś oparte na węglu surowce do pozyskiwania paliwa.

- Nie potrzebują go dużo - oświadczył Groszek. - To statek

wielopokoleniowy, więc nie muszą bardzo przyspieszać. Wystarczy powolne spalanie, aż osiągną prędkość podróży, a potem nic aż do deceleracji.

- Trudno odgadnąć, ile paliwa im zostało. Może ta planeta to ich ostatnia nadzieja, a może tylko wpadli rzucić okiem, czy się nadaje. Maszyneria, którą oglądałam, jest wiekowa, ale działa bez zarzutu.

- Wiekowa? Chodzi o tysiące lat? - zapytał Groszek.

- Nie, bliżej setki. Myślę, że w trakcie podróży wszystko wymieniano raz po raz. Mnóstwo wskazówek, że przez te lata wykonywano liczne prace konserwatorskie. Ale nie ostatnio.

- Jakież konkretne ramy czasowe?

- Tylko na podstawie oceny zużycia i zniszczeń. Elementy konstrukcji, które nigdy nie były wymieniane, z rysami i zadrapaniami od częstego demontowania i ponownego montowania części roboczych. Sporo osadów po smarach, ale żadnych nowych.

- Mamy więc do czynienia z jakąś katastrofą, która spotkała statek mniej więcej przed stuleciem - podsumował Sierżant. - I wtedy kraboszczury przejęły władzę.

- Nie ma konserwacji - podjęła Carlotta - ale wciąż jest pilot, który potrafi wprowadzić statek na geosynchroniczną.

- Coś jeszcze? Oprócz tych kolumn.

- Najlepsze zostawiłam na koniec. Ta wielka beczkowata konstrukcja otoczona przez kolumny mieści w sobie ni mniej, ni więcej, tylko ogromny wirujący cylinder.

- Zamiast więc obracać cały statek, obracają bęben w środku? To wariactwo - ocenił Ender.

- Tak właśnie pomyślałam - przyznała Carlotta - ale Formidzi nie muszą reagować na nieważkość tak jak my. Mają chrzęstne szkielety, nie kostne, więc mogą się regenerować w przeciwieństwie do nas. Nie sądzę jednak, że obracają ten cylinder, żeby wytworzyć dla siebie odśrodkową grawitację... To ich system podtrzymywania życia.

- Rośliny - odgadł Sierżant.

- W pomieszczeniach tej wielkości mogą hodować drzewa - zauważył Ender. - I to spore.

- Las deszczowy - oznajmiła Carlotta. - Albo nawet różne strefy, żeby utrzymywać pełen asortyment użytecznych bioform. Plony, które nieustannie się odnawiają. Może kraboszczury stanowią element tego cyklu żniw. Pełnoprawny ekotat... Habitat dla całej bioty, żeby zaszcześcić formidzkie

życie w nowym świecie.

- Może ich najbardziej inwazyjne gatunki - podsunął Ender - żeby szybko zdobyć przewagę.

- I oczywiście wytwarza tlen podczas podróży - dodała Carlotta.

- Czyli to, co my robimy na tacach naświetlanych ultrafioletem, oni robią w wielkim wirującym bębnie.

- Ale reszta statku wcale się nie obraca - stwierdziła Carlotta. - Otworzyliśmy jeden właz serwisowy w miejscu, gdzie mogłam się prześlizgnąć na dół i zobaczyć, jak cylinder się przesuwają. Według mojej oceny obroty dają im jakieś trzy czwarte g na wewnętrznej powierzchni cylindra.

- Czy to wystarczy, żeby przezwyciężyć nacisk akceleracji?

- zapytał Groszek.

- To zależy, jaki przebieg mają akceleracja i deceleracja - odparła Carlotta. - Zresztą zapewne mogą zwiększać obroty podczas zmian szybkości statku.

- Wtedy nie musieliby przenosić całej gleby do podstawy cylindra za każdym razem, kiedy przyspieszają - stwierdził Groszek.

- Ale wtedy we wszystkich innych pomieszczeniach na statku albo wcale nie byłoby grawitacji, albo dół leżałby po przeciwnej stronie niż masa skały, w kierunku rakiet - powiedziała Carlotta.

- I te korytarze - dodał Sierżant. - Formidzi musieli nimi pełzać na sześciorkach. Bo chociaż jesteśmy niscy, nie mogłem się wyprostować w ich tunelach. Dorosły człowiek czołgałby się na brzuchu i trudno mu byłoby użyć broni.

- Takie były tunele na Erosie - oznajmił Groszek. - Formidzi lubią niskie sufity.

- No, to ma sens w nieważkości - zauważyła Carlotta. - Ściany i sufit zawsze są blisko.

- Ale ponieważ w korytarzach nie ma ciężenia - podjął Sierżant - możemy nimi chodzić w inny sposób. Tunele są dostatecznie szerokie, żeby dwaj Formidzi się minęli, więc ludzie tak niscy jak my mogą stanąć na ścianach i całkiem się wyprostować. Musimy tylko przeskakiwać nad wejściami do bocznych tuneli.

- Możecie skakać na magnetycznych podeszwach? - zapytał Groszek.

- Nastawimy je na najniższą moc. Nie musimy się przyczepiać tak jak na powierzchni statku w otwartym kosmosie. Tylko żeby stopy nie odrywały

się od... ściany.

- Dobra robota, wszystkich trojga - pochwalił Groszek. - Wiem, że w waszych raportach jest więcej informacji, i skanowałem je w trakcie zbierania. Myślę też, że mamy już wszystkie użyteczne dane, które mogliśmy zdobyć na zewnątrz i dzięki temu rabowi -krabowi, dostarczonemu przez Sierżanta.

- Rabowi... - zachichotał Sierżant. - „Rab” dawniej oznaczało niewolnika.

- Niech będzie rab - zdecydował Ender. - Dopóki nam nie powiedzą, jak się nazywają.

- Kiedy wejdziecie do środka - zaczął Groszek - musicie pamiętać, że wszystkie formy życia pochodzenia formidzkiego prawdopodobnie wykorzystują w jakimś stopniu mentalną komunikację. Nawet jeśli przesyłają tylko impulsy, pragnienia i ostrzeżenia, mogą w ten sposób przekazywać sobie nawzajem informacje. Jeśli więc jakiś rab was zauważy, wszystkie natychmiast się o tym dowiedzą. Może są dostatecznie inteligentne, żeby zastawiać pułapki? Musicie uważać. A jeśli zrobi się niebezpiecznie, uciekajcie. Jesteście nie do zastąpienia. Rozumiecie?

Sierżant kiwnął głową, Carlotta przełknęła ślinę, a Ender wydawał się znudzony.

- Ender - zwrócił się do niego Groszek. - Chyba nie myślisz, że nie idziesz z nimi?

To go rozbudziło.

- Ja?

- Cała trójka - oświadczył Groszek. - Poszedłbym sam, ale znacie moje ograniczenia.

- Ale ja jestem od biologii - przypomniał Ender.

- Właśnie dlatego musisz iść. I tak troje do obrony to minimum. Jeśli zaś sam się tam znajdziesz, od razu będziesz wiedział, czego ci trzeba, zamiast czekać, aż przyniosą ci okazy.

- Ale... ale ja nie jestem przeszkolony...

Sierżant spojrzał na niego z pogardą.

- Myślisz, że jesteś za dobry, żeby sobie brudzić ręce?

- Ubrudziłem sobie ręce po łokcie we krwi kraboszczura - wytknął mu Ender.

- On nie miał na myśli brudu - wyjaśniła Carlotta. - Myślisz, że jesteś niezastąpiony, a nas można poświęcić...

- Nikogo nie można poświęcić - odparł Ender. - Po prostu niewiele wam pomogę.

- Pobijeś mnie - przypomniał Sierżant oschle. - Nie udawaj bezradnego.
- On się boi, to wszystko - powiedział Groszek.
- Nie jestem tchórzem - oświadczył Ender chłodno.
- Wszyscy się boimy - zapewniła Carlotta.
- Umieramy ze strachu - potwierdził Sierżant. - Kiedy te przeklęte raby się na mnie rzuciły, sfajdałem się w kombinezon. Każdy normalny człowiek się boi, jeśli wkracza na nieznany teren, gdzie czyha szybki wróg, którego nawet nie zna.

- Po co więc to robimy? - zapytał Ender. - Statek jest wymarły, nie poleci naszym śladem na Ziemię... Ludzkości nie grozi niebezpieczeństwo... Wyślijmy raport i ruszajmy dalej.

Tego najbardziej obawiał się Groszek - całkowicie rozsądnej propozycji, żeby się stąd wynieść. Ale ponieważ znał swoje dzieci, nie mógł argumentować za rozwiązaniem, na którym mu naprawdę zależało.

- Ender ma rację - oznajmił. - Nie musimy badać niczego więcej na tym statku.

Sierżant i Carlotta wydawali się nieco zawiedzeni, ale poczuli ulgę. Nie protestowali.

Groszek jednak wiedział, że Ender na tym nie poprzestanie.

- No więc załatwione - stwierdził Ender. - Gwiezdny Kongres może wysłać znaczne siły i kiedy tu przylecą, na ten statek wejdą prawdziwi wyszkoleni żołnierze.

Sierżant wyraźnie się zjeżył.

- Prawdziwi wyszkoleni żołnierze nie będą mogli stanąć w tych korytarzach nawet bokiem.

- Pewnie wszystko rozwalą i wszystkich pozabijają - burknęła Carlotta.

- Zanim tu przylecą, i tak nie zostanie nic do zabijania - odparł Ender. - Cokolwiek złego się stało sto lat temu, pewnie trwa nadal. Kiedy więc tu przylecą, cały statek będzie wymarły, czyli całkowicie bezpieczny.

Carlotta się oburzyła.

- Uważasz, że to dobrze? W tej chwili na tym statku istnieje życie, a ty się zgadzasz, by zamarło?

- A jak myślisz, co się z nim ostatecznie stanie? - zapytał Ender. - Przecież nie będziemy przescheczać formidzkiego lasu deszczowego na powierzchnię tej planety! To tylko muzeum.

- Ale żywe muzeum - nie ustępowała Carlotta. - Musimy zrobić zapisy wszystkiego, dopóki jeszcze żyje!

- Mamy katalogi formidzkiej flory i fauny ze skolonizowanych światów - przypomniał jej Ender.

- Ale nigdy nie widzieliśmy tych rabów, prawda? - odezwał się Sierżant. - Czy w ogóle wiedzieliśmy, że Formidzi przeprowadzali tego rodzaju genetyczne manipulacje?

- Owszem - oznajmił Ender. - Mieli takie złote i żelazne żuki, zjadające metale na tej planecie... jak jej tam... Szekspir.

- To jeden przykład - podkreślił Sierżant. - Nie uważasz, że warto zebrać dane, dopóki jeszcze się trzyma tam jako taki ekosystem?

- Zaryzykujemy więc życie dla nauki? - zapytał Ender.

- Nie dla nauki - zaprzeczył Groszek. - Dla przetrwania.

- Nie potrzebujemy do przetrwania formidzkiej bioty - zaproponował Ender.

Groszek westchnął. Musiał w końcu im powiedzieć, zanim umrze. A mógł umrzeć za godzinę.

- To prawda, że nie możemy jeść formidzkich roślin i zwierząt w takiej postaci - zaczął.

Wszyscy zrozumieli, do czego zmierzał.

- Myślisz, żeby je zaadaptować do naszych potrzeb?

- Węglowodany to węglowodany - odparł Groszek. - Przyjrzałem się lipidom w zestawieniu Endera na temat tego kraboszczura. Myślę, że są strawne. Zwłaszcza jeśli zmodyfikujemy pewne nasze bakterie jelitowe, żeby dokonać kilku prostych transformacji. Prawdziwym problemem są proteiny.

- Dlaczego w ogóle chcemy jeść formidzkie proteiny? - zapytała Carlotta, którą chyba lekko zemdliło na samą myśl.

- Ponieważ nie mamy wystarczająco bogatego asortymentu ziemskich roślin i zwierząt jadalnych w bazie genów na tym statku.

- Nie wiedziałam, że w ogóle jakieś mamy - zdziwiła się Carlotta.

- A j jednak mamy - zapewnił Groszek. - Niezbędne rośliny uprawne, kilka najważniejszych zwierząt... na przykład pszczoły do zapylania. Ale żadnych zwierząt na mięso. Ryż, fasola, kukurydza i ziemniaki... Nie wiadomo jednak, jak sobie poradzą w konkurencji z roślinami na tej planecie albo z formidzką florą w tej arce.

- Dlaczego miałyby konkurować? - zapytała Carlotta.

- On zaplanował, że tu zostaniemy - oznajmił Sierżant głosem

pozbawionym emocji.

- Od początku kierowałeś nas na tę planetę - domyślił się Ender.
- Jak tylko zobaczyłem, że leży w ekosferze, chciałem ją zbadać - potwierdził Groszek. - Nie ma lekarstwa. Dojrzałość płciową osiągniecie w normalnym wieku. Tak więc biologiczne dzieciństwo zajmie ponad połowę waszego życia, i na pewno nie zobaczycie swoich wnuków. A to znaczy, że wasze dzieci staną się rodzicami bez rodziców z poprzedniego pokolenia, żeby nimi pokierowali.

- Zaraz zwymiotuję - ostrzegła Carlotta. - Nie pozwolę żadnemu z nich...

- Oczywiście, że nie - uspokoił ją Groszek. - In vitro. Tak zostaliście poczęci, moi kochani. A na statku są sztuczne macice.

- Gdzie?! - wykrzyknęła Carlotta.

- Tam, gdzie nie możecie ich sabotować, dopóki nie dojrzejecie na tyle, żeby zrozumieć, że to jest wasza jedyna nadzieja. Nie możecie się uratować, ja nie mogę was uratować, taka jest prawda. Ale gatunek wciąż może przetrwać, bo jesteście mądrzy. Chociaż dojrzałość płciową osiągamy późno, to intelektualną w niewiarygodnie młodym wieku. Będziecie więc mieli całe lata, żeby uczyć wasze dzieci. Możecie utrzymać wysoki poziom cywilizacji, technologii, zasad moralnych... Możecie przetrwać.

- Ale umrzemy - powiedział Sierżant.

- Czy życie na tym statku jest życiem? - zapytał Groszek.

- Zawsze myślałem, że wrócimy do... - Ender zawiesił głos.

- ...ludzi? - dokończył Groszek. - Myślisz, że to się uda? Ja prosperowałem, bo byłem dla nich pożyteczny. Musieli wygrać wojnę i gdyby Ender Wiggin nie sprawdził się jako dowódca, stanowiąc wyjątek awaryjny. Potem Peter Hegemon potrzebował mnie do walki z Achillesem. A jeszcze później stałem się dziwologiem. Olbrzymem. Nie bali się mnie tylko dlatego, że bez wątplenia umierałem na gigantyzm. I już się nie mieściłem w czołgu ani w kokpicie odrzutowca.

- Twierdzisz, że zabiliby nas? - zapytał Sierżant.

- Nie wiem, co by zrobili. Może by was badali. Ale na pewno nie pozwoliliby wam poślubić normalnych ludzi ani płodzić dzieci, które będą czystymi antoninami.

- Leguminotami - poprawił Ender. - Bardziej nam się podoba *Homo leguminensis*.

Jestem wzruszony - rzucił Groszek nonszalancko, ale naprawdę się

wzruszył. Wykorzystali

jego imię... - Chodzi o to, że potrzebujecie własnego świata. Musicie się reprodukować jak szaleni, dopóki jeszcze jesteście młodzi, żebyście mogli nauczyć wszystkiego wasze dzieci. Żeby miały szansę utrzymać swoją własność, kiedy reszta ludzkości odnajdzie to miejsce.

- Na pewno już planują, żeby tu przylecieć - domyślił się Sierżant.

- Niby jak? - zapytał Groszek. - Nic im nie powiedziałem o tej planecie.

Na chwilę zapadło zdumione milczenie, a potem Ender się roześmiał, a za nim pozostali.

- Ale z ciebie kumo - stwierdził Ender. - Plany w planach. Kiedy zamierzałeś nam powiedzieć?

- Kiedy uznam, że mnie wysłuchacie - wyjaśnił Groszek. - Najchętniej przed śmiercią. Ale nagrałem to na wszelki wypadek.

- Ja tego nie zrobię - oświadczyła Carlotta. - Nawet jeśli nie będziemy uprawiać seksu... Nigdy, przenigdy!... - Spojrzała groźnie na braci. - Nasze dzieci będą musiały uprawiać seks, a to obrzydliwe!

- Nie - zaprzeczył Groszek. - Nie, jeśli będą się wychowywać oddzielnie. Na tym statku jest dosyć macic, żeby każde z was miało dziecko, które wychowa w oddzielnym habitacie. Co roku dacie im rodzeństwo. Wiecie, że po kilku latach one będą dostatecznie bystre, żeby pomagać. Będziecie mieli trzy oddzielne hodowle, które nie będą instynktownie unikać parzenia się z sobą, bo nie będą się uważały za najbliższą rodzinę.

- Ale wciąż będą rodzeństwem! - upierała się Carlotta.

- Genetycznie rodzeństwem i przyrodnim rodzeństwem. Ale nie to budzi w tobie wstręt. Naczelne wzdragają się tylko przed współżyciem z partnerem, z którym dorastały jako rodzeństwo, wychowywane przez tego samego rodzica. W innym wypadku nie czują wstrętu.

Więc ich okłamiemy - podsumowała Carlotta. Groszek musiał im przyznać rację.

- Na tym w połowie polega rodzicielstwo - powiedział. - Na kadrowaniu obrazu świata, w którym żyją twoje dzieci, tylko do tego, co powinny o nim wiedzieć. Dla ich dobra.

- Jesteś więc wspaniałym rodzicem - prychnął Ender. - Absolutnie wspaniałym.

- To znaczy jestem mistrzem kłamstwa - uśmiechnął się Groszek. - No tak, oczywiście. Jakbyście wy nie okłamywali mnie i siebie nawzajem przez połowę życia. Po to wynaleźliśmy język. Biedni Formidzi... oni nie mogą

kłamać.

- Ja nie kłamię! - upierała się Carlotta.
- To kłamstwo - powiedział Groszek cicho. - Ale nie nazywajmy tego kłamstwami. Nazywajmy to historiami. Kiedy coś się stanie, wymyślamy o tym historie. O tym, dlaczego to się stało. To jest właśnie istota dziejów i nauki: opowieści o przyczynach zdarzeń. Nigdy, nigdy nie są całkowicie prawdziwe... zawsze niekompletne, zawsze chociaż trochę przekręcone, i my o tym wiemy. Ale są dostatecznie prawdziwe, żeby uznać je za użyteczne. Wątpię, czy nasze umysły zdolne są pojąć całkowitą prawdę o czymkolwiek, sieci przyczynowości rozciągają się zbyt szeroko, żeby je ogarnął jeden człowiek. Ale historie, użyteczne kłamstwa... dzielimy się nimi i przekazujemy dalej, a kiedy dowiadujemy się więcej, poprawiamy je, albo kiedy potrzebujemy nowych opowieści w nowych okolicznościach, zmieniamy je i udajemy, że zawsze tak je opowiadaliśmy.

Ender ukrył twarz w dłoniach.

- To się wydaje takie trudne.
- Kłamanie? - zapytał Sierżant.
- Wychowywanie dzieci. Jedyny rodzic, jakiego naprawdę znaleźliśmy, jest w tym okropny i wątpię, czy my poradzimy sobie lepiej.
- Dziękuję bardzo - obraził się Groszek. - A wy jesteście najgorszym rodzajem dzieci, jeśli to ma jakieś znaczenie, i bynajmniej mi nie pomagacie. Och, zrobiłeś, co mogłeś - powiedział Ender. - I o to chodzi. Spędziliśmy z tobą pięć lat na tym statku i co wiemy? Za mało! Nic! Jeśli jutro umrzesz, będziemy beznadziejnie zapóźnieni.

- Macie ansibl. W ludzkich światach nasza rodzinka jest niewiarygodnie bogata i zatrudnia agentów, którzy dla nas pracują, nawet nie wiedząc o naszym istnieniu, co będzie trwało również po mojej śmierci. Dopilnowałem, żebyście wszyscy potrafili z nimi współdziałać, i nauczyłem was, żebyście nigdy nie zdradzili, że nie jesteście zwykłymi ludźmi gdzieś w Stu Światach.

- Och - powiedział Sierżant. - Zgadza się. W końcu cały czas szkoliliśmy się w kłamstwach.

- Będziecie mieli do dyspozycji wszystkie biblioteki świata. Ważne jest, czego się nauczycie: uprawiać ziemię, utrzymywać żyjący ekosystem, nie zanieczyszczać wody pitnej, zachować i ulepszać technologię. Żyć na takim poziomie, aby mieć nadwyżki, żebyście mogli poświęcać czas na pogłębianie wiedzy i uczenie innych, na pisanie i tworzenie. Możecie tego dokonać. Albo wasze dzieci i ich dzieci.

- Sam jestem dzieckiem - zaprotestował Sierżant i nagle łzy popłynęły mu z oczu. - Nie mogę sprawować kontroli nad dziećmi.

- Zawsze próbowałeś to robić - wypomniał mu Ender nieco uszczypliwie.

- Ale wy nie jesteście moimi dziećmi - odparł Sierżant. - Nie jestem za was odpowiedzialny.

- I oto spojrział dorosłości w twarz - podsumował Groszek. - Wystarczy tego, moje szkraby. Nie możecie przyswoić wszystkiego naraz. A ja i tak nie mogę was do tego zmusić. Ale właśnie dlatego powinniście jak najszybciej wejść do statku Formidów, żeby go opanować, zdobyć nad nim kontrolę i zacząć adaptować istniejące tam życie, żeby mogło koegzystować z roślinami i zwierzętami, które wy i wasze dzieci moglibyście jeść. A potem musicie założyć w tym świecie ekosystem, który sami dla siebie zaprojektujecie. Macie pojęcie, jak wiele czasu to zajmie?

- Myślę, że to niemożliwe - oświadczył Ender. - Myślę, że nasza trójka umrze tutaj, w arce, wciąż przygotowując rośliny i zwierzęta. Myślę, że to nasze dzieci albo dopiero ich dzieci obsadzą planetę.

- Jeśli się zgodzę na to wszystko - wtrąciła Carlotta. - Pamiętajcie, że to ja mam jajeczka!

- Daj spokój - powiedział Groszek. - Wiesz, że przy obecnej technologii można zmienić każdą komórkę w funkcjonującą komórkę jajową. Osobniki męskie mają oba chromosomy, X i Y. Jeśli się uprzesz, w tych macicach można implantować dzieci, z którymi nie masz nic wspólnego. Jeżeli więc wolisz skończyć jako genetyczna ślepa uliczka, wybór należy do ciebie. Ale nie będziesz wykorzystywała swoich komórek jajowych do manipulowania nami.

Wściekła Carlotta wybuchnęła płaczem.

- Więc już planujesz zrobić wszystko beze mnie!

Groszek z wielkim trudem wyciągnął rękę. Nie odważył się bezpośrednio dotknąć Carlotty z obawy, żeby nie zrobić jej krzywdy. Jego dłoń była taka wielka w porównaniu z jej drobnym ciałem... Ale ona objęła jego rękę i płakała w nią. Była rozgniewana, lecz wciąż była jego córką.

- Pozwolę każdemu z waszej trójki na wolny wybór, bez oglądania się na innych. Ale będzie znacznie lepiej, jeśli wszyscy dobrowolnie przystąpiacie do projektu kolonii, zamiast się kłócić między sobą. Dla dobra tego cudownego nowego gatunku, tego przeklętego plemienia krótko żyjących półbogów.

- W twoich ustach to brzmi heroicznie - zauważył Sierżant.
- Jesteście Zeusem, Apollem i Herą waszego plemienia - oznajmił Groszek.

- Afrodytą - poprawiła Carlotta.
- No, pięknie - zaśmiał się Ender. - I to mówi dziewczyna, która się zarzeka, że nigdy, przenigdy nie będzie uprawiała seksu!
- No więc Atena - zmieniła zdanie Carlotta. - Nie chcę być Herą.

Odgrywanie ról. Wciąż byli dziećmi i zamierzali wystawić sztukę. Ale zamierzali również zgodzić się na jego propozycję. Albo przynajmniej wypróbować ten pomysł. Groszek nie wiedział, jaką decyzję ostatecznie podejmą. Ale przynajmniej nie podnieśli otwartego buntu, jeszcze nie. Udało mu się przedstawić swoją koncepcję jako epicką przygodę. Chociaż w rzeczywistości to nie będzie nic heroicznego - tylko ciężka harówka, trudności, porażki, niebezpieczeństwa, rozpacz i żal, jak to w życiu.

- I zapamiętajcie jedno - dodał Groszek. - Wciąż jesteście ludźmi. Nauczcie tego wasze dzieci. Innym rodzajem ludzi, ale znacznie bliższym Homo sapiens niż neandertalczyk czy australopitek. Nie pozwólcie, żeby wasze dzieci myślały o ludziach jak o innych. Obcych. Wrogu. Błagam was.

- I tak będą myśleć w ten sposób - odparł Sierżant. - Nieważne, co zrobimy.

- Zróbcie z tego ich religię - zaproponował Groszek. - Zróbcie z tego wiarę, że dla ludzkości to będzie błogosławieństwo, czymkolwiek się staną wasze dzieci. Nie Sprowadziłem was tutaj, żeby zniszczyć rasę ludzką, tylko żeby ją ulepszyć.

- To budująca historia - powiedział Ender - ale sam przed chwilą nam wyjaśniałeś, ile warte są takie opowieści i jak długo przetrwają.

- Dopóty, dopóki są użyteczne - uznał Sierżant.

Przeciągające się milczenie. Groszek nie miał nic więcej do powiedzenia, nie w tej chwili. Musiał zostawić im więcej swobody, żeby sami wszystko przemyśleli.

- Dokonajmy inwazji na obcy statek kosmiczny - zaproponował wreszcie Sierżant. Opracuję jakąś usypiającą mgłę - obiecał Ender.

Ja zjem coś opartego na roślinach przyjaznych człowiekowi - oznajmiła Carlotta - a potem, zanim zasnę, popłaczę nad moimi biednymi dziećmi, wychowywanymi przez tych kretynów.

NA ARKĘ

Cincinnatus uparł się, żeby wypróbować usypiający koktajl Endera na sobie, zanim się zgodził zabrać go na formidzką arkę. Ender przewrócił oczami.

- Myślisz, że go nie przetestowałem na sobie?
- Chcę się tylko upewnić, że ta broń nie podziała na mnie.
- Nie wiem nawet, czy podziała na wroga - odparł Ender.
- Tak czy owak, świetnie - rzuciła Carlotta. - Ja upichciłam porcję napalmu.

- Chyba nie mówisz poważnie, żeby wnieść ogień na arkę!

Teraz Carlotta przewróciła oczami. 1

- On nie ma poczucia humoru.
 - Nie w kwestii broni - przyznał Ender. - Czego użyjesz jako wsparcia?
- Cincinnatus wskazał strzelbę opartą o bok lądownika „Herodota”, którego już dawno nazwali Ogar, bo był o tyle większy od Szczeniaka. Nigdy go nie pilotowali, nigdy nawet nie odłączali go od statku, więc Olbrzym miał nim kierować zdalnie. Dzieci polecą jako pasażerowie.

- Broń na pociski? - zdziwił się Ender.
- Plastikowy śrut - wyjaśnił Cincinnatus. - Przebije ich pancerze i będzie rykoszetował w środku. Od ścian po prostu się odbije.
- I trafi w nas - przepowiedział Ender.

Cincinnatus westchnął.

- Ender, kiedy ty studiowałeś geny, ja studiowałem broń... i opancerzenie. Nasze hełmy mają przesłony, będziemy w kurtkach, spodniach i rękawicach. Nie twierdzę, że raby nie mogą ich przegryźć, ale to wymaga czasu, a jeśli plastikowe kulki zrykoszetują i trafią w nasze kombinezony, po prostu się na nich zatrzymają i albo się przylepią, albo spadną. Tak czy owak nic się nie stanie.

- Bardzo wybiórcza broń - oceniła Carlotta.
- Odpowiednia do tego zadania - oświadczył Cincinnatus. - Moja siostra kiedyś nauczyła mnie tej zasady.
- Jaki jest nasz cel? - zapytał Ender.
- Mamy dwa - odparła Carlotta - oprócz zachowania życia i bezpiecznego powrotu.

- Wiem, że mamy dwa cele - powiedział Ender. - Chciałem tylko znać priorytet.

- Najpierw musimy znaleźć pilota - oznajmił Cincinnatus. - Ktokolwiek zaparkował tę arkę na orbicie, jest najbardziej prawdopodobnym źródłem zagrożenia. Dopiero po przejęciu kontroli nad arką wejdziemy do ekotatu i zobaczymy, jaki rodzaj bioty utrzymuje ją przy życiu.

Ender kiwnął głową. Cincinnatus ze zdziwieniem stwierdził, że brat wcale nie pali się do objęcia dowodzenia. Właściwie oboje oddali je jemu. Trudno uwierzyć, że zaledwie kilka tygodni temu ciągle się kłócili. Ale równie trudno było uwierzyć, że Cincinnatus naprawdę rozważał zabicie Olbrzyma. Dobrze pamiętał, że zaproponował to z całkowitą szczerością. Natomiast nie mógł sobie przypomnieć argumentów, którymi się posłużył, żeby przekonać samego siebie, że to jedyna słuszna decyzja. Byłem równie irracjonalny, jak każdy książę, który wbije sobie do głowy, żeby zdetronizować i zabić swojego ojca. Absalom, Ryszard Lwie Serce... - bez wątplenia byli równie przekonani o słuszności swojego postępowania jak ja. I równie głupi. To był głód działania. A teraz mogę działać. Jestem dowódcą i umieram ze strachu.

- Carlotto - powiedział - zostajesz w środku. Ja idę na szpicy, a Ender zamyka tyły.

- Chronisz dziewczynę? - zapytała Carlotta pogardliwie.

- Jeśli ktoś ma szansę zrozumieć wewnętrzny rozkład arki, to ty - odparł Cincinnatus. -Wszyscy będziemy walczyć w razie konieczności, ale atak z zaskoczenia powinien wyeliminować jednego z nas, nie ciebie, bo to ty wskażesz nam najbardziej prawdopodobny kierunek, żeby zlokalizować sterownię albo... znaleźć dla nas bezpieczne miejsce.

Carlotta kiwnęła głową.

- Uhum, to ma sens. Już myślałam, że chcesz mi udowodnić męską wyższość.

- Ależ skąd - zapewnił Cincinnatus. - Szanuję twoją ukrytą androgynię.

- A ja szanuję twoją - odgryzła się Carlotta.

W trakcie tej rozmowy wkładali broje i Cincinnatus pomagał im wszystko pozapinać jak należy. Przyciął laserem części do dziecięcych rozmiarów, więc pasowały całkiem dobrze, ale zapięcia były nieco prowizoryczne i mało intuicyjne.

- Chyba jesteśmy gotowi, ojcze - oznajmił.

Z głośników w kabinie rozległ się głos Olbrzyma:

- Przyczepcie się do ściany i zapnijcie pasy. Nie chcę się martwić, że się poobijacie, kiedy będę manewrował.

- Zamierzasz pokazać, jaki to z ciebie as pilotażu? - zadrwił Ender.

Cincinnatus sprawdził, czy wszyscy wykonali polecenie. Ze ścian wysunęły się uchwyty i mocno ich unieruchomiły. Lądownik zaprojektowano do przewozu ładunków - nie miał siedzeń. Ściany zabezpieczały to, co do nich przysunięto, ludzi czy pakunki.

- Ech - westchnął Olbrzym. - Dawno już nie miałem okazji pilotować takiej ślicznej maszyny jak Ogar.

Cincinnatus doświadczył wcześniej gwałtownych wstrząsów w Szczeniaku, toteż umiejętności Olbrzyma wywarły na nim wrażenie. Ogar odłączył się od „Herodota” i odpłynął w przestrzeń. Nie było żadnych szarpnięć, żadnych nagłych zmian kierunku. Jedna gładka parabola ruchu, cud efektywności, i zawiśli nad wciąż otwartą śluzą powietrzną arki. Z brzucha Ogara wysunęła się samokształtująca rura i przywarła szczelnie do powierzchni statku, całkowicie otaczając wejście. Dzieci oglądały to na holodisplayu. Poczuli nagły przeciąg, kiedy powietrze z Ogara wpadło do rury, a potem do śluzy.

- MF miała takie abordażowe rury wysuwane z boków lądowników, żeby oddziały szturmowe wchodziły na nieprzyjacielski statek wyprostowane - poinformował ich Olbrzym przez interkom - ale od kiedy Ender Wiggin nauczył nas, że brama wroga jest na dole, wszystkie nowsze promy miały rury na dnie, więc opadaliśmy na wrogi statek.

- Po co? - zapytał Cincinnatus. - W zero g możemy się orientować, jak nam wygodnie.

- Ludzie najchętniej trzymają się starej orientacji. To odruch. Świadomie orientujesz się w najkorzystniejszy sposób. Czemu sprzęt nie miałby w tym pomagać?

- Więc wiecznym pomnikiem geniuszu Endera Wiggina są rury abordażowe wysuwane z dna zamiast z boków?

- Oraz eksterminacja Formidów - przypomniał Groszek. - I bezpieczeństwo rasy ludzkiej, i całe mnóstwo światów nieskolonizowanych przez Formidów do skolonizowania przez ludzi. Chociaż pewnie to niezbyt wiele. Zwłaszcza w oczach dzieci, które dorastały we wszechświecie przekształconym przez Endera Wiggina.

- Ender Ksenocyd - mruknął Ender.

- Powiedz to jeszcze raz na moim statku, a zmienię ci imię - ostrzegł

Olbrzym.

Cincinnatus parsknął.

- Proponuję „Bob”.

- Nie ja go tak nazywam - zaprotestował Ender.

- Właśnie go tak nazwałeś - wytknął mu Olbrzym.

- To cała rasa ludzka tak go teraz nazywa. Z powodu tej książki, Królowej kopca.

- Mówca Umarłych naprawdę schrzanił reputację Endera Wiggina - zauważyła Carlotta.

- Jesteśmy połączeni - oznajmił Olbrzym. - Kiedy otworzycie wewnętrzne drzwi śluzy, Cincinnatus obejmie dowodzenie.

Carlotta pierwsza opuściła się rurą i sprawdziła, czy właz śluzy zamknie się za nimi, gdyby wskutek jakiejś awarii rura odłączyła się od arki. Dwukrotnie zamknęła go i ponownie otworzyła. Potem zawołała braci. Cincinnatus i Ender ruszyli za nią ze śrutówkami, pojemnikami sprayu na plecach i dyszami przymocowanymi do nadgarstków. Cincinnatus włączył display hełmu i po krótkim rozpoznaniu komputer zaczął analizować i etykietować wszystkie kluczowe elementy śluzy. To było łatwe - Carlotta wprowadziła już wszystkie informacje z pierwszej wyprawy Cincinnatusa. Kiedy ruszą w głąb arki, będzie ustnie oznaczała wszystko, co wymagało opisu, żeby hełmy mogły tworzyć mapy na bieżąco i by wszyscy widzieli te same nazwy dla tych samych rzeczy.

Cincinnatus pilnował czujników ruchu i ciepła, które mu powiedzą, gdzie celować i jak szybko cel się do niego zbliża. Zajął pozycję przy wewnętrznych drzwiach śluzy, jakby się spodziewał, że kilka tuzinów rabów czeka w gotowości po drugiej stronie, żeby ich zaatakować, jak tylko drzwi się otworzą. On tak by zrobił, gdyby powierzono mu obronę arki. Oczywiście jeśli raby słuchają czyichkolwiek rozkazów. Jak wykazał Ender, całkiem prawdopodobne jest, że zdziczały i stanowią takie samo zagrożenie dla pilota jak dla dzieci, które wtargnęły na statek. Może pilot siedzi gdzieś zamknięty i traktuje Cincinnatusa i jego drużynę jako wybawców. Jestem wielki bóg Quetzalcoatl i powróciłem.

- Co? - zapytała Carlotta.

- Udawałem Corteza - odparł Cincinnatus. - Przepraszam, że poruszałem ustami.

- Myślałam, że subwokalizujesz - powiedziała Carlotta. - Mój hełm próbował zinterpretować twoje słowa, ale nie mógł. Dostałam tylko: „jestem

wielki bóg”.

- Quetzalcoatl - wyjaśnił Ender. - Pierzasty wąż powracający do swojego ludu po długiej nieobecności.

- Z usypiającym sprayem i strzelbami na plastikowe kulki - dodał Cincinnatus. - Otwórz drzwi, Carlotto.

Drzwi się rozsunęły.

Nic się nie poruszyło.

Cincinnatus wślizgnął się do korytarza i przeorientował się tak, żeby stanąć prosto w wąskim przejściu. Dla Formidów stałby bokiem, na ścianie. Nie żeby to robiło jakąś różnicę. Sprawdził przyczepność magnetycznych podeszew i mruknął:

- Magnesy pięć.

Pozostali wydali to samo polecenie.

W rogu wyświetlacza, w którym pojawiał się obraz z tyłu, Cincinnatus zobaczył, że Ender zorientował się w przeciwnym kierunku, toteż jego sufit był dla Endera podłogą. W pierwszej chwili chciał go skarcić za błaznowanie, ale potem uświadomił sobie, że to sprytne posunięcie. Gdyby coś chciało skoczyć na Cincinnatusa z góry, dla Endera atakowałoby z poziomu podłogi - znacznie łatwiej coś takiego zauważyć i zastrzelić.

Gdy poprzednim razem Cincinnatus tu wszedł, raby pojawiły się niemal natychmiast. Czy to coś oznaczało, że teraz jeszcze się nie pokazały?

- Założyłem - zamruczał mu do ucha głos Olbrzyma - że ekotat ma dni tej samej długości co rodzinny świat Formidów. Jeśli poprzednio tu wszedłeś w formidzkie południe, teraz zjawiłeś się o północy.

- Jeżeli jednak prowadzą nocny tryb życia, to dla nich jest dzień. Na jedno wyc chodzi - stwierdził Ender cicho.

- Jeśli żerują o zmierzchu, to dla nich świt - oświadczył Cincinnatus. - A my jesteśmy załatwieni.

- Jeszcze żadnych nie widzę - odezwała się Carlotta.

- Wszyscy dostajemy te same odczyty instrumentów - powiedział Cincinnatus. - Rozmawiajmy tylko wtedy, kiedy jest coś ważnego. To dotyczy również ciebie, panie Olbrzymie.

- Fe fi fo - powiedział Olbrzym.

- Fum - wymruczały wszystkie dzieci, powtarzając zabawę z niemowlęctwa.

Korytarz, w którym stały, biegł po obwodzie arki. To znaczyło, że doprowadzi ich z

powrotem do punktu wyjścia.

- Czy szukamy tunelu, którym dojdziemy do środka statku? - zwrócił się Cincinnatus do Carlotty.

- Tutaj żadnego nie znajdziemy - odparła. - W środku tej sekcji jest cylinder ekotatu. Nie czujecie, jak się obraca?

- Czuję tylko lekką wibrację - powiedział Ender. - Założę się, że rotacja na obwodzie jest pozbawiona tarcia.

- Poduszka powietrzna - zasugerował Cincinnatus.

- Smar - sprostowała Carlotta. - Hermetycznie zamknięty. Albo miliardy łożysk kulkowych.

- Nieważne - uciął Cincinnatus. - Mój błąd z poduszką powietrzną. Znowu zamilkli.

- Chyba musimy iść do przodu - powiedziała Carlotta. - Sterownia może być z przodu albo z tyłu, ale pojazd został zaprojektowany tak, żeby chronić królową kopca, a ona będzie bliżej skały.

- Nie - sprzeciwił się Ender. - To znaczy tak, królowa kopca będzie w najbezpieczniej szym miejscu, ale to miejsce nie ma nic wspólnego ze sterownią.

Cincinnatus od razu załapał. Królowa kopca na tym statku mogła patrzeć oczami każdej formidzkiej robotnicy. Mogła być wszędzie.

- Przepraszam, racja - przyznała Carlotta. - Muszę przestać myśleć jak człowiek.

- Pozostaje to samo pytanie - odezwał się Cincinnatus.

- Przewody biegną w ten sposób, jakby były poprowadzone od przodu w stronę rufy, zdublowane dla redundancji. Zakładam pełen zestaw w każdym pionie. Czyli sterownia jest w środku, przed nami.

Cincinnatus cofnął się w myśli do służby i przypomniał sobie, w którym kierunku poprowadził ich obwodnicą.

- Więc to na górze?

- Według twojej pozycji tak - potwierdziła Carlotta. - Na dole dla Endera.

- Wybierz tunel, Car - polecił Cincinnatus.

- Nie znoszę tego skrótu - burknęła.

- Jeszcze bardziej nie cierpisz „Lotty” - szepnął Ender.

- Ciągłe was słyszę - ostrzegł Cincinnatus. - Na czas tej misji macie jednosylabowe imiona.

- „Car” za bardzo kojarzy się z samochodem - stwierdził Ender. - Ona

może być „Lot”.

- Lot - zgodziła się Carlotta.
- Zamknijcie się, bardzo proszę - warknął Cincinnatus.

Minęli dwa tunele biegnące do góry, ale Carlotta nie kazała im skręcić. Dopiero kiedy dotarli do dużego otworu po lewej stronie, powiedziała:

- To jest jeden z pionów.
- Czy w środku są te dysze rakietowe? - zapytał Cincinnatus.
- Ale wszystkie przewody biegną pomiędzy pionem a kadłubem - wyjaśniła Carlotta. -Przynajmniej tam zajrzyjmy.

Tunel był hermetycznie oddzielony od obwodowego korytarza, żeby ewentualne przebicie kadłuba nie wyssało powietrza z korytarzy biegnących przez cały statek. Drzwi otwierało się dźwignią, taką jak w śluzie powietrznej. Pomieszczenie za nimi miało kształt półksiężyca. Dostrzegli zasuszone zwłoki czterech formidzkich robotnic, rozrzucone bezwładnie jak zepsute lalki z połamanymi kończynami. Cincinnatus cofnął się odruchowo, zanim się opanował.

- One chyba nie umarły tutaj - oznajmił niemal natychmiast Ender. - Pewnie rzuciła je tu siła deceleracji, kiedy arka podchodziła do planety. Wtedy już były całkiem wyschnięte... Te wszystkie złamania powstały niedawno, a one nie żyją od stu lat.

- Umarły więc mniej więcej w tym samym czasie co królowa kopca - odgadł Cincinnatus.

- Prawdopodobnie - potwierdził Ender. - Tak robią Formidzi.
- Raby ich nie zjadły - zauważyła Carlotta.
- Widać nie potrafią obsługiwać dźwigni - stwierdził Cincinnatus.
- Nie są wystarczająco inteligentne, żeby zrozumieć jej działanie - dodał Ender - chociaż wystarczająco silne i zręczne.

Cincinnatus spojrzał na wznoszący się pasaż. W przeciwieństwie do obwodowego korytarza ten tunel miał żebrowanie, które mogło posłużyć za drabinę. Co miało sens. Kiedy statek przyspieszał albo zwalniał, Formidzi go potrzebowali, bo musieli się wspinać do góry. Na razie jednak, w zero g, Cincinnatus ponownie wybrał boczną orientację i wskoczył do tunelu. Carlotta ruszyła za nim, a Ender znowu szedł odwrotnie niż oni. Minęli kilka takich samych stacji, potem trafili na następne hermetycznie zamykane drzwi, a po drugiej stronie tunel zaczynał się sporo ponad tym, którym przyszli.

- Odsadzka - mruknęła Carlotta. - Żeby nic nie spadło przez całą

długość statku.

- A w ogóle jaki on jest długi? - zapytał Ender.

Nikt nie pofatygował się mu odpowiedzieć. Wszyscy wiedzieli, że formidzki statek miał około tysiąca dwustu metrów długości od miejsca, gdzie tunele wchodziły w skałę, do wylotów dysz rakietowych na rufie. Przednia ćwiartka każdego pionu była oddzielona od kadłuba, który zwężał się od tego miejsca w kierunku skały. Tam wyjdą z tunelu pionu i znowu skierują się do środka.

Widocznie do tego pionu zamknięto rabom dostęp na całej długości. Nie natknęli się na kolejne zwłoki ani na nieprzyjaciela. Ale kiedy wyszli z pasażu pionu na następny obwodowy korytarz, sytuacja się zmieniła. Powietrze było pełne śmieci, unoszących się jak pyłki kurzu w snopie światła. Dopiero po chwili zorientowali się, że to części ciał. Czujnik ciepła w hełmie ostrzegł Cincinnatusa, że za zakrętem korytarza w obu kierunkach znajdowały się żywe stworzenia, ale wszystkie poza zasięgiem wzroku.

Ender wysunął się do przodu i zaczął zbierać unoszące się szczątki, żeby je obejrzeć z bliska.

- Strzępki ciał rabów, ale również innych form życia. Skrzydła jak u owadów. Bardzo duże. Mnóstwo kawałeczków szkieletów, skóra, której nie rozpoznaje.

- Śmietnik? - zapytała Carlotta.

- Jadalnia rabów - odparł Ender. - Nie są zbyt schludni. Formidzi nigdy nie zostawiliby bałaganu, który ogranicza widoczność.

Hełm Cincinnatusa wszczął alarm.

- Albo nas zwęszyły, albo wyczuły ciepło naszych ciał - oznajmił Cincinnatus. - Mamy towarzystwo. Z obu stron.

Ender natychmiast przerzucił się na „sufit” i stanął przodem do tunelu. Uspokojony, że brat robi, co do niego należy, Cincinnatus odwrócił się w drugą stronę.

- Pryskaj najpierw, En, ale nie wahaj się użyć broni, jeśli nie zwolnią. Lot, kombinuj, dokąd stąd pójdziemy.

- Możemy iść w jedną albo w drugą stronę - stwierdziła Carlotta. - Nie widzę stąd żadnych możliwych tuneli.

- W moją stronę - zdecydował Cincinnatus. - En, trzymaj się blisko. Lot, możesz go przywiązać? Nie chcemy żadnych luk.

Wiedział, że Carlotta go posłucha i połączy się trzymetrowym kablem z Enderem. Ale choćby chciał, i tak nie miał czasu tego sprawdzić, bo spośród

śmieci nadbiegły raby, odbijając się od podłogi na ściany i sufit, roztrącając zawieruchę kości, skorup, skrzydeł i strzępów skóry. Wyglądały jak splątane tornado nadciągające korytarzem w górę.

Korytarzem w górę! W jednej chwili Cincinnatus zrozumiał, ile pożytku może przynieść doktryna Endera Wiggina: brama wroga jest na dole. Opadł na plecy, wparł stopy w ściany w wąskim prześwicie i strzelił sprayem w dół między nogami. Środek - jeśli w ogóle działał na raby - powinien poskutkować szybko. Delikatna mgiełka trysnęła z dyszy z taką prędkością, że wypełniła korytarz co najmniej na dziesięć metrów z przodu. Zapach był bardzo słaby.

Oczywiście usypiający aerozol wcale nie spowolnił rabów. Cincinnatus natychmiast przygotował śrutówkę do strzału, wycelował w dół między nogami i czekał, żeby zobaczyć, w jakim stanie będą stwory, kiedy się zbliżą.

Wciąż odbijały się od ścian, teraz jednak widział, że ten ruch nie był kontrolowany. Zamiast lądować zawsze na nogach, uderzały o ścianę różnymi częściami ciała i koziołkowały, nie posuwały się pyskiem do przodu.

- Spray działa - stwierdził Cincinnatus.
- Ehe - mruknął Ender.
- Więc ruszajmy dalej - zaproponowała Carlotta.

Cincinnatus poczuł przebłysk urazy - w końcu kto tu dowodził? - ale natychmiast uznał, że Carlotta ma rację i sam już powinien wydać taki rozkaz.

Przeorientował się, żeby znowu iść korytarzem. Oszołomione raby od strony Endera bombardowały go z tyłu, inne zderzały się z nim z przodu. Kombinezony absorbowały większość wstrząsów, ale niewystarczająco. Pojawiały się siniaki. Kiedy stwory trafiały w maskę Cincinnatusa, impet odrzucał mu głowę do tyłu. Mimo to szybko posuwał się do przodu, co jakieś dziesięć metrów przyskajac krótką salwą aerozolu. Ender wcale nie strzelał - szli w resztkach sprayu Cincinnatusa, a pierwszy strzał Endera zabezpieczył pasaż za nimi.

Cincinnatus minął duże hermetyczne drzwi po prawej stronie, prowadzące do wnętrza arki. W duchu założył się z sobą, że Carlotta je wybierze, ponieważ nie były otwarte, czyli prawdopodobnie nie było za nimi rabów. Rzeczywiście otworzyła je dźwignią. Pomieszczenie było czyste, chociaż sporo odpadków zaczęło do niego napływać razem z mgłą aerozolu.

- Następnym razem zaczekaj, aż cię osłonię, zanim otworzysz drzwi -

skarcił ją surowo Cincinnatus.

- Przepraszam. Tak, następnym razem - powiedziała Carlotta.

Cincinnatus przepchnął się obok niej i przecesał wzrokiem korytarz przed nimi. Pusto. Nic. Ani śladu ruchu czy ciepła.

Zobaczył, że Ender przechodzi przez drzwi i Carlotta je zamyka. Do środka przedostało się stosunkowo niewiele śmieci. Cincinnatus ruszył przodem w szybkim tempie.

- Jeszcze niczego nie zabiliśmy - zauważył Ender. - Chyba że giną od wpadania na ściany.^- I nic nie przeszło za nami przez drzwi? - upewnił się Cincinnatus.

- Czysto - zaręczył Ender.

- Przed nami długa droga do centrum statku - oznajmiła Carlotta.

Wkrótce korytarz doprowadził ich do wielkiej spłaszczonej komory. Cincinnatus wysiłkiem woli przeorientował się, żeby postrzegać to pomieszczenie jak Formidzi. Odległość pomiędzy podłogą a sufitem wynosiła najwyżej metr, ale obie powierzchnie były faliste. I podziobane wgłębieniami. Pokażnymi.

- Kwatery sypialne - domyśliła się Carlotta.

Na pewno miała rację. Każde zagłębienie było dostatecznie duże, żeby formidzka robotnica mogła tam wpełznąć i spać. Miękka organiczna powierzchnia chroniła je przed przeciążeniami akceleracji. Cincinnatus sięgnął do środka i nacisnął podłogę. Pękła. Niegdyś zapewne była elastyczna, ale wyschła. Prawdopodobnie Formidzi nawilżali swoje komórki podczas snu, żeby zachowały sprężystość. Teraz ściany pod dotknięciem rozpadały się na cząstki.

Trudno się szło. Magnesy nie działały, a kiedy dzieci próbowały zapierać się o sufit czy podłogę, odpadały. Ale Cincinnatus wkrótce wpadł na pomysł, żeby tylko leciutko odpychać się rękami i dryfować przed siebie w stałym tempie. Dotykał wyściółki jedynie wtedy, gdy musiał omijać wybrzuszenia; przez resztę czasu płynął w powietrzu. Obejrzał się i zobaczył, że pozostali dotrzymują mu kroku. Nieważne, czy naśladowali jego technikę, czy też samodzielnie ją odkryli. Ważne, że posuwali się do przodu.

W niektórych komórkach spoczywały zwłoki Formidów, ale większość była pusta.

- Dokąd się kierujemy, Lot? - zapytał Cincinnatus. - To się ciągnie bez końca.

- Prawdopodobnie konstrukcja sięga do piasty. Te kwatery sypialne

zawierają chyba setki...

- Około trzech tysięcy - wtrącił Ender - jeśli wszędzie dookoła jest tak samo. Minus kilka na to, co jest w centrum.

Cincinnatus nie zdziwił się, że chwilowo uwolniony od zagrożenia Ender zbierał informacje o życiu Formidów, zamiast się skupiać na misji. No, ale właściwie to była prawdziwa misja Endera. Jeśli nie ogłoszono alarmu bojowego, Ender studiował życie organizmów na arce, podczas gdy Carlotta badała maszynę i rozkład pomieszczeń. Rola Cincinnatusa polegała na zachowaniu gotowości bojowej, ale teraz nie groziło im bezpośrednie niebezpieczeństwo.

Hełm prowadził go w linii prostej w stronę centrum, wskazując mu drogę, kiedy zbaczał z kursu, omijając wybrzuszenia w suficie i podłodze. Nabrali sporej prędkości, toteż kiedy przed

nimi pojawiła się metalowa ściana, nie miał jak wyhamować. Zrobił jedynie przewrót, żeby wylądować stopami do przodu i zamortyzować wstrząs, uginając kolana. Magnesy miał nastawione na zbyt słabą moc, żeby go zatrzymały w miejscu, więc odbił się, chociaż ze znacznie mniejszą prędkością.

- Magnesy na dwieście - rozkazał.

Tymczasem Ender wpadł na niego - Carlotta ledwie ich ominęła - i we dwóch zdemolowali sporo formidzkich legowisk, zanim magnesy przyciągnęły ich do metalu w centrum. Kiedy wreszcie przywarli do metalowej ściany, pokrywały ich płatki wyściółki.

- Magnesy na piętkę - rozkazał Cincinnatus, żeby móc się poruszać.

Piasta miała regularne otwory pozbawione drzwi. Cincinnatus zanurkował w pierwszy, otrzymawszy zezwolenie Carlotty.

Znaleźli się w długim korytarzu prowadzącym w kierunku osi statku. Ten tunel miał szyny na tym, co Formidzi traktowali jak podłogę i sufit. To miało sens: wagonik nie utrzymałby się na szynach biegnących tylko po podłodze. Najwyraźniej coś tędy przeciągano, i to regularnie. Cincinnatus zauważył, że szyny błyszczały od ciągłego używania.

- Pociągi wciąż kursują - stwierdziła Carlotta.

Jak na zawołanie Ender zawołał z tyłu:

- Wciśnijcie się w kąty! Pociąg jedzie!

Cincinnatus przywarł do „podłogi”, po której szedł. Po chwili minął go tramwaj. Belki dociskowe przytrzymały koła na obu torach. Korpus tramwaju przypominał klatkę z drucianej siatki wypchaną jakąś organiczną

materią. Rośliny? Nie, materia się wila i napierała na siatkę, ale nic się przez nią nie wydostawało.

Nie raby, nawet niepodobne. To były jakieś miękkie stworzenia przypominające ślimaki, ale szersze i porośnięte włoskami. Albo rzęskami. Gąsienice? Analogie z ziemską fauną zapewne okażą się mylące. Zresztą to działka Endera.

Cincinnatus poszedł za tramwajem, ale nie próbował go gonić. Pojazd był automatyczny. Pytanie, czy robi pętlę, czy też wraca tą samą drogą po następny ładunek.

Nie wrócił. Po chwili Cincinnatus dotarł do miejsca, gdzie tory zakręcały do wewnątrz, do centrum. Oczywiście on również skręcił i natknął się na tył tramwaju, który zatrzymał się dokładnie nad otworem. Z dołu wydobywał się mdlący odór.

Przez drucianą siatkę Cincinnatus widział, że coś opróżnia klatkę. To był rab. Ale nic nie jadł, tylko zdrapywał resztki przywierających ślimaków. Potem otwór się zamknął i znowu ciemności rozświetlał tylko reflektor w hełmie Cincinnatusa. Tramwaj ruszył dalej, zamiast się cofać. Robił więc pętlę. I dostarczył ładunek.

Cincinnatus zebrał rodzeństwo wokół zasłoniętego otworu. Nie dostrzegli żadnej dźwigni.

- Co teraz, Lot? - zapytał Cincinnatus. - Po drugiej stronie był co najmniej jeden rab, ale nie jadł ślimaków, tylko je wyciągnął.

- Czy to wyglądało, jakby chwytający szpon był do tego przeznaczony? - zapytał Ender.

- W tej chwili to nie ma znaczenia, ale... tak - przyznał Cincinnatus. - Możliwe, że raby zaprojektowano właśnie do tego celu.

- Tymczasem - odezwała się Carlotta - chyba możemy podrobić sygnał, który informuje system, że przyjechał tramwaj. Jest mechaniczny. Patrzcie, koło najeżdża na pedał i nacisk uruchamia przełącznik. - Spojrzała na Cincinnatusa. - Gotowy, żebym to otworzyła?

- Spray w pogotowiu - rzucił Cincinnatus do Endera.

Ustawili wyloty dysz tak, żeby prysnąć do otworu.

- Ostrzegam, że tam śmierdzi - dodał Cincinnatus. - Teraz, Lot.

Drzwi się otworzyły.

Smród uderzył w nich od razu i nasilił się, kiedy weszli do gorącego, wilgotnego pomieszczenia. W pobliżu zebrało się kilka rabów zajętych

zaganianiem ślimaków po łagodnie wznoszącej się metalowej rampie. Jeden spostrzegł Cincinnatusa i odwrócił się do niego, ale nie zaatakował. Przeciwnie, cofnął się i najzwyczajniej przerzucił dźwignię, która ponownie zamknęła drzwi. Carlotta i Ender zdążyli już wejść do komory. Nie, nie komory. Jaskini. W przeciwieństwie do sypialni formidzkich robotnic to pomieszczenie było znacznie wyższe - miało kilka metrów, może pięć. Z sufitu opadało ku niemu niczym stalaktyty lub wznosiło się z podłogi niczym stalagmity znacznie więcej organicznej materii, tylko że tutaj była gąbczasta i sprężysta, a wgłębienia były znacznie węższe.

Raby popychały ślimaki w kierunku środka jaskini, gdzie wznosiła się miętko oświetlona z kilku stron platforma. Dzieci też ruszyły w jej stronę, choć śmierdziało stamtąd coraz bardziej. W końcu jednak zaczęły się przyzwyczajać. W dodatku hełmy oczyszczały powietrze za przesłonami, co trochę pomagało.

Ślimaki przywierały do rampy, a raby czepiały się jej krawędzi. Magnesy pozwalały dzieciom stać prosto.

- Wygląda to jak sala tronowa - powiedziała Carlotta.
- To są komory jajowe - oznajmił Ender. - Komnata królowej kopca.

Ale nie było żadnych jaj. Coraz więcej komór wypełniała brązowa maź ze smugami zieleni. Zgnilizna. Szlam rozkładu.

Na końcu rampy ślimaki spychano na platformę. Ponieważ jednak była już nimi zavalona, w większości martwymi, nowe staczały się po bokach i spadały z pluskiem w szlam pod rampą. Pływały jak węgorze, ale nie miały dokąd uciekać, jedynie do wypełnionych mazią komór jajowych.

- One karmią królową - oznajmił Ender. - Tylko że jej nie ma.

Tymczasem Cincinnatus dotarł do platformy. Przebrnął przez stosy ślimaków na środek. Niski murek nie dopuszczał stworzeń do trzymetrowego kręgu dokładnie w punkcie, gdzie ogniskowały się promienie światła. Wewnątrz tego ogrodzenia, rozciągnięty na organicznej materii, spoczywał szary wyschnięty trup skrzydlatej istoty, rozmiarem co najmniej dorównującej Olbrzymowi.

- Owszem, ona tu jest - odparł Cincinnatus. - Ale nie jest głodna.

W STEROWNI

Carlotta nienawidziła królowej kopca, nawet martwej. Królowe mogły bez przeszkód porozumiewać się ze swoimi córkami i nie potrzebowały do tego żadnych systemów komunikacyjnych. Mogły też pilotować statek z dowolnego miejsca, a pilot mógł przebywać gdziekolwiek, bo nie potrzebował danych wizualnych ani nawet instrumentów - wszystko, czego królowa kopca się dowiedziała od swoich córek, wiedzieli również pozostali. Dlatego Carlotta nie mogła znaleźć sterowni, śledząc okablowanie systemu interkomu ani namierzając źródło sygnałów radiowych - pomieszczenie to nie musiało się znajdować w miejscu umożliwiającym prowadzenie obserwacji.

Carlotta stała nad królową kopca, podczas gdy Ender robił holozdjęcia zwłok.

- Nie dotykaj jej - ostrzegł. - Rozsypie się w pył.
- To chyba znaczy, że przesłuchanie nie wchodzi w grę - mruknęła

Carlotta.

- Śmiało, zapytaj ją o cokolwiek - zaproponował Sierżant.

Carlotta straciła już ochotę do żartów.

- Ktoś pilotował ten statek i to nie była ona. Ale nie mogę namierzyć systemu komunikacji, bo go nie ma.

Ender nie przejął się jej zmartwieniami.

- Mam wszystkie możliwe ujęcia i przesłałem je na „Herodota”, więc zamierzam wziąć próbkę.

- A co z „rozsypaniem w pył”? - zagadnął Sierżant.

- Będę ostrożny - obiecał Ender.

- Chyba nie myślałeś, że my ją rozniesiemy na kopach - burknął Sierżant.

- Nie obchodzi mnie wasza rywalizacja, chłopcy - rzuciła Carlotta pod adresem Sierżanta. - Znaleźliśmy serce statku i to kupa gnijących zwłok, które miały być pożywieniem królowej.

- Ten system był tak niezawodny, że działa nawet po śmierci królowej.
- Ender nie mógł ukryć podziwu. Nie, dumy, j akby to on sam go zaprojektował. - Bez robotów, bez komputerów, tylko zwierzęta wyhodowane do tego zadania.

- Jak my - zauważył Sierżant.
- Olbrzym został wyhodowany - sprostował Ender - my się urodziliśmy.
- Jako kontynuacja eksperymentu - powiedział Sierżant. - Tylko że nasz projektant nie był taki dobry jak królowe.

Carlotta stwierdziła, że Ender rzeczywiście miał delikatny dotyk - zbierał próbki tkanek wyschniętej królowej kopca z różnych partii zwłok, ale niczego nie naruszył. Tylko skubnął odrobinę tu i tam i chował do samoczynnie zamykających się torebek na próbki. Dopiero po chwili dotarły do niej słowa Sierżanta i zobaczyła, że jednocześnie pojawił się Ender, ponieważ cofnął rękę od zwłok i się zamyślił.

- Formidzi bardzo dobrze znali się na genetyce - stwierdziła Carlotta.
- Ale nie mieli laboratoriów - zaznaczył Ender. - Przynajmniej nie tutaj. Albo ich laboratoriami były jajniki królowej. Mogła sama decydować, kiedy złożyć jajo, które stanie się nową królową, i przypuszczalnie stworzyć jajo, które stanie się rabem, nie robotnicą.

- Na pewno działała w tym względzie instynktownie - oświadczył Sierżant. - Musiała planować swoje działania, przynajmniej kiedy tworzyła raby.

- A kiedy się tym zajmowała - zagadnęła Carlotta - kto pilotował statek?

- Ona - odparł Ender.
- A kto się opiekował ekotatem? Kto przeprowadzał prace konserwacyjne? Kto składał raporty pozostałym królowym kopca na innych światach?

- Ona - powtórzył za Enderem Sierżant. - Królowe kopca są od nas mądrzejsze.

- Wielozadaniowość jest fantastyczna, ale czy królowa naprawdę widziała i słyszała dane wejściowe wszystkich swoich robotnic w tym samym czasie jednakowo wyraźnie? Czy raczej skupiała się na tym, co istotne? Istnieją granice podzielności uwagi.

- Dlaczego musi istnieć jakaś granica? - zapytał Ender.
- Udawaj przez chwilę, że jestem równie bystra, jak ty, i zastanów się razem ze mną - poprosiła Carlotta. - Formidzkie robotnice mają przecież mózgi i patrz, ona nie żyje, ale system działa bez niej.
- To nie Formidzi, tylko raby - sprostował Ender. - Psy pasterskie.
- Ale mogła przekazać te wszystkie zadania robotnicom, prawda? Jaka jest korzyść z tworzenia samopowielającego się gatunku, który to robi za nią?

Teraz Sierżant i Ender zrozumieli, o co jej chodzi.

- Ona nie mogła dzielić uwagi w nieskończoność - wywnioskował Sierżant. - Musiała wskazać automatyczne zadania, które wykonywano bez jej udziału i bez jej decyzji.

- To były bezmyślne, powtarzalne czynności - potwierdziła Carlotta. - Ale konserwacja statku wymaga rozumienia, co się robi. Czy ona musiała kontrolować każdą formidzką robotnicę przy każdym zadaniu, czy też uzyskiwały niezależność, jak już wiedziały, co mają robić?

- Sugerujesz, że pojedyncze robotnice nie stanowiły tylko przedłużenia jej umysłu - podchwycił Sierżant. - Nie jak ręce i nogi. Raczej jak idealnie posłuszne... dzieci.

- Ktoś pilotował ten statek - powtórzyła Carlotta - a ona go nie kontrolowała. A jeśli niektóre robotnice przeżyły jej śmierć? Jeśli nie znała każdej myśli w ich głowach, jeśli dała im niezależność, żeby nauczyły się swojej pracy i wykonywały ją nawet wtedy, gdy ona nie zwraca na nie uwagi, to po jej śmierci mogły pracować dalej.

- Nie - zaprzeczył Sierżant. - To ma sens, ale wiemy, że wszystkie robotnice umarły, kiedy umarły królowe kopca. Gdy Wiggin wraz z oddziałami szturmowymi zabił na kilku formidzkich planetach królowe, jego żołnierze meldowali, że wszyscy Formidzi jednocześnie przestali walczyć. Przestali uciekać, przestali robić cokolwiek. Położyli się i umarli.

- Ale się położyli - wytknęła Carlotta.

- Upadli - poprawił Sierżant.

- Czytałem te same raporty - odezwał się Ender. - Oni się położyli. Niektórzy wykazywali oznaki życia jeszcze po półgodzinie. Carlotta ma więc rację. Robotnice miały w ciałach jakieś systemy, które działały przynajmniej przez krótki czas po śmierci królowych.

- A jeśli ta królowa kopca, wiedząc, że umrze, wydała kilku swoim robotnikom instrukcje, żeby dalej pilotowały statek? - podsunęła Carlotta.

Chłopcy przytaknęli.

- Nie wiemy, jakimi mechanizmami sprawia, że Formidzi umierają po śmierci królowej - przyznał Ender. - Może istnieją wyjątki.

- Znajdźmy sterownię i sprawdźmy - zaproponował Sierżant.

- Na tym polega problem - wyznała Carlotta. - Nie wiem, jak ją znaleźć. Czy musimy otwierać każde drzwi w tym miejscu?

- Powiedziałas - podchwycił Sierżant - że jeśli robotnice mogły do pewnego stopnia myśleć niezależnie, a królowa kopca nie musiała

bezustannie przekazywać informacji od formidzkiego obserwatora do formidzkiego pilota, to mogą istnieć łącza informacyjne.

- Albo córka, która spełniała funkcję pilota, musiała zajmować pozycję umożliwiającą spojrzenie w dowolnej chwili na wskaźniki czy odczyty. Musiała wiedzieć, kiedy dokładnie znajdzie się w odpowiedniej odległości od planety. Jeżeli więc królowa kopca nie przekazywała jej nieustannie tych informacji, muszą istnieć instrumenty, które mogą wyśledzić.

- Dlaczego nie przeanalizujesz po prostu mechanizmów zapłonowych wszystkich rakiet? - zapytał Ender. - Pilot kontroluje je bezpośrednio... To jego zadanie. W ten sposób kieruje statkiem.

- Bo to najbardziej niebezpieczna część statku - odparła Carlotta. - Śledzenie instrumentów nie jest samo w sobie niebezpieczne. Śledzenie mechanizmów zapłonowych rakiet to co innego. Pilotka może właśnie czeka, aż zbliżymy się do tego systemu, żeby nas spalić.

Kojarzenie istoty płci żeńskiej z brutalną przemocą wydawało się jakieś niewłaściwe, ale wszyscy Formidzi, których ludzkość napotkała albo o których wiedziała, byli samicami, i to niebezpiecznymi. Co takiego napisał Kipling? „Samice tego gatunku są groźniejsze od samców”. Z pewnością w przypadku Formidów to była prawda.

- Coś, co nas zabije, uszkodzi również statek - zauważył Ender.

- Mają wszędzie wbudowaną redundancję. Mogą wytrzymać nieduże zniszczenia. My nie.

- Zastosujmy więc metodę otwierania wszystkich drzwi i jeśli trafimy na system gromadzenia danych, pójdziemy za okablowaniem - zaproponował Sierżant.

- To duży statek - przypomniał Ender. - I mnóstwo drzwi.

- Ale większą jego część zajmuje cylinder ekotatu - odparł Sierżant.

- To i tak ponad kilometr średnicy - powiedział Ender. - Tutaj raby są grzeczne, ale w innych miejscach będą dziczące. Zapas środków usypiających kiedyś nam się skończy, a ich efekty ustąpią. Już to sobie wyobrażam: będzie jak w grze wideo, kiedy wszystkie złe postacie nagle ożywają i rzucają się jednocześnie na ciebie. Gra skończona.

Carlotta rozejrzała się po otaczającym ich morzu zgnilizny.

- Dom, słodki dom - westchnęła. - Próbuję na to spojrzeć jej oczami, kiedy jeszcze żyła. Wszystkie te małe otwory były jak łona dla jej jaj. Wszystkie te ślimaki spędzano tutaj, żeby wykarmić ją i jej dzieci.

Ender wskazał w górę.

- Nie zapominaj o suficie.

Carlotta podniosła wzrok. Z najwyższych miejsc zwisało mnóstwo włóknistych narośli. Kilka miało na końcach kule wielkości melonów.

- Co to jest? - zapytała Carlotta.

- Kokony. Na pewno wszystkie martwe, ale chciałbym zabrać jeden do laboratorium do zbadania, jeśli to możliwe - powiedział Ender. - Wszystko na tym poziomie zostało skażone tą bakteryjną zupą rozkładu. Ale larwy, które otoczyły się kokonem, mogą jeszcze zawierać czysty materiał genetyczny wart przestudiowania.

- To nie jest nasz najwyższy priorytet - oświadczył Sierżant.

- Ale i nie najniższy - odparł Ender. - Skoro więc mamy czas na pogawędki, zbierzmy kilka próbek, zanim opuścimy komnatę paskudztwa.

- Chcesz stąd zabrać ślimaka? I bakterie? - zaniepokoił się Sierżant.

- Już wziąłem próbki jednego i drugiego po drodze.

- Miałeś być naszą tylną strażą, nie rozbrykanym przyrodnikiem - skarcił go Sierżant.

- Nic nas nie atakowało od tyłu - zripostował Ender. - Nie tylko królowe kopca mają podzielną uwagę.

- Chłopcy - mitygowała ich Carlotta. - Czy tak ma wyglądać całe nasze życie? Wy dwaj czepiający się jeden drugiego?

- Wyjaśnijmy coś sobie - powiedział Ender. - Tylko jedna osoba się czepia i to nie jestem ja. Wykonuję każdy rozkaz bez skargi, niczego nie krytykuję. To Sierżant koniecznie chce mnie przyłapać na jakimś wykroczeniu. Aleja nie robię nic złego. Carlotta sama to powiedziała: królowe kopca były wprawnymi genetykami i pracowały na własnym genomie, żeby stworzyć raby. Więc to, co tutaj zbieram, mogłoby nas nauczyć rzeczy, jakich ludzka rasa samodzielnie nie odkryła. Mogłoby nam uratować życie.

- Mogłoby - sarknął Sierżant.

- Znowu się czepiasz - stwierdził Ender. - To nie „chłopcy”, Carlotto, tylko Sierżant.

- Musimy znaleźć pilota - oświadczył Sierżant - i nie będziemy się rozdzielać.

- Piętnaście minut - powiedział Ender. - Zestrzelisz jeden kokon, a Carlotta i ja go złapiemy.

- Czym? Usypiającą mgłą? Ze śrutówki? - Sierżant miał triumfalną minę.

- Laserowym przecinakiem, który schowałeś w saszetce na pasie - wyjaśnił Ender.

Carlotta nic nie zauważyła. Enderowi niewiele umykało.

- Więc dysponujesz znacznie bardziej zabójczą bronią niż my, co, Sierżancie? - zagadnęła.

- Pomyślałem, że możemy się natknąć na żywą królową kopca - odparł.

- Ale tylko ty miałbyś prawo ją zabić? - drażył Ender.

- Podobno nigdy się nie czepiacie i nie krytykujecie - zadrwił Sierżant.

- Wystarczy - ucięła Carlotta. - Olbrzym słucha każdego naszego słowa. Tracimy czas na kłótnie. Ale zabranie kokonu nie jest stratą czasu, więc zrobmy to, a potem pójdziemy poszukać sterowni.

Obaj chłopcy spiorunowali ją wzrokiem, ale nie mogli z nią dyskutować - przypomnienie, że Olbrzym słucha, od razu ich uspokoiło.

- Ale w jednej sprawie jesteście tacy głupi, że to aż boli - ciągnęła Carlotta. - Tutaj iluzja jest taka dobra, że obaj się nabraliście.

- Jaka iluzja? - zapytał Sierżant.

- Iluzja grawitacji.

Patrzyła z triumfem, jak zrozumieli: kokon nie spadnie, kiedy go odetną.

- Ale inne kokony spadły - bronił się Ender kulawo.

- Podczas deceleracji - wyjaśniła Carlotta. - Statek się obrócił i rakiety pchnęły go w górę, żeby spowolnić tę wielką skałę. Wtedy kokony spadły.

- Ale ten cały płyn... - zaprotestował Sierżant. - Trzyma się podłogi.

- Trzyma się w otworach na jaja - sprostowała Carlotta.

- To nie jest płyn, tylko maź. Większość podróży odbywa się w zero g. Jeśli jaja i larwy potrzebują płynu, żeby się w nim rozwijać, musi być galaretowaty, żeby się nie rozlewał. Inaczej królowa by się w nim utopiła.

Ender oczywiście ekstrapolował:

- Królowa kopca potrzebuje takiego samego środowiska jak w domu - powiedział. - Na planecie ten płyn to pewnie zwykła woda, a larwy wspinają się na sufit, żeby uprząć kokony. Zbudowali więc to miejsce, żeby wyglądało podobnie i funkcjonowało podobnie nawet bez grawitacji.

- Teraz taki z ciebie geniusz - zadrwił Sierżant - ale nie pomyślałeś o tym, dopóki Carlotta...

Zamilkł, kiedy Carlotta weszła pomiędzy nich i spojrzała na niego groźnie.

- Magnes zero - zakomenderował Sierżant.

Już po chwili unosił się łagodnie do najbliższego kokonu. Laserowym

pistoletem zręcznie przeciął szypułkę, po czym spłynął na dół, trzymając kokon za pozostałą część szypułki. Ender włożył okaz do rozciągliwej torby, a potem do plecaka na próbki.

- Dzięki - powiedział.
- Teraz będziesz go niańczył, żeby go nie uszkodzić - burknął Sierżant.
- Czyli niewiele się przydasz w walce.
- Sierżancie - powiedziała Carlotta - Ender dużo się dowiedział z tego rozerwanego trupa raba, którego przywiozłeś w Szczeniaku. Może równie dużo się dowiedzieć z DNA w zmiażdżonym kokonie. Nie będzie więc go niańczył, będzie wykonywał swoje obowiązki.
- Zamierzał go niańczyć - upierał się Sierżant - dopóki tego nie powiedziałaś.

Ender trzepnął swój plecak na próbki. Mocno.

- Ech - powiedział. - Andrew Delphiki melduje się na służbę, szefie. Sierżant nie mógł powstrzymać uśmiechu.
- Zrozumiałem. No dobrze, Carlotto, dokąd chcesz iść?
- Obawiam się tylko - powiedziała Carlotta - że otworzymy niewłaściwe drzwi i wpuścimy bandę zdziczałych rabów. Rzucą się na świeże ślimaki i zrobią sieczkę z pracujących rabów, jeśli te spróbują przeszkadzać.
- Jeśli je uśpimy, ugrzęzną w tej bakteryjnej zupie, kiedy do niej wpadną - zamyślił się Ender. - Albo utoną, albo się w niej rozpuszczą.
- Wyrządzymy jak najmniej zniszczeń - powiedział Sierżant - ale nie ma sensu wracać tą samą drogą, bo tory po prostu robią pętlę do początku trasy. Carlotta zgodziła się, ale wciąż nie wiedziała, w którą stronę iść.
- Pytanie brzmi, czy sterownia jest zlokalizowana w centrum, w jednakowej odległości od wszystkich rakiet i sensorów, żeby wszystkie przewody i łącza były tej samej długości, czy na którejś krawędzi, żeby mieć okna podglądu?
- Jeśli ma okna - powiedział Sierżant - to będzie j ak najbardziej wysunięta do przodu, czyli maksymalnie osłonięta przez skałę.
- Ale na co okna, które pokazują tylko jeden kierunek? - zapytała Carlotta. - Ten statek jest kolisty. Nie ma brzucha ani grzbietu jak nasze.
- Więc sterownia ma okna z każdej strony? - podsunął Ender.
- Nawet w najwęższym miej scu, tuż pod skałą, średnica wynosi prawie dziewięćset metrów - zauważył Sierżant. - To całkiem spore stanowisko kontrolne.

- Więc zapominamy o oknach? - upewnił się Ender.
- Nie - zaprzeczyła Carlotta. - Te pięć kolumn absolutnie duplikuje się nawzajem. Redundancja. Myślę, że jest pięć stanowisk kontrolnych i wszystkie mają łącza prowadzące do każdego silnika, i wszystkie mają okna, więc jeśli zewnętrzne czujniki zawiodą, pilot wciąż może widzieć.

Sierżant przytaknął.

- I pomieszczenia kontrolne są odcięte jedno od drugiego, więc uszkodzenie jednego nie powoduje utraty powietrza w pozostałych.

- Pilot może się ukrywać przed zdziczałymi rabami w którymś z nich - zasugerował Ender.

- Idziemy więc na sam przód - zdecydował Sierżant - a potem szukamy pomieszczeń kontrolnych na obwodzie, dokładnie pośrodku pomiędzy pionami.

- Najlepszy widok - przyznała Carlotta.

- Jeśli formidzkie robotnice też jedzą te ślimaki - zastanowił się Sierżant - czy tam doprowadzono jakiś system dostawczy?

- Wątpię - odparł Ender. - Królowa kopca zostaje przy jajach i przynoszą jej jedzenie. Ale robotnice chwytają swoje posiłki między zmianami.

- Przyjmijmy więc, że tam są same korytarze, bez torów tramwajowych - zasugerowała Carlotta.

- Pytanie brzmi: jak daleko już się posunęliśmy do przodu? - rzucił Sierżant.

Dobre pytanie. Przeszli długą drogę tunelem tramwaju.

- Mapa - zaproponowała Carlotta.

Trójwymiarowy model statku pojawił się w odległości pół metra przed przesłoną jej hełmu. Oczywiście była to tylko iluzja stworzona przez samą przesłonę. Hełm wyczuwał, gdzie ona patrzy, i kiedy cichutko pyknęła wargami, robił zbliżenie. Kłąsnięcie językiem oddalało obraz.

- Jesteśmy właściwie dalej z przodu niż tył skały - powiedziała. - Królowa kopca jest przez nią otoczona. Pomieszczenie z oknem powinno być na rufie.

- Minęliśmy więc sterownię po drodze - zmartwił się Sierżant.

- Przyda nam się to, czego się tu dowiedzieliśmy - pocieszyła go Carlotta. - Martwa królowa kopca, zadania rabów i tak dalej.

- Poza tym znaleźliśmy się w tunelu - przypomniał Ender. - Mogliśmy iść jedynie tam, gdzie on prowadził.

Sierżant nie odpowiedział, tylko ruszył do jednych z pięciorga drzwi na obwodzie sali.

- Jak wybrałeś te drzwi? - zaciekała się Carlotta.

- Ene, due... - odparł Sierżant.

Za drzwiami ponownie zobaczyli chmurę odpadków i kilka podnieconych rabów. Psiknęli gazem i Carlotta zamknęła drzwi. Za następnymi zastali to samo, ale tym razem Sierżant przeprowadził ich na drugą stronę. Sprayem utorowali sobie drogę do pasażu wiodącego na rufę - w dół, zgodnie z formidzką orientacją korytarzy, na prawo według ich orientacji, ponieważ szli po ścianie niskiego, szerokiego tunelu, żeby mogli się wyprostować. W całym tunelu unosiły się śmiecie pozostawione przez zdziczałe raby.

- Co one jedzą? - zapytała Carlotta.

- Te wszystkie szczątki to resztki ciał rabów - odparł Ender. - Zjadają się nawzajem.

- Coś musi dostarczać składniki odżywcze do systemu - wytknął mu Sierżant z wyższością.

- Ktoś okrada spiżarnię - wyjaśnił Ender. - Pięć ramp prowadzi od podium królowej do pięciorga drzwi, za którymi są przystanki tramwajowe. Ale dostawa ślimaków odbywa się jedynie przez te, przez które weszliśmy. Co jednak nie znaczy, że system pomija pozostałe tramwaje. Zdziczałe raby pewnie zjadają cztery piąte dostaw żywności na początku trasy.

- Założysz się, że ślimaki pochodzą z ekotatu? - zapytała Carlotta. - Tam się zaczyna zbiór. Ale po ślimakach nie zostają fragmenty szkieletów, które fruwały w tunelach.

- Wszystko się w końcu wyjaśni - uciął Sierżant. - Na razie skupmy się na naszym celu.

Dotarli teraz na poziom, który według mapy Carlotty powinien się znajdować na rufie, tuż

za przecięciem skały i kadłuba.

- Jeśli tu w ogóle są okna, powinny się zacząć na tym poziomie.

- Maksymalna osłona - powiedział Sierżant. - Zagazujmy ten poziom.

Wpuścili mgłę w korytarz i zaczęli obchód. Znaleźli drzwi, ale wszystkie prowadziły w stronę centrum.

- Może się mylimy i pomieszczenie kontrolne jest w środku...? - zastanawiała się Carlotta.

- Możemy sprawdzić - zaproponował Sierżant.

Zajęli swoje standardowe pozycje przy drzwiach i Carlotta je otworzyła.

Wyglądało to tak, jakby skoczyły na nią wszystkie raby znajdujące się na statku. Sierżant i Ender sprayowali jak szaleni, ale potrzebowali kilku sekund, żeby uśpić raby, a w tym czasie dwa zdążyły wbić szpony pod przesłone Carlotty. Gdyby znały ludzką anatomię, mogłyby przeciąć jej tętnicę szyjną, ale zamiast tego zaatakowały miękkie miejsce pod brodą. Bolało okropnie. Carlotta próbowała odpełznąć, ale coś ją trzymało za nogę i nie puszczalo.

Sierżant. To Sierżant ją trzymał. Wszystkie raby, które wysypały się z wewnętrznej komory, latały bezwładnie w powietrzu i obijały się o ściany, niesione siłą rozpędu. Ender wciąż wtryskiwał mgłę do środka, ale już nic stamtąd nie wyleciało.

- Krwawa jatka - mruknął Sierżant. - Kto by się spodziewał tyle krwi w tej dziewczynie?

Parafrazował Makbeta¹. Próbował odwrócić jej uwagę. Albo ukryć strach. Podniosła rękę,

żeby zdjąć hełm, ale on już go ściągnął. Mętnie sobie uświadamiała, że zerwał go szarpnięciem, zaczepiając o uszy. Poczuliaby większy ból, gdyby jakiś młot nie walił jej właśnie w szczękę.

W ciągu minuty na szyi znalazł się opatrunek z koagulantem, a środek znieczulający zaczął działać.

- Możesz poruszać językiem? - zapytał Sierżant. - Mówić?

Carlotta spróbowała. Od anestetyku trochę zdrętwiał jej język, ale mogła go używać.

- Mówię bez problemów.

- Mamrocześ, ale to wystarczy. Ciągłe jesteś nakręcona.

- Szybkie dranie te raby - powiedziała Carlotta. Albo chciała powiedzieć. W każdym razie próbowała.

- Zabawne - mruknął Sierżant. Więc ją rozumiał. Albo przynajmniej rozumiał jej intencje.

- Misja przerwana? - zapytała.

- Oszalałaś? - obruszył się Sierżant. - Zobaczymy, jak się poczujesz za chwilę, kiedy lekarstwa lepiej podziałają. Gdzie jest twój głupi brat?

Chciała powiedzieć: „Stoi przede mną”, ale nie miało sensu go obrażać w chwili, kiedy opatrywał jej rany.

Wtedy wrócił Ender.

- Co z nią?

- Tylko obrażenia miękkiej tkanki pod zuchwą. Gardło nienaruszone,

lekarstwa wyleczą wszystko w ciągu kilku godzin.

- Szkoda, że nie wiem, jak długo podziała usypiacz - powiedział Ender.
- Co tam robiłeś? - zapytał Sierżant.

Wtedy Carlotta się zorientowała, że Ender wyszedł z komory, z której wyskoczyły raby.

- To komora lęgowa. One broniły swoich młodych.
- Jakież królowe? - zapytał Sierżant.
- Raczej przypominają foki... matki i ich młode zebrane dookoła.

Wielkie pomieszczenie.

- Do czego służyło? - zapytała Carlotta, choć zabrzmiało to jak: „Do hego huszyło?”, ale widocznie to wystarczyło jej genialnym braciom.

- Myślę, że to centrum kontroli - oznajmił Ender. - Całe okablowanie tędy przebiega. Wszędzie sieci przewodów, kanały pełne kabli i drutów, mnóstwo wejść technicznych na wszystkim.

- Raby tego nie niszczą? - zapytał Sierżant.

- Żadne drzwi nie były otwarte - zapewnił Ender. - Nie są dostatecznie bystre, żeby to zrobić.

- Może nie wyhodowano ich do ich otwierania - zauważył Sierżant.
- Ale wiedziały, że trzeba się zebrać pod nimi - zaznaczył Ender.
- Usłyszały nas - podsunęła Carlotta.
- Prawdopodobnie - zgodził się Sierżant. - Atakujemy młode i mamusie.

Trzeba się było z nami rozprawić.

- Można spokojnie założyć, że pilota tam nie ma - uznał Ender.^- I to nie była sterownia?

- upewnił się Sierżant.

Ender nawet się nie pofatygował, by odpowiedzieć. Carlotta zaś pomyślała: „A co? Według ciebie raby obijały się o instrumenty i przypadkowo wprowadziły statek na geosynchroniczną?”. Ale zaraz przyszło jej do głowy: „A jeśli zaprogramowano automatyczną procedurę, żeby przypadkowe włączenie instrumentów dało takie skutki? Może więc wcale nie ma pilota, tylko automatyczny program orbity? Bez komputerów? Królowe kopca nie miały komputerów. Wszystko biologiczne, mechaniczne i elektryczne, ale nie elektroniczne... Kiedy chciały, żeby coś działało automatycznie, tworzyły do tego odpowiednią formę życia...”.

W głowie jej się rozjaśniło. Od wypadku upłynęło piętnaście minut. Wyszła już z szoku. Czuła też, że uszkodzenia skóry i gruczołów ślinowych się goją. Sięgnęła po hełm. Sierżant chciał ją powstrzymać, ale tylko przez

chwilę.

- Jesteś pewna? - zapytał.
- Ehe - odparła i zaczęła odbierać dzięki niemu raport o postępach leczenia.

- Dobra szybka robota, Sierżancie - odezwał się Olbrzym. - Enderze, dobry zwiad. Carlotto, jesteś twarda jak skała.

- Chciałabym - mruknęła.
- Chodźmy, zanim raby się obudzą - ponaglił ich Sierżant. - Dalej uważam, że sterownia

- czy sterownie - może być na tym poziomie. Wszystkie przewody poprowadzone przez piastę muszą skądś wychodzić i dokądś zmierzać. Pewnie na tym poziomie.

Ale się mylił. Wiodły na następny poziom rufowy, gdzie dotarli godzinę później. Dowiedzieli się również, że mieszanek usypiaczy działa dłużej niż przez godzinę, ponieważ żaden rab się nie obudził. Zaczęli sądzić nawet, że jest zabójcza i zwierzęta nie obudzą się już nigdy.

Carlotta natychmiast rozpoznała drzwi do sterowni. Miała je pod stopami, wyjątkowo szerokie i wysokie. Wyposażone też były w okno, przez które widzieli światło. Silne światło. Słoneczne. Znajdowali się po tej stronie statku, która obecnie była zwrócona ku słońcu.

- To nie tu - oświadczyła Carlotta. - W sterowni musi być jakiś sposób, żeby zasłonić okna, kiedy blask słońca wpada prosto w nie. Te tutaj nie są zasłonięte. Ale to będzie taki sam pokój, tylko dalej.

Obchód statku zabrał im trochę czasu. Po drodze rozpylali mgłę w korytarzach, bo znaleźli w nich śmieci, chociaż znacznie mniej niż wcześniej. A potem Carlotta coś sobie uświadomiła i kazała im przestać.

- Ten usypiacz podziała również na pilotów... Na pewno są biologicznie spokrewnieni z Formidami, nawet jeśli to nie są sami Formidzi. Musimy poczekać, aż mgła się rozwieje, zanim otworzymy drzwi.

- Wentylacja wolno działa - zauważył Ender.
- Może lepiej im zaaplikować trochę usypiacza - zaproponował Sierżant. - Nie pełną dawkę, tylko tyle, ile napłynie z korytarza.

- To im się nie spodoba - ostrzegła Carlotta.
- Jeśli zasną, nie będą zgłaszać żadnych pretensji - odparł Sierżant.
- W ten sposób my ich zobaczymy, ale oni nas nie - dodał Ender.
- I nie sprowadzą statku z orbity, żeby Olbrzym musiał nas szukać - dokończył Sierżant.

Carlotta uznała słuszność tych argumentów, chociaż nadal nie była zachwycona pomysłem.

Otworzyli drzwi do następnego pomieszczenia, w jednej piątej drogi wokół statku, do którego słońce nie wpadało tak bezpośrednio. Owszem, to była sterownia - kilka stanowisk dostosowanych do kształtów Formidów i paneli kontrolnych, mnóstwo nieoznakowanych tarcz i displayów z małymi światełkami, i siedziska przed oknami, miejsca dla obserwatorów. Ale ani żywej duszy. Ani nawet żadnych zwłok.

- Tak czy owak, koncepcja była słuszna - orzekł Sierżant.
- Teraz wiemy, że sterownie są rozmieszczone symetrycznie wokół kadłuba, a nie ukryte w piaście.
- I wiemy, że Formidzi chcieli widzieć, a nie tylko odbierać dane od królowej kopca -dorzucił Ender.
- Albo w ten sposób ona pozyskiwała informacje - powiedziała Carlotta.

- Możliwe - zgodził się Sierżant. - Obserwatorzy we wszystkich pomieszczeniach sterowni, ale prawdziwy pilot tylko w jednym.

- Więc znajdziemy to jedno - rzuciła Carlotta.

Sierżant chyba nie miał nic przeciwko temu, że uprzedziła jego rozkaz. Wyprowadził ich z powrotem na korytarz. Nie musieli rozpylać więcej mgły - ta wystrzelona wcześniej wciąż wędrowała korytarzem dookoła całego statku. W mniejszym stężeniu nie działała tak szybko -napotkane raby wciąż poruszały szczękami i kończynami - ale Sierżant i Ender postanowili nie przyskać więcej. Te raby nie próbowały atakować, usiłowały tylko nie zasnąć. Bezskutecznie.

W trzeciej sterowni było ciemno. Nocna strona. Ale kiedy Carlotta skierowała reflektor swojego hełmu na drzwi, wskazała błyszczący metal przy górnej i dolnej framudze. Te drzwi często otwierano w ostatnich latach.

Zajęli pozycje. Carlotta stanęła z boku - nauczona doświadczeniem - i przełożyła dźwignię. Drzwi się rozsunęły.

Nic nie wyskoczyło. Ze środka nie dobiegł żaden dźwięk. Sierżant opuścił się do pomieszczenia i popłynął w stronę ściany z oknami. Włączył reflektor hełmu i omiótł otoczenie snopem światła.

- Nie ma ruchu - powiedział cicho - ale jest źródło ciepła.

Carlotta weszła do środka. Ender zawahał się w drzwiach.

- Mam pełnić wartę? - zapytał.

- Wejść i zamknij drzwi - polecił Sierżant. - Chyba znaleźliśmy

naszych pilotów.

Carlotta podeszła do ściany z oknami, a potem w ślad za Sierżantem zbliżyła się ostrożnie

do stanowiska z instrumentami sterowniczymi.

Do panelu kontrolnego przywierało kilka małych nieruchomych kształtów. Były mniejsze od Carlotty, dwukrotnie niższe, ale dłuższe od rąbów. Miały skrzydła - opalizujące - i nie miały szponów. Dwa przednie ramiona po obu stronach wydawały się zrosnięte i rozdzielały się dopiero przy końcu. Ale Y utworzone przez końce stóp mogło chwytać dźwignie i pokręta. Formidzkie szczęki również się do tego nadawały. Oczy nie znajdowały się w zwykłym miejscu, tylko na czubku głowy, wprawdzie nie na słupkach, ale umieszczone na zewnątrz czaszki. Poruszały się i śledziły ruchy trójki dzieci.

- Czym one są? - zapytała Carlotta cicho. - Czy królowe kopca hodowały specjalną rasę pilotów?

- Wątpię - szepnął Ender. - Popatrz, jakie są chude. I osłabione. I mają haki na tylnych nogach. I te oczy na czubku głowy... Nie zostały stworzone do pilotażu.

- Więc do czego? - zapytał Sierżant.

- W ogóle nikt ich nie stworzył - odparł Ender. - Tylko ewolucja.

- Skąd wiesz?

- Bo ich budowa pozwala przyczepiać się do czegoś. Te tylne haki... nie są do chodzenia. A skrzydła wyglądają na sprawne. One latają... dlatego są takie chude.

- Chociaż głowy mają duże - zauważyła Carlotta.

- Inteligentne? - zapytał Sierżant.

- W pewnym stopniu - potwierdził Ender. - Dostatecznie inteligentne, żeby wprowadzić statek na orbitę.

- Dostatecznie inteligentne, żeby zrozumieć, co mówimy? - zaniepokoił się Sierżant.

- Może, gdyby miały uszy - odparł Ender. - Ale Formidzi nie posiadają organów słuchu, tylko wyczuwają wibracje. Wiedzą, że hałasujemy, ale nie wiedzą dlaczego.

- Formidzi? - zdziwił się Sierżant. - To są Formidzi?

- Z całą pewnością - przytaknął Ender.

- Więc dlaczego nie umarli, kiedy umarła królowa kopca? - zapytała Carlotta.

- Bardzo interesujące pytanie - przyznał Ender. - Może ci nie reagują tak jak robotnice. Może po śmierci królowej kopca żyją dalej, żeby przyczepić się do następnej.

- Przyczepić? - powtórzyła Carlotta. - Jak pasożyty?

- Ale pożyteczne - zaznaczył Ender. - Myślę, że to samce Formidów. Spędzają życie przyczepione do królowej kopca. Żeby mogła korzystać z ich genów w razie potrzeby.

- Ale ona była taka duża - zdziwiła się Carlotta.

- Dymorfizm płciowy - wyjaśnił Sierżant.

- Czekaście - powiedział Ender. - One chyba nie chcą, żebyśmy się jeszcze bardziej zbliżyli. Ten zamierza odlecieć.

Carlotta też to zobaczyła. Skrzydła się rozciągały. Oczy spoglądały prosto w górę.

- Czy jest jakaś szansa na nawiązanie z nimi porozumienia? - zapytała.

- Mam nadzieję, że nie komunikujemy zagrożenia - powiedział Ender. - Nie pokazujcie ich rękami. Odłóżcie strzelby.

- Nie - uciął Sierżant.

- Masz rację - przyznał Ender. - Ale wy dwoje cofnijcie się, dobrze? Chcę tam wejść sam i nieuzbrojony.

Carlotta natychmiast usłuchała; po chwili Sierżant podjął taką samą decyzję. Ender powoli pchnął swoją strzelbę w stronę Sierżanta. Zdjął hełm i posłał go do Carlotty. Potem przekręcił się na wznak. Carlotta zorientowała się, że w tej pozycji miał oczy na czubku głowy, jak Formidzi. Ender przyciskał ramiona do boków, dryfując powoli w stronę panelu kontrolnego, gdzie czekali Formidzi. Traktował swoje ramiona jak skrzydła, odgadła Carlotta, pokazywał, że je złożył, naśladował ich postawę. Czy w ten sposób Formidzi demonstrowali uległość? Czy poddawali się nam, a teraz Ender im się poddawał?

Kiedy przydryfował bliżej, zaczęli się poruszać. Byli tacy mali... Trzech z piątki, wciąż uczeplonej rozmaitych instrumentów - instrumentów zdecydowanie niezaprojektowanych dla nich, co teraz widziała Carlotta - sięgnęli do głowy Endera. Usłyszała, jak Sierżant szybko wciąga powietrze.

- Zostaw go - rozległ się w hełmach cichy głos Olbrzyma. - To ryzyko, które musi podjąć.

Carlottę zdumiał spokój Endera, kiedy formidzkie samce dotknęły jego głowy i ostrożnie

go zatrzymały. Te igrekokształtne szpony, te szczęki tak blisko jego

twarzy... Resztki bólu w zuchwie przypomniały jej, jak niebezpiecznie jest dopuszczać obcych do głowy.

Formidzi, którzy trzymali Endera, przysunęli pyski do jego głowy. Pozostali dwaj pełnili chyba straż. Ender jęknął nisko, niemal krzyknął, gdy poczuł na głowie ich szczęki. Sierżant ruszył do przodu.

- Nie - powiedział Olbrzym.

Carlotta chwyciła Sierżanta i ściągnęła go na dół, gdzie jego magnetyczne podeszwy znowu przywarły do podłogi.

Ender westchnął jeszcze raz. I jeszcze. Potem rozległ się jego natarczywy szept:

- Nie róbcie im krzywdy. Oni mi pokazują.

- Co ci pokazują? - zapytała Carlotta, usiłując nie podnosić głosu i nie okazywać strachu. Kto wie, co potrafią wywnioskować Formidzi z dźwięków, jakie odbierają?

- Wszystko - odparł Ender. - Jak żyli, odkąd umarła królowa.

1

Parafraza słów Lady Makbet z aktu V, sceny I według przekładu Józefa Paszkowskiego, w: William Szekspir, Dzieła dramatyczne, 1.1, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1963, s. 905.

TRUTNIE I ROBOTNICE

Ender jeszcze nigdy nie stracił tak całkowicie kontroli nad swoim umysłem. Nawet w koszmarach sennych, w których nic nie jest tak, jak się chce, żeby było, obrazy jednak skądś napływają. Wie się, co się widzi. Ale obrazy, które zaczęły przepływać przez umysł Endera, kiedy dotknęły go formidzkie samce, były chaotyczne i obce. Przez połowę czasu nawet nie rozumiał, co widzi.

Zwolnijcie! Miał wrażenie, że jego umysł krzyczy na nich. Oni jednak wcale nie reagowali. Dostrzegał przebłyski tego i tamtego. Królowa kopca żywa. Małe samce fruwały wokół niej, a potem lądują na niej. Niektóre odtrąca, ale innym pomaga się utrzymać na niej. Obrazy ręki królowej kopca podającej ślimaki do ust samców. Ender miał wrażenie, jakby ślimaki trafiały do jego ust. Czuł ich zapach, widział, jak się wiją, i wyglądały pysznie. Ślina napłynęła mu do ust. Był taki strasznie głodny.

Lecz gdy tylko coś zaczynało nabierać sensu, obraz się zmieniał. Czyżby wiedzieli, że zrozumiał, i dlatego przewijali dalej? Skoro jednak wiedzieli, że ich rozumie, dlaczego nie słyszeli jego błagań, żeby zwolnić?

Bo ubierasz je w słowa, idioto.

Ender spróbował sobie wyobrazić kogoś poruszającego się powoli, ale ich obrazy przytłoczyły jego wizję. Potem, rozpaczliwie szukając porozumienia, spróbował po prostu poczuć się ospały, ociążały, znużony. Poczuł szarpnięcie jakiejś silnej emocji, która z pewnością by go rozbudziła, gdyby rzeczywiście przysnął. To nie był gniew, tylko... czujność. Przysyłali mu to, co chcieli, żeby czuł. Zdecydowanie to oni kierowali kontaktem.

Spróbował czegoś innego. Wziął jeden z obrazów, które mu przesłali - tym razem raby obijające się w korytarzu - i spróbował go zamrozić, zatrzymać, zaczekać. Natychmiast wysłali ten obraz ponownie; ponownie go zamroził. Obejrzał dokładnie. Teraz zrozumieli. Następna scena napłynęła nie jako czyste wspomnienie w ruchu, ale raczej jako zamrożona chwila. To nie tak, że oni nie mają języka, pomyślał Ender. Mogą paplać, mogą się zanadto podniecić, mogą zwolnić i opowiadać systematycznie. Obrazy nie są przypadkowe. Nie dostają pełnego zrzutu pamięci. Wysyłają sceny, ale również pragnienia, reakcje. Dostrzegają, co robię we własnym umyśle, i reagują na to.

Jeśli się nie mylił, ten rodzaj komunikacji miał swoją gramatykę, a on mówił z odpowiednikiem obcego akcentu. Nie szkodzi, dopóki komunikowali się z nim powoli.

Teraz ujrzał wizerunek królowej kopca, wysokiej, majestatycznej; czuł ich oddanie dla niej, a także głód. Musieli być blisko niej. Trutnie pokrywały ją całą. Gdyby Ender jej nie widział bez samców, pomyślałby, że ich grzbiety to jej brzuch, tak ściśle ją oblepiały. Potem poczuł, że jest jednym z trutni. Ponownie pojawił się obraz karmiącej go ręki, ale kiedy przysunęła ślimaka do jego ust, upuściła go. Ślimak spadł poza jego zasięgiem. Świat zaczął się chwiać; to królowa się chwiała. Potem położyła się i skuliła w swej prywatnej strefie. Nawet kiedy się kładła, uważała, żeby nie zgnieść żadnego ze swoich samców. Chroniła ich, kochała ich do końca.

Potem Ender poczuł, że coś istotnego zniknęło z jego umysłu. Uświadomił sobie, że ciepło i światło, które odbierał jako truteń, to był umysł królowej kopca. A teraz zgasł. Trutnie odłączały się jeden po drugim. Ender również zrozumiał, że nadszedł czas poszukać nowej królowej. Nie zjadła ich, zostali zatem wysoko ocenieni i pozwolono im pomagać nowej królowej w założeniu kopca.

Wzbili się w powietrze i ulecieli. Wokół nich trwała nieustanna krzątania rabów, popychających i poganiających ślimaki po wszystkich rampach. I coś jeszcze. Formidzkie robotnice, bezwładne. W przeciwieństwie do królowej nie przywarły do ziemi. Dryfowały, fruwały, unosiły się i opadały w prądach powietrza obiegających komorę królowej kopca.

Wszystkie obrazy umierających Formidów napływały jako nieruchome ujęcia, jeden po drugim. Nie było królowej. Tylko formidzkie robotnice. Wszystkie umierały. Wszystkie umarły. Trutnie krążyły, szukały. Ender pojął, że wszystkie przekazywały obrazy sobie nawzajem. Powstała kakofonia wizji niemal niemożliwa do ogarnięcia. One jednak miały wprawę w sortowaniu tego chaosu.

Teraz Ender zrozumiał, że wcześniej szy natłok wrażeń powstał dlatego, że wszystkie trutnie jednocześnie przesyłały do jego umysłu własne wersje informacji i Wspomnień. Nie miał tak silnej świadomości, żeby samemu odepchnąć któregoś z drogi. Kiedy więc zwolniły, to tylko pozornie - po prostu wyznaczyły jednego spośród nich, żeby przemawiał w imieniu wszystkich. Teraz tylko jeden truteń wkładał mu obrazy do głowy. Ponieważ jednak doświadczał rozpaczliwego poszukiwania nowej królowej, kiedy każdy truteń wciskał obrazy w umysły innych, to właśnie przekazywał

Enderowi.

Ender znowu próbował zamrozić obraz, ale zamiast tego truteń pociągnął go dalej. Poczuł pustkę, stratę. Nie tylko z powodu śmierci królowej. Trutnie miały wgląd we wszystkie pomieszczenia statku, z których wiele Ender rozpoznawał, bo tamtędy przechodził. Ale każdy widok nagle gasł; Ender na chwilę oślepl.

Zrozumiał, co mówiły w tym języku obrazów. Trutnie dzieliły z królową jej mentalny kontakt ze wszystkimi robotnikami. Ich umysły były ściśle związane z jej umysłem i dzieliła się z nimi wszystkim.

Rozumiały cały statek. Przywykły do tego, że mogą oglądać dowolne miejsce na statku w dowolnym czasie. Kiedy królowa umarła, mogły nadal łączyć się z formidzkimi robotnikami. Ale wszystkie umarły razem z królową. Trutniom pozostały tylko wizje towarzyszy, a ponieważ wszystkie przebywały w tym samym pomieszczeniu, wszystkie widziały to samo: martwą królową, raby zaganiające ślimaki po rampach, nieżywe robotnice.

Podleciały do drzwi. Nigdy nie otwierały żadnych drzwi własnymi kończynami, ale wszystkie miały wspomnienia z umysłu robotnicy, która to robiła. Widziały dokładnie, gdzie jest dźwignia i jak ją obsługiwać. Tylko że to było trudne. Ręka trutnia dwukrotnie ześlizgnęła się z dźwigni i Ender jak w koszmarze czuł, że jego ręka też się ześlizguje. W końcu jednak drzwi się otwarły i trutnie wyleciały na zewnątrz. Jeden się zatrzymał, żeby zamknąć drzwi. Ender był wtedy tym trutniem; potem był innym.

Wszystkie zmierzały do jednego celu: do sterowni. Ender wiedział, czym to miejsce było dla trutni. Najważniejsze zadanie całej kolonii. Nieważne, co robiła królowa w danej chwili, ten czy inny truteń zawsze spoglądał oczami robotnicy, która siedziała przy sterze, obserwował jej decyzje, jej działania. Kierowanie statkiem, stan statku - zawsze zajmował się tym jakiś truteń. Potem Ender coś sobie uświadomił i zadrżał. Bez względu na to, jak ściśle byli połączeni, podobnie jak każdy truteń miał własny umysł niezależny od umysłu królowej. Tak samo robotnica przy sterze miała własną wolę. To ona pilotowała statek. Królowa kopca wydała rozkaz - obraz tego, czego chciała - ale robotnica wykonywała zadanie samodzielnie.

Rozumiała swoją pracę, trutnie jej nie kontrolowały; siedziały w jej umyśle i obserwowały, niekiedy ją ponaglały, ale to ona działała.

Formidzkie robotnice nie stanowiły jedynie przedłużenia umysłu królowej. Ale siła jej umysłu je przytłaczała, nie miały więc wyboru, musiały być posłuszne. Kiedy zaś królowa kopca nie skupiała bezpośredniej uwagi na

formidzkiej pilotce, zastępował ją jeden z trutni lub kilku.

Dlaczego? Bo królowa kopca tego od nich żądała.

A dlaczego tego żądała? Czego się obawiała? Co mogło się stać, gdyby trutnie nie obserwowały pilotki?

Ender nie potrafił sformułować tego pytania. Mógł więc tylko zgadywać. Jeśli formidzkie robotnice myślały samodzielnie, może zdarzały się jednostki, które umiały oprzeć się potędze umysłu królowej. Może zdarzały się... wolne robotnice.

Wniosek ten nasunął mu kolejny: że robotnice w rzeczywistości były niewolnicami. Były córkami królowej, ale nie mogły samodzielnie myśleć.

Mimo to pilotowały gwiazdolot. Nie znały astrofizyki ani matematyki, ale rozumiały plany i rozkazy królowej kopca i realizowały je, wykorzystując własne umiejętności, nawyki i doświadczenie.

W ogóle ich nie zrozumieliśmy, pomyślał Ender. Sądziliśmy, że królowa kopca jest umysłem całej kolonii. Ale się myliliśmy. Robotnice miały własną wolę, całkiem jak ludzie, ale królowa potęgą umysłu wymuszała na nich posłuszeństwo. A kiedy ich nie pilnowała, zastępowały ją trutnie.

Trutnie też miały własne umysły, potężniejsze niż formidzkie robotnice. Intensywność ich mentalnych połączeń przewyższała nawet możliwości królowej kopca. Skąd Ender o tym wiedział? Bo trutnie były tego świadome, były z tego dumne. Bo kiedy obserwowały, jak myślał o tym wszystkim, podsuwały mu interpretacje i żywo reagowały.

Ender nie próbował już wykrzykiwać do nich słów w swoim umyśle. Teraz rozumiał wszystko bez nich albo dzięki fragmentom zdań, które same w sobie nic nie znaczyły. Obrazy, emocje przepływały przez jego umysł i zastanawiał się: Czy nie tak wszyscy myślimy? Głęboki umysł, umysł starszy niż język - tego samego rodzaju co umysł królowej kopca - ludzie go mieli. Język był nakładką, tak głośną, że zwykle zagłuszała myśli w ludzkiej głowie. Kiedykolwiek myślę o myśleniu, moje myśli stają się słowami. To język do mnie mówi. Ale język przyszedł z zewnątrz. Sądzę, że nad nim panuję, ale to on panuje nade mną. Jak królowa kopca w umysłach trutni język staje się częścią odgłosów tła, powietrzem, którym oddycham, grawitacją; po prostu jest.

Dopóki nie zniknie.

Język działa w ludzkim umyśle podobnie, jak królowa kopca wpływała na umysły innych Formidów - kształtuje nas bez naszej wiedzy. Kiedy królowa kopca wkłada pragnienie do umysłu formidzkiej robotnicy,

robotnica odczuwa je jako własne. Tak samo tysiąc głosów języka kształtowało myśli Endera, a on nie zdawał sobie z tego sprawy. Dopiero kiedy język zamilkł, a potem powrócił, Ender uświadomił sobie, jak na niego wpływa.

Kontrola sprawowana przez królową kopca nad jej córkami-robotnicami nie była bynajmniej subtelna. Była przytłaczająca. Obezwładniająca. Nawet kiedy w umyśle robotnicy zostawały tylko obserwujące trutnie, też ją przytłaczały. A ponieważ trutnie skupiały całą uwagę na bieżącym zadaniu, ich obecność w umyśle robotnicy była bardziej dojmująca.

Kiedy robotnice umarły, trutnie zostały zdane same na siebie. Straciły królową, ale w przeciwieństwie do robotnic nie postrzegały jej jako zniewalającej potęgi, tylko istotę ze światła, anioła w ich umysłach. Kochała ich i nigdy o tym nie zapomniały. Oprócz królowej straciły również robotnice. Straciły swoją wizję całego statku. Dlatego przeniosły się do sterowni.

To było najważniejsze zadanie ze wszystkich. Nie widziały już, co się dzieje, ale musiały widzieć. A skoro nie było królowej córki, do której mogłyby się przyczepić i odzyskać zdolność widzenia, same poleciały do sterowni. Kiedy tam dotarły - tutaj, uświadomił sobie Ender -ściąnęły ciała robotnic z siedzisk i odepchnęły. Trutnie pamiętały wszystkie zadania, które wykonywały robotnice; teraz przejęły je. Sprawdzały wskazania instrumentów, wyglądały przez okna. Wciąż obserwowały, monitorowały, ponieważ trzeba było to robić. Nie zastanawiały się, czy to ma sens bez królowej, zdolnej ponownie zapełnić statek robotnicami. Robiły to, co trzeba, dopóki mogły.

Na początku próbowały nawet prowadzić prace konserwacyjne, ale szybko tego zaniechały. Raby wyznaczone do sprzątania zdziczały. Miały zjadać wszystko, co się rozlało albo umarło w korytarzach. Dlatego śmierć królowej i wszystkich jej robotnic oznaczała dla nich przeobfitą ucztę. Trutnie wpuściły je nawet do sterowni, żeby rozszarpały i pożarły ciała robotnic. Wobec nadmiaru pożywienia populacja rabów urosła; potem wszyscy martwi Formidzi zostali zjedzeni, a rabów nie ubywało. W genach zakodowano im na stałe role pastuchów i padlinożerców. Przyuczono je również, żeby wypróżniały się tylko w ekotacie - czyli na zewnątrz, w naturze, jak sądziły. Po zjedzeniu ostatniego martwego Formida odkryły, że ich populacja zanadto się rozrosła. Nie miały co jeść. Głodowały.

Królowa kopca nigdy by do tego nie dopuściła - jej umysł, kiedy go

zwracała ku rabom, miał taką moc, że mogła zabić nadmiar tych stworzeń, po prostu je wskazując. Ale trutnie, chociaż z łatwością mogły zajrzeć do umysłu raba, nie posiadały destrukcyjnej potęgi królowej kopca. A raby były za głupie, żeby je kontrolować. Nie potrafiły odebrać i zapamiętać rozkazu. Tak więc raby zdziczały. Czy raczej kilka zdziczało, ale po paru pokoleniach tylko te dzikie wciąż się reprodukowały w korytarzach statku. Trutnie zorientowały się, co się dzieje, w samą porę, żeby zamknąć dostęp do komory królowej kopca i własnej sterowni. Zamknęły również drzwi prowadzące „na zewnątrz”, czyli do ekotatu.

To doprowadziło raby do szaleństwa. Odcięte nie tylko od zapasu zwłok, ale również od ślimaków oszalały, pożerały się nawzajem, pożerały swoich partnerów, własne młode. Ogarnięte gorączką włamały się do czterech tuneli tramwaju. Teraz raby wewnątrz ekotatu, które zbierały ślimaki i ładowały do klatek, w rzeczywistości karmiły swoich zdziczałych pobratymców. Tylko jeden tramwaj nadal dostarczał niepotrzebne ślimaki do leża królowej. Raby zostawiły go w spokoju tylko dlatego, że dostawały mnóstwo jedzenia z pozostałych czterech. W ich małych mózdkach nie zaświtało, żeby poszukać więcej.

Wszystko to Ender odebrał poprzez wizje i uczucia wkładane do jego umysłu. Wprawdzie nieustannie walczył, żeby znaleźć sens w tym, co widzi, ale ani na chwilę nie tracił z oczu celu, który przyświecał trutniom, kiedy do niego „mówiły” poprzez jednego z nich. Wiedziały, kim jest. Czy raczej wiedziały, kim są ludzie. Dobrze pamiętały rozpacz królowej kopca po utracie wszystkich pozostałych królowych, kiedy przed wiekami ziemską flotą zniszczyła rodzinny świat Formidów. Czy to znaczyło, że te trutnie żyły w tamtych czasach, czy tylko poznały wspomnienia królowej kopca o tej tragedii, Ender nie wiedział. Możliwe, że same trutnie nie wiedziały. Liczyło się to, że pilnie potrzebowały czegoś od ludzi, którzy weszli na ich statek.

Wreszcie do niego dotarło, czego chciały. Dajcie nam królową kopca.

Jaką królową kopca? - sformułował to pytanie, myśląc o królowej, a potem nadając tej myśli pytający wydźwięk.

Nie podziałało - właściwie to była ta sama wiadomość, którą mu przesyłały. Gdzie ona jest?

Spróbował czegoś innego. Wyobraził sobie swoje rodzeństwo i siebie, pokazał, że oni również szukają królowej kopca. Pokazał, jak przeszukują „Herodota” i niczego nie znajdują. Miał nadzieję, że zrozumiały wiadomość: Nie mamy królowej kopca.

W odpowiedzi do jego umysłu napłynął obraz, bardzo wyraźny: młody człowiek pod otwartym niebem planety, niosący kokon taki jak ten, który Ender miał w plecaku na próbki.

- One chcą kokon - powiedział Ender. - Wyjmijcie ten kokon, który zabraliśmy, i dajcie im.

Trutnie go wypuściły i jego umysł powrócił. Nie, jego umysł był tu przez cały czas. Ender po prostu nie miał nad nim pełnej kontroli, dopóki trutnie go nie zostawiły. Czuł się teraz taki mały i pusty. Nigdy wcześniej nie czuł się naprawdę jak dziecko, ponieważ jego życie toczyło się wśród dzieci w tym samym wieku oraz w towarzystwie Olbrzyma, z którym nie mógł się porównywać. Teraz zrozumiał, jaką samotność oznacza zamknięcie we własnym umyśle, gdzie jedynym towarzyszem jest apodyktyczny język.

Otworzył oczy i przekręcił się tak, żeby widzieć, jak Carlotta otwiera plecak na próbki i wyjmuje kokon. Trutnie natychmiast zaroily się wokół niego, pochwyciły go, przeniosły na środek pomieszczenia, przywarły do niego. Po długiej chwili wypuściły go i przeleciały w kąt pomieszczenia, gdzie stłoczyły się ciasno, ale nie w zwykły sposób. Ciągłe wpadały jeden na drugiego - z dostateczną siłą, żeby posiniaczyć nawet człowieka. Obijały się o siebie nawzajem. I Ender zrozumiał: One rozpaczają. Są takie smutne.

Kokon dalej dryfował w powietrzu. Ender podpłynął do niego, złapał go i ponownie schował do plecaka na próbki. Zaledwie zamknął plecak, jeden z trutni podleciał do niego tak szybko, jakby miał zamiar zaatakować. Ender spostrzegł, że zawsze czujny Sierżant celuje w trutnia sprayem, ale nawet nie musiał protestować. Carlotta powstrzymała brata wyciągniętą ręką.

Truteń przywarł do Endera, a jego umysł znowu zalały obrazy, tym razem mniej chaotyczne. Truteń przekazywał mu rozpacz i głód, ale nie gniew. Gniewu nie okazywały też pozostałe osobniki, które miały swój udział w tej wiadomości, jak wyczuwał Ender. Kokon, który im ofiarował, był pusty. Martwy. To był tylko jeden z kokonów z komory królowej -wszystkie umarły razem z nią. Ale trutnie wiedziały o żywej królowej, która nigdy nie przebywała na tym statku. Potrzebowały jej teraz. Miał ją człowiek i nawet pokazały Enderowi jego twarz, on jednak nie wiedział, kto to jest. Pokazały mu wnętrze ekotatu, wszystkie rośliny, małe zwierzątka. Drzewa, trawy, kwiaty, owady, korzenie, pnącza i płożące pędy, wszystko we wnętrzu cylindra. Pokazały mu, jak formidzkie robotnice ładują rośliny i zwierzęta do ogromnych owadopodobnych lądowników i wystrzelują je w atmosferę, a na dole inne formidzkie robotnice otwierają je i rozładowują, sadzą

zawartość, redukują całą miejscową florę i faunę do protoplazmicznej brei, przypominającej ohydny maź w komorze martwej królowej kopca.

To właśnie robiły na Ziemi podczas Chłostania Chin. Zmieniały miejscowe formy życia w odżywczą zupę, a potem zaczynały na niej hodować pożyteczne formidzkie rośliny i zwierzęta. Ale jak tylko Ender to zrozumiał, truteń wysłannik demonstracyjnie sprawił, że formidzkie robotnice zniknęły. Potem pojawił się następny obraz otwierającego się lądownika. Tym razem zamiast robotnicy wyszedł z niego truteń. Ale nie latał. Pełzał po ziemi. Miażdżyła go grawitacja planety. Umierał.

Potrzebują królowej kopca. Nie mogą żyć na powierzchni planety, jeśli nie przyczepią się do królowej.

Znowu pokazały Enderowi młodego człowieka z kokonem, ale tym razem kokon otworzył się pod jasnym słońcem na planecie pełnej życia, a kiedy pękł, wyszła z niego królowa kopca. Ender zamazał ten obraz. Nie mam dla was królowej kopca w kokonie. Zamiast tego próbował im pokazać obrazy siebie, Sierżanta i Carlotty, jak wyładowują i sadzą rośliny. Ale truteń, który go dotykał, odrzucił te obrazy i zastąpił sceną setek formidzkich robotnic rojących się na powierzchni tego świata, uprawiających pola, przenoszących ładunki, budujących domy - a potem usunął robotnice.

Z jakiegoś powodu trutnie nie mogły zaakceptować pomysłu, żeby ludzie zaszczepiali swoją florę i faunę na tej planecie. Nie, nie, Ender źle zrozumiał, myślał jak człowiek. Pokazywały mu, że to wszystko nie ma dla nich sensu, jeśli zabraknie królowej, żeby zasiedlić ten świat. Coraz sprawniej posługiwał się językiem obrazów i teraz odesłał im z powrotem scenę umierających formidzkich robotnic po śmierci królowej kopca. Dlaczego? - pchnął do nich swoje pytanie z wielkim naciskiem. Dlaczego formidzkie robotnice umierają?

Odpowiedziały wizją martwej królowej kopca.

Dlaczego śmierć królowej powoduje śmierć robotnic?

Nie miał pojęcia, czy naprawdę rozumiały. Jeszcze raz pokazały mu martwą królową kopca. Ender więc spróbował przeciwstawienia. Przypomniawszy sobie martwą królową kopca, potem umierające robotnice, ale potem skonstrastował je z żywymi trutniami. Umierające robotnice, żywe trutnie, umierające robotnice, żywe trutnie i przez cały czas natarczywe pytanie.

Trutnie odbierały te obrazy i jego pytanie. Potem wysłannik puścił go i

wycofał się do kąta, gdzie czekali na niego pobratymcy.

- Coś ty powiedział? - zapytał Sierżant. - Wkurzyłeś je?
- One wiedzą, że ten kokon jest martwy - wyjaśnił Ender - i chcą mieć żywy.

- Abrakadabra - mruknęła Carlotta. - Myślą, że co jesteśmy? Czarodzieje?

- Myślą, że gdzieś tam jest żywa królowa w kokonie. Jakiś człowiek ją ma. Widziałem go... One znają jego twarz, pokazują tę samą za każdym razem. Kiedy zobaczyły nasz statek i odkryły, że jesteśmy ludźmi, myślały, że przywieźliśmy ten kokon z sobą. Myślały, że mam go w plecaku na próbki.

- Przykro nam z powodu takiego rozczarowania - powiedział Sierżant. - Ale dlaczego uważają, że jakiś kokon królowej kopca przeżył?

Potem tych dwoje w hełmach na głowach umilkło i słuchało.

- Olbrzym się śmieje - oznajmiła Carlotta.
- Włóż hełm - polecił Sierżant. - Powinieneś to usłyszeć.
- Mój hełm powie im, że skończyłem z nimi rozmawiać, a ja jeszcze nie skończyłem.

Sierżant westchnął, ale Carlotta podeszła blisko do Endera i usiadła obok niego. Teraz

słyszał słabo głos Olbrzyma:

- To Mówca Umarłych - powiedział Olbrzym. - Mówca Umarłych ma ten kokon. Ona w nim żyje, królowa kopca. Dlatego mógł przeprowadzić z nią wywiad i napisać książkę.

A więc Królowa kopca była jednak oparta na prawdzie. A ci Formidzi o tym wiedzieli, ponieważ wszystkie królowe kopca utrzymywały z sobą stały kontakt. Lecz nie trutnie. Ender uświadomił sobie, że od chwili śmierci królowej kopca trutnie kontaktowały się tylko z sobą nawzajem. Dysponowały znacznie większą siłą mentalną niż robotnice, ale nie dorównywały królowej, zdolnej rozciągać swoją kontrolę na pozornie nieograniczone odległości. Trutnie musiały być blisko.

Wysłannik Formidów wrócił i wylądował na głowie Endera. Teraz miał inną wiadomość. Ender zobaczył życie tych trutni przez ostatnich sto lat. Najpierw było ich dwadzieścia. Zostało tylko pięć. Ender zobaczył śmierć każdego z nich. Umierały otepiająco podobnie. Otwierały drzwi i podczas gdy większość trutni odpierała atakujące raby, kilka wymykało się bokiem. Leciały do ekotatu i dostawały się do środka przez portal znany

tylko im. Zdżiczale raby nie mogły tamtędy wejść. W ekotacie trutnie zbierały jak najwięcej ślimaków, po czym wracały powoli, obciążone nimi. W pobliżu sterowni odrywały kilka ślimaków i ciskały je obok hordy rabów napierających na drzwi. Raby natychmiast rzucały się żarłocznie na jedzenie. A wtedy, odwróciwszy ich uwagę, trutnie ponownie otwierały drzwi i wlatywały do środka z resztą ślimaków. Od czasu do czasu jakiś rab dostrzegał je i atakował z wystawionymi szponami. Przez stulecia trutnie ginęły jeden po drugim. Coraz mniej ich zostawało i coraz trudniejsze było odpędzanie rabów od drzwi, coraz bardziej niebezpieczne.

Skończyły się wyprawy do ekotatu. Zamiast tego trutnie uchylały drzwi tylko odrobinę i natychmiast zamykały. Potem walczyły z rabami, które się wdarały do środka, zabijały je, obdzierały ze skóry, zjadały. Ale mięso rabów smakowało obrzydliwie, a co gorsza, trutnie straciły kolejnych braci w tych walkach. Od dawna nie odważyły się na coś takiego. Pościły. Dwa trutnie umarły z głodu. Pozostałe zjadły ich ciała - nic dziwnego u Formidów, jako że sama królowa zjadała trutnie, które uznała za bezużyteczne, po czym sprawiała, że z jaja wykluwały się na ich miej sce następne. Trutnie były, j ednym słowem, pyszne. Takim sposobem ta piątka przeżyła do tej chwili.

Ender sięgnął do plecaka na próbki i wyciągnął dwa ślimaki zabrane z komory królowej. Oba jeszcze żyły. Dostatecznie wyraźnie pamiętał obrazy trutni uczujących na nich, żeby uważać te zwierzęta za smaczne, chociaż oczywiście ludzie nie mogliby strawić połowy protein z ich wijących się ciał. Osobnik, który z nim rozmawiał, zaczekał do końca, aż towarzysze się pożywią. Trutnie były tak małe, że nawet porcja ślimaka stanowiła dla nich obfity posiłek.

Zostawiły spore kawałki mięsa dla trutnia-który-rozmawiał-z-ludźmi. Zjadł ostatni; zjadł najwięcej.

Podczas gdy Formidzi się pożywiali, Ender podsumował to, czego się dowiedział:

- Ten posiłek chyba uratował im życie.
- Trochę gorzej zniosły go ślimaki - zauważył Sierżant.
- Myślę, że byłyby lepsze z cynamonem - dodała Carlotta.

Ender zignorował ich żarty. Formidzi nie znali czegoś takiego jak humor, a on czuł się teraz bardzo im bliski.

- Nie widzą sensu w zasiedlaniu tej planety, jeśli nie mają królowej kopca. A my nie możemy im jej dać.

- Możemy przynajmniej dać im jedzenie - stwierdził Sierżant. - I

poskromić te zdziczałe raby. Właściwie możemy je pozabijać, jeśli tego chcą. Statek należy do nich i raby też należą do nich, więc jeśli chcą się ich pozbyć, możemy je uśpić i wszystkie powystrzelać. Żeby statek znowu był bezpieczny dla trutni.

- Zaproponuję - powiedział Ender. - Ale to nie doda sensu ich życiu.
- I nie zmieni bezsensu naszego - zakończył Sierżant.

RUCH OLBRZYMA

Przez cały czas, kiedy dzieci przebywały na arce, Groszek usiłował zachować milczenie. Tak wiele razy dowodził w polu, że rola niemego obserwatora niemal go zabijała. Problem polegał na tym, że niemal wszystko, co chciałby zrobić, robił już Cincinnatus albo któreś z pozostałej dwójki.

Hełmy przesyłały dane do komputera na „Herodocie” i budowały trójwymiarowy model ruchów dzieci na holodisplayu. Obraz nigdy nie był kompletny - to, czego nie odnotowały hełmy, pozostawało puste. Ale na podstawie poruszeń dzieci zaczęła powstawać mapa arki. Bardzo pożyteczna.

Kiedy raby w komorze lęgowej rzuciły się hurmem na dzieci i Groszek zobaczył, jak dwa wbijają szpony pod hełm Carlotty, o mało nie umarł. Jego serce kilka razy mocno szarpnęło się w piersi, a potem złowieszczo zamilkło. Włączyły się alarmy. Groszek poczuł nawet przeszywający ból w lewym ramieniu i barku, zwiastun końca. Ale do jego żył automatycznie zostały wstrzyknięte leki i tętno wróciło do normy. Ironia losu, gdyby raby zabiły mnie, bo nie mogłem przestać obserwować dzieci.

Bał się o nie i był z nich dumny. Nie znając nikogo prócz siebie nawzajem i Olbrzyma przez pięć z sześciu lat swojego życia, nie miały pojęcia, jak niemożliwie maleńkie były. Wciąż zdumiewały go słowa padające z ich ust, głębina ich analiz, szybkość wnioskowania. Jeśli mówiłem tak samo na ulicach Rotterdamu, nic dziwnego, że siostra Carlotta mnie uratowała. Nie pasowałem tam. Podobnie jak te dzieci byłyby kompletnie nie na miejscu w pierwszej klasie amerykańskiej szkoły albo czekające w Finlandii, aż skończą siedem lat. Carlotta zdałaby każdy egzamin inżynierski, Ender mógłby otrzymać doktorat, ponieważ większość jego prac kwalifikowałaby się jako dysertacja, gdyby Groszek go zmusił, żeby je spisał, jak należy. Cincinnatus dostałby się do każdej akademii wojskowej na świecie i byłby najlepszym kadetem, gdyby nie jego wiek i wzrost, i ten drobiazg, że żaden dorosły go nie posłucha.

Ale dorośli słuchali dzieci podczas ostatniej, trzeciej wojny z Formidami. Groszek należał do tych dzieci. Posyłał ludzi na śmierć i w przeciwieństwie do Endera wiedział o tym. Ale posyłanie dorosłych żołnierzy, samych ochotników, do bitwy, w której mogli zginąć, to jedno, a posyłanie tam sześciolatek, nawet genialnych, może zwłaszcza genialnych, jedynej

nadziei nowego gatunku - świadczy o bezwzględności. Mimo to Groszek to zrobił, bo wiedział, że muszą się sprawdzić. Po jego śmierci spadnie na nie pełna odpowiedzialność za potężny gwiazdolot oraz, gdyby postawił na swoim, za formidzką arkę i nową planetę. I teraz już wiedział, że były gotowe. Chociaż zmroziło go to, czego się dowiedział o rozmowie Endera z trutniami. Jak szybko syn nauczył się porozumiewać z istotami nieposiadającymi języka! Ile wykazał odwagi, kiedy pozwolił im wejść do swojego umysłu. A potem one przekazały mu niemożliwe, niewiarygodne rzeczy. Formidzkie robotnice miały własne umysły? Królowe kopca je zagłuszały? O tym nie było nawet wzmianki w książce Endera Wiggina. Albo jego syn źle zrozumiał trutnie, albo jego przyjaciel Ender Wiggin został okłamany przez królową kopca w kokonie, którą woził od świata do świata.

Enderze, biedaku! Jak one cię znalazły? Jak oddały w twoje ręce skarb swojego gatunku? I dlaczego wzięłaś na siebie tę odpowiedzialność? Królowa kopca zmieniła opinie większości ludzi, toteż teraz Endera Wiggina nazywano „Ender Ksenocyd”, a jego zwycięstwo uznano za niewyobrażalną zbrodnię wojenną. Wszystko to Ender Wiggin znosił - nie, spowodował - żeby wynagrodzić krzywdy ludziom, których, jak wierzył, całkowicie zniszczył.

Ale królowa kopca, z którą rozmawiał, wiedziała o arce. Królowa na jej pokładzie wtedy jeszcze żyła. Enderowi Wigginowi jednak kazano wierzyć, że ma kontakt z jedyną żyjącą przedstawicielką gatunku Formidów. Ile jeszcze istniało takich starożytnych statków kolonizacyjnych? Ile ich jeszcze wysłali Formidzi przez te lata, kiedy Międzynarodowa Flota zmierzała do wszystkich znanych ludziom skolonizowanych światów? Groszek wiedział o setce takich światów.

Jedno było pewne: Groszek musiał porozmawiać z tymi trutniami osobiście. Musiał wiedzieć to, co one wiedziały, ponieważ one wiedziały chyba wszystko to, co królowa kopca. A może nie. Może je tylko wykorzystywała, żeby jej pomagały monitorować statek, kontrolować robotnice. Dlaczego miałyby mówić im wszystko? Mogła przed nimi ukrywać wiele sekretów. Komunikowała się przecież z innymi królowymi, ale z istotami niższymi, z narzędziami, niewolnikami - niekoniecznie.

Groszek musiał się osobiście dowiedzieć wszystkiego, co wiedziały trutnie. Nie żeby nie wierzył raportowi Endera - chłopiec po prostu nie znał całego kontekstu, którym Groszek mógł wzbogacić mentalną konwersację.

Niestety, Groszek raczej nie mógł się spodziewać, że trutnie złożą mu

wizytę. Miałyby opuścić swój statek? Odpowiedzialność za gwiazdolit utrzymywała je przy życiu przez sto lat po śmierci królowej. Nawet teraz żyły tylko nadzieją na jego ocalenie, kiedy znajdą drugą królową. Nie opuszczają statku. Co takiego Groszek mógłby im zaoferować?

Jeśli więc chciał się dowiedzieć prawdy o królowych kopca, musiał sam się do nich wybrać.

Na statku dzieci wypełniały życzenie trutni, żeby pozbyć się rabów. W ekotacie i w komorze królowej kopca żyło wiele oswojonych osobników. Dzieci znajdą i zabiją wszystkie zdziczałe stwory, dzięki czemu życie trutni stanie się znośne, będą mogły zjadać ślimaki do woli. Będą zatem miały dług wdzięczności wobec ludzi - nie, wobec antoninów, leguminotów - i to znaczny. Jeśli Formidzi w ogóle czują wdzięczność. A może trutnie też ich oszukiwały?

Oczyszczenie statku zabrało dzieciom kilka godzin; trutnie prowadziły je do każdego skupiska zdziczałych rabów. W ten sposób Groszek dowiedział się jeszcze jednego: mentalne zdolności trutni pozwalały im wyczuwać maleńkie umysły rabów. Do czego byłyby zdolne pojedyncze robotnice, gdyby królowa kopca kiedykolwiek zostawiła je w spokoju? Czy posiadały zdolności umysłowe porównywalne ze zdolnościami trutni? Czy potrafiły „rozmawiać” bezpośrednio z sobą, czy też królowa kopca zawsze wyłapywała i przerywała taką rozmowę? Dlaczego umarły, kiedy umarła królowa? Dlaczego taki los nie spotkał trutni? Przecież były bardziej zależne od królowej. Mimo to, kiedy położyła się i umarła, one odleciały. Tylko robotnice umarły. Dlaczego? Tyle pytań...

- Misja wypełniona - ogłosił Cincinnatus. - Proszę o pozwolenie na powrót na „Herodota”.

Groszek chciał powiedzieć: „Tak, wspaniale się spisałeś. Chodź, niech cię uściskam, mój

promienny chłopcze!”. Ale potrzebował więcej informacji, jeśli miał przed śmiercią osiągnąć to, co sobie zamierzył.

- Jak bardzo jesteście zmęczeni? - zapytał. - To był długi dzień.

Cincinnatus przeprowadził ankietę wśród pozostałych.

- Zmęczeni, ale... co masz na myśli?

- Dwie rzeczy - odparł Groszek. - Próbkę Endera... On musi pobrać próbkę od trutni. Wystarczającą, żeby sczytać ich genom i porównać z genomem martwego kokonu. Żebyśmy mogli porównać samca i samicę, trutnia i robotnicę.

- Chcesz wiedzieć, dlaczego trutnie nie umarły - włączył się Ender.
- Może powodem była choroba, która dotknęła tylko samic. W takim razie czemu robotnice żyły, dopóki nie umarła królowa, a potem wszystkie zmarły jednocześnie?
- Możliwe, że już umierały - powiedział Ender. - To wykraczało poza zakres mojej rozmowy.
- Ale trutnie nie umarły - zaznaczył Groszek.
- Spróbuję wynegocjować biopsję jakiejś części ciała, która zawiera ich genom. Może przechowują jakieś relikwie po swoich zmarłych.
- Tych, których zjadły?
- Inny gatunek, inne zasady - rzuciła niemal odruchowo Carlotta.
- I ty, Carlotto - zaczął Groszek.
- Niepotrzebnie się odzywałaś - mruknął Cincinnatus.
- Zaplanowałem to już wcześniej - zapewnił Groszek. - Kiedy Ender będzie pobierał próbki, Carlotto, ty obmyślisz sposób, żeby mnie przewieźć do ekotatu. - Dzieci zamilkły.
- Nie - powiedziała Carlotta wreszcie.
- Na pewno zbudowali arkę tak, żeby wyładowywać ogromne ilości roślin i zwierząt na zasiedlaną planetę. Skoro mogli zmieścić taki ładunek, to i ja się zmieszczę.
- To cię zabije - ostrzegł Ender.
- Zadokujecie Ogara do „Herodota” w luku ładunkowym. Przy otwartych obu włazach i wyłączonej grawitacji nawet sześciolatek wepchnie mnie do Ogara.
- Żart o sześciolatkach ich nie rozbawił.
- Ojciec - powiedział Cincinnatus - jesteś zbyt słaby. Co takiego chcesz tu zrobić, czego nie możemy zrobić za ciebie?
- Wykorzystać całą moją wiedzę podczas rozmowy z trutniami - wyznał Groszek szczerze.
- Nie możemy ich sprowadzić do ciebie?
- Nawet o tym nie wspominajcie - ostrzegł Groszek. - Jeśli zaproponujecie, że zabierzecie je z arki, łatwo mogą to zinterpretować jako próbę kradzieży statku. Wprawdzie same o to prosiły, ale właśnie widziały, jak się ecie śmierć wśród zdziczałych rabów. Poza tym zachowały wspomnienia swojej królowej o śmierci wszystkich pozostałych królowych kopca w trzeciej wojnie z Formidami. Skąd mają wiedzieć, czy nie planujemy ich zabić?

- Jeśli umrzesz w drodze... - zaczęła Carlotta.
- Mogłem umrzeć rok temu. Albo dwa lata. Cieszę się z każdej podarowanej minuty, ponieważ mogę patrzeć, jak wyrastacie na tych, kim macie się stać.

- Olbrzym robi się sentymentalny - zauważył Cincinnatus.
- Uważaj, żebyś nie utonął w kałuży jego łez - ostrzegł Ender.

Stare dowcipy, rodzinne zwyczaje.

- Wiecie, czego od was oczekuję. Jeśli umrę, próbując zdobyć dla was więcej informacji, to trudno. Poradzicie sobie bez nich albo w końcu sami się dowiecie, jak je zdobyć. Ale być może nie umrę i powinniśmy tego się trzymać. Myślę, że przyda wam się to, czego się dowiem, jeśli pożyję dostatecznie długo, żeby się tego dowiedzieć.

Znowu milczenie. Na holodisplayu Groszek widział, że dzieci zdejmują hełmy. Sądziły, że wtedy ich nie usłyszy. Dziecięca naiwność.

Rozmawiały krótko, głównie o tym, jak przekonać Olbrzymą, żeby zmienił zdanie. Kiedy z powrotem włożyły osłony, Groszek je uprzedził:

- Czeka was robota - przypomniał. - Carlotto, wracaj z planem, jak mnie przewieźć do ekotatu, albo nie wracaj w ogóle. Enderze, pobierz próbkę.

- A ja? - zapytał Cincinnatus.
- Zostań z Enderem i osłaniaj go. Carlotcie chyba nic nie grozi.
- Nie, ojciec - zaprzeczył Cincinnatus. - Nie rozdzielimy się. Wszyscy popatrzymy, jak Ender pobiera próbkę od trutni, jeśli mu się uda, a potem wszyscy pójdziemy z Carlottą.

- To zajmie więcej czasu. Jesteście już zmęczeni.
- Jak sam mówiłeś, statek jest teraz bezpieczny. Możemy tu się przespać i zacząć jutro, jeśli trzeba.

Cincinnatus miał rację. Jak Groszek mógł powiedzieć: „Chcę, żebyście jak najszybciej zrobili to i wrócili, bo jutro albo pojutrze mogę już nie żyć?”. Cała jego argumentacja opierała się na założeniu, że nie umrze.

- Olbrzym myśli - zauważył Cincinnatus.
- Wibracje przenikają przez próżnię i sprawiają, że chce mi się siku - podchwycił Ender.

- Znowu - jęknęła Carlotta.
- Według niepisanej zasady towarzyskiej można się zmoczyć, kiedy obcy po raz pierwszy wchodzi do twojego umysłu - oznajmił Ender. - Jeśli taka zasada wcześniej nie istniała, to teraz istnieje.

Byli tacy niedojrzali. I tacy dorośli. Brzemie całego gatunku na ich barkach. Dzieci przekomarzające się na placu zabaw, pokpiwające ze starego, kalekiego ojca.

- Zróbcie, co macie zrobić, i od razu wracajcie do mnie - polecił Groszek.

- Powiedz „proszę” - zażądała Carlotta.

- Powiedz: „tak, ojcze” - zażądał Olbrzym.

Chwila ciszy.

- Tak, ojcze - powiedziała Carlotta.

- No proszę, to mi się podoba - pochwalił Groszek.

- To się nie liczy jako „proszę” - zaprotestowała Carlotta.

- Innego „proszę” nie dostaniesz. - Groszek też potrafił się przekomarzać.

W końcu trutnie rozwiązały oba problemy. Kiedy Ender poprosił je o próbki, każdy uroczyście zdarł sobie kawałeczek skóry. Jeśli je bolało, niczym tego nie okazały. A potem zaprowadziły Carlottę do strefy ładunkowej.

Była to pomysłowa konstrukcja. Drugie koło o niemal takiej samej średnicy, ale znacznie cieńsze, przymocowano do przedniego końca wielkiego cylindra ekotatu. Mogło się połączyć z ekotatem albo mogło się odczepić, zwolnić w stosunku do ruchu statku i zatrzymać. Stanowiło ruchomy odpowiednik śluzy powietrznej. Tramwaje wjeżdżały do niego po pięciu torach prowadzących do komory królowej. Kiedy cały pojazd znalazł się w środku, koło zaczynało się obracać, aż zrównało szybkość z rotacją ekotatu. Wtedy drzwi się otwierały i oswojone raby napełniały pojemniki ślimakami. Po zamknięciu drzwi koło ponownie łączyło się ze statkiem.

Kwestię ładunku rozwiązano inaczej. Nad torami tramwajowymi - bliżej piasty niż poziomemu gruntowi wewnątrz ekotatu - znajdowało się pięć ogromnych drzwi o powierzchni sześciu metrów kwadratowych, zsynchronizowanych pomiędzy kołem a ekotatem. Po drugiej stronie koła wszystkich pięć ładowni otwierało się na wielką komorę ładunkową. Bez ruchu wirowego panowała tam nieważkość. Toteż do ładowni otaczających wielkie drzwi można było wprowadzać przedmioty znacznie dłuższe niż grubość koła. Z kolei dostęp do komory ładunkowej zapewniały dwie jeszcze większe śluzy powietrzne. Carlotta kazała hełmom wykonać szczegółowe pomiary i doszli do wniosku, że Ogar zmieści się w większej z dwóch śluz.

- Możemy wprowadzić cały statek do komory ładunkowej, a potem przetransportować cię w nieważkości przez drzwi ładowni do ekotatu - zameldowała Carlotta.

- Więc to jest możliwe - ucieszył się Groszek. - Nawet mogę to przeżyć.

- Nie, nie przeżyj esz - zaprzeczyła Carlotta. - Siła odśrodkowa wewnątrz ekotatu wywołuje za duży efekt grawitacyjny. Trzykrotnie silniejszy od tego, którego doświadczasz teraz. Kiedy wpłyniesz do ekotatu, będziesz nieważki... W porządku. Ale potem musisz opaść na ziemię. Jeśli cię po prostu zrzucimy, nie będziesz się poruszał z tą samą prędkością co podłoga cylindra. Nastąpi zderzenie. Zginiesz. Albo możesz zejść po drabinach, których używają Formidzi. W ten sposób stopniowo przejmują obroty cylindra i docierają na dół idealnie zsynchronizowani. Masz ochotę łączyć po drabinie?

- Czy oni mogą spowolnić obroty? - zapytał Groszek.

- Możemy zapytać, ale... wybrali tę rotację nie bez powodu. Jest odpowiednia dla roślin.

- I wątpisz, że zechcą narazić rośliny.

- Ta biota to część ich misji. Nie tylko nie przywieźliśmy im kokonu królowej, choć według nich ją mamy, ale w dodatku wyłączymy grawitację, której potrzebują rośliny?

Ender wtrącił:

- One już pewnie czytają te obrazy w naszych umysłach.

- Ja nie mam żadnych obrazów - zaproponowała Carlotta.

- Owszem, masz - oświadczył Ender.

- Czyżby? - zagadnął Groszek. - No dobrze, zróbcie to. Pomyślcie o was stojących obok mnie. Wasze rozmiary, moje rozmiary. Ja leżę tutaj, w ładowni, wy stoicie obok mnie. Wyobraźcie to sobie.

- Wyobraziliśmy to sobie tak, jak powiedziałeś - odparła Carlotta. - Nie mieliśmy wyboru.

- I co to dało? - zapytał Cincinnatus.

- Pomyślcie - zaproponował Groszek.

Pomyśleli. Cincinnatus zrozumiał pierwszy.

- Toguro - powiedział. - W porównaniu z nami jesteś mniej więcej tej wielkości co królowa kopca w porównaniu z trutniami.

- Całkiem blisko - orzekł Groszek.

- I jesteś naszym ojcem - dodał Ender - tak jak królowa kopca była ich matką.

- Ale nie naszym partnerem - zaznaczyła Carlotta.
- Nawet nie próbujcie tego udawać - poradził Groszek. - Pozwólcie im tylko ocenić rozmiary, powiedzcie, że jestem waszym jedynym żyjącym rodzicem i mogę dołączyć do was w arce tylko wtedy, jeśli zwolnią obroty ekotatu. Powiedzcie im, na ile. Niech oszacują, co się stanie z glebą i korzeniami.

- Zapytają, na jak długo trzeba zwolnić obroty - powiedział Ender. - Bo to wpłynie na wzrost roślin.

- Więc powiedz im, że dopóki nie umrę albo nie wrócę na nasz statek. Powiedz im, że długo już nie pożyję, ale chcę się z nimi spotkać w ich arce, zanim umrę. Jeśli po odpowiednio długiej rozmowie z nimi wciąż będę żył, wrócę do siebie i będą mogli przyspieszyć do normalnej prędkości.

- „Odpowiednio długiej”, czyli jak długiej? - zapytał Ender.
- Nie podoba mi się cały ten pomysł - mruknęła Carlotta.
- Aż zrozumieć na tyle, na ile będę umiał, co się stało z ich królową kopca. Powiedz im, że muszę wiedzieć, dlaczego umarła, muszę mieć pewność, że się nie zatrujecie, kiedy się przeniesiecie na arkę.

Konsternacja ze strony całej trójki.

- Już wam mówiłem - przypomniawszy Groszek. - Ta planeta to wasza przyszłość. Musicie przenieść całe laboratorium do ekotatu i przystąpić do tworzenia bakterii jelitowych, które strawią obce proteiny, żebyście mogli korzystać z nich wy i wasze dzieci. Kiedy będziecie w stanie żywić się wyłącznie produktami formidzkiego ekotatu, wtedy będziecie gotowi, żeby skolonizować planetę.

- A jeśli nie chcemy? - odezwał się Cincinnatus.
- Chcecie - zapewnił Groszek. - Bo chcecie, żeby wasz gatunek przetrwał, a lepszej szansy nigdzie nie zyskacie.

Rozmawialiśmy już na ten temat. Teraz zaś rozmawiamy w miejscu, gdzie trutnie mogą zobaczyć obrazy przepływające przez nasze umysły.

- Dlaczego sądzisz, że trutnie się na to zgodzą? - zapytał Ender. - Ich gatunek też wymiera... One są ostatnie i nie mają żadnej nadziei na reprodukcję.

- Powiedz im, że jestem waszym ojcem. Samcem. A kiedy umrę, muszą was adoptować i stać się waszymi ojcami. Nauczyć was wszystkiego, co wiedzą. Powiedz im, że nie jesteśmy właściwie ludźmi... różnimy się od reszty gatunku. Kiedy więc zaludnicie tę planetę, stworzycie nowy rozumny gatunek i zawsze będziecie szanować je jako swoich ojców.

- Wątpię, czy znają pojęcie adopcji - powiedział Ender.
- Oczywiście, że znają. Pamiętasz? Mówiłeś, że kiedy królowa kopca nie zjadła ich, zanim umarła, poczuły się zaszczycone, bo to znaczyło, że przekazuje je nowej królowej. Tylko że żadnej nie znalazły.
- To nie adopcja, tylko powtórne małżeństwo - sprostował Cincinnatus.
- Całkiem blisko - stwierdził Groszek. - Powiedzcie im. Spróbujcie im pokazać analogie pomiędzy ich gatunkiem, ich życiem a naszym. Niech zrozumieją, jacy jesteście mali i jakie krótkie życie was czeka. Potrzebujecie wszelkiej możliwej pomocy, żeby przetrwać.
- Czemu nie? - zastanowiła się Carlotta. - Nawet nie skłamiemy.
- Nie znaliście królowej kopca, ale dzięki nim możecie się stać jej dziećmi.
- Zrozumieliśmy, ojcze - przerwał mu Ender. - Nie musisz nam dyktować scenariusza.

Tak więc negocjowali. Tym razem trutnie dotknęły wszystkich trojga. Później dzieci

opowiadały, że to było niesamowite, bo poprzez trutnie wyczuwały siebie nawzajem. To im pozwoliło połączyć obrazy, ujednolicić je. Powstał plan zaakceptowany i przez dzieci, i przez trutnie. Potem dzieci wróciły. Groszek znowu pilotował Ogara i tym razem zadokował go bezpośrednio nad ładownią. „Herodot” był do tego zaprojektowany. Wkrótce drzwi się otwały i nad Groszkiem rozciągnęła się o wiele wyższa powała.

Olbrzym nie zdawał sobie sprawy, jak klaustrofobicznie się czuł przez te wszystkie lata, jak go przytłaczał go sufit nad jego coraz większym ciałem. Kiedy go przeniesiono, zrobiło mu się lekko na duchu. Czuł niemal rozradowanie.

Dzieci natomiast nie czuły. Bały się, że przypadkowo zabiją go podczas przenosin.

- To niesprawiedliwe - narzekała Carlotta - żeby nas obarczać winą.
- Żadną winą - zapewnił Groszek. - Wolę umrzeć, robiąc coś, niż leżeć tu jak melon.

Ale one nigdy nie widziały melona dojrzewającego na ziemi.

Przed wyprawą czekała ich praca. Groszek nalegał, żeby najpierw przenieśli wyposażenie laboratorium. Pokazał również całej trójce tajne schowki i zademonstrował, jak używać sztucznych macic - oczywiście niczego do nich nie wprowadzał.

- Zapłodnienie in vitro to powszechna praktyka, podobnie jak ekstrakcja

jaja - powiedział. - Możecie się tego nauczyć przez ansibl. Macice nie są tak powszechne, ponieważ są nielegalne w wielu światach.

- Dlaczego? - zapytała Carlotta.

- Bo są nienaturalne - odparł Groszek. - Albo odbierają matkom zastępczym środki utrzymania. Istnieje mnóstwo powodów, które sprowadzają się do jednego prawdziwego: sztuczne macice sugerują, że kobiety są niepotrzebne, co bardzo przeszkadza wielu kobietom.

- Ale kobiety wciąż produkują jajeczka - zauważyła Carlotta.

- Istnieją sposoby, żeby to obejść - wyjaśnił Groszek. - I sposoby, żeby sobie poradzić bez mężczyzn. Właściwie żadna płeć nie potrzebuje tej drugiej, żeby się rozmnażać. I choć różne społeczności próbują z tego zrezygnować, w końcu zwycięża ewolucja... niezadowolenie narasta i albo powraca zwyczaj łączenia się w pary, albo ludzie odchodzą, aż pozostaje tylko garstka fanatyków. To rasa ludzka, Carlotto. Dlaczego miałyby postępować sensownie?

Tak więc Groszek obserwował i próbował się nie martwić, kiedy dzieci uczyły się od trutni, jak zbudować w ekotacie hermetyczne laboratoria. Formidzi dobrze znali tę technologię, ponieważ po wylądowaniu na powierzchni planety potrzebowaliby dużo czasu, żeby znaleźć albo wykopać tunele i jaskinie. Teraz musieli wykorzystać plany tymczasowej komory królowej kopca, gdyż żadne inne pomieszczenie nie było dostatecznie wysokie, żeby zmieścić sprzęt przeznaczony dla dorosłych.

Jak tylko laboratorium zaczęło działać, Ender po prostu wycofał się z dalszych przygotowań do przeprowadzki Groszka.

- W formidzkim genomie chyba jest coś, co nam pomoże. I to nie tylko trawić jedzenie.

Toteż wszelkie prace spadły teraz na Cincinnatusa i Carlottę, którzy prowadzili poważne

dyskusje, jak sporządzić dla Groszka kombinezon ciśnieniowy.

- Gdyby jakaś uszczelka puściła i stracilibyśmy atmosferę - wyjaśniła Carlotta.

Groszek się roześmiał.

- Carlotto, moja kochana dziewczyno, jesteś taka troskliwa. Ale jeśli uszczelka puści, umrę. Jeśli się wybierasz w kosmos, pokładasz wiarę w maszynierii i masz nadzieję, że nie zawiedzie.

- Ale co, jeśli...

- Carlotto, kombinezon ciśnieniowy zabije mnie, nawet jeśli sprawisz,

że będzie działał. Wytwarza ciśnienie, ale inne niż normalna atmosfera. To niemożliwe. I tak bym umarł, a wy mielibyście dodatkowy kłopot, jak mnie wyciągnąć z niego, żeby dodać do ekotatu substancję mojego ciała.

Carlotta wybuchnęła płaczem.

- Ojciec - powiedział Cincinnatus - masz tyle względów dla delikatnych uczuć córki...

- Czy ona sobie wyobrażała, że zostanie pochowany? Skremowany? Wyrzucony w próżnię? Sam jej powiedziałeś, gdy planowałeś się mnie pozbyć: moje ciało zawiera zbyt wiele cennych składników.

- To było, zanim spotkaliśmy arkę - bronił się Cincinnatus. - I nie jestem dumny z chłopca, którym wtedy byłem.

- Wciąż jesteś tym chłopcem - zapewnił Groszek - zawsze myślącym sześć kroków do przodu. I niecierpliwym. Nie mam ci tego za złe, choć nie zapominam, zwłaszcza tych przypadków, kiedy miałeś rację.

- Nie było ich za wiele.

- Ogólnie biorąc, cała wasza trójka ma rację częściej niż przeciętni ludzie i uczy się na błędach.

- Olbrzym mówi, że jestem idiotą, ale ponadprzeciętnym idiotą.

- Mniej więcej się zgadza - przyznał Groszek.

Groszek zakładał, że przeniesie się już za kilka dni, ale Carlotta sprawdzała wszystko powoli i metodycznie. Nalegała również, żeby przetransportować z „Herodota” mnóstwo komputerów i podłączyć je do zasilania oraz sieci w ekotacie. A potem duża rzecz.

- Chcę przenieść ansibl - oznajmiła.

Tego Groszek się nie spodziewał.

- W ostateczności... - zgodził się. - Ale twoja sieć doskonale działa pomiędzy statkami. Masz bezproblemowy dostęp do ludzkich systemów komunikacyjnych.

- Zamierzam zbudować drugi ansibl - wyjaśniła. - Dla redundancji. Potrzebuję go tam, żebym nie musiała ciągle latać tam i z powrotem, kiedy przy nim pracuję.

- Ale technologia ansibla wciąż jest ściśle strzeżonym sekretem - zauważył Groszek.

- Ender i ja zhakowaliśmy ją lata temu - odparła Carlotta. - Myśleliśmy, że będziesz się gniewał, więc ci nie mówiliśmy.

- Zhakowaliście te systemy, które udostępniono do hakowania - sprostował Groszek. - Obserwowałem was.

- Znaleźliśmy resztę później i też zhakowaliśmy. Kiedy spałeś. Miejsze trochę wiary we mnie.

Zatem trwało to dłużej, niż zakładał Groszek. Podczas przenoszenia ansibla mocno się denerwował, obawiał się uszkodzenia maszyny bardziej, niż bał się o siebie. Ansibl był liną ratunkową łączącą ich z rasą ludzką. Był liną ratunkową Groszka, łączącą go z jego ostatnim żyjącym przyjacielem - Enderem Wigginem - chociaż nigdy nie rozmawiali ani nawet nie wysyłali sobie wiadomości. Groszek był przekonany, że Ender Wiggin wcale o nim nie myślał albo myślał, że Groszek umarł dawno temu. Wiggin zaś ukrywał się przed wszystkimi, przed Enderem Ksenocydem również. Był teraz mówcą umarłych. Tym Mówcą. I nikt o tym nie wiedział. Uważano go po prostu za kolejnego wędrownego opowiadacza historii. To było dla niego dobre zajęcie. Ale wymagało skupienia się na żywych i na niedawno zmarłych, do których go wzywano, żeby za nich mówić. Nie miał czasu myśleć o swojej przeszłości. W istocie najprawdopodobniej uciekał przed nią. Groszek podejrzewał nawet, że gdyby teraz skontaktował się z Enderem, ten nie postąpiłby jak przyjaciel. Zastanawiałby się, czego Groszek chce, a być może żałowałby, że Groszek się przypomniał.

Jeśli jednak królowa kopca okłamała Endera, jeśli jego książka opierała się na kłamstwach, to Ender poświęcał życie w obronie oszustwa, szukał domu dla królowej, która miała ukryty cel i nie zdradziła go Enderowi. Gdyby tak rzeczywiście było, Groszek znalazłby sposób, żeby przekazać tę wiadomość Enderowi, nawet ukrywając przed nim swoją tożsamość.

Wreszcie nadszedł moment wyprawy Groszka.

Już podczas wchodzenia na pokład „Herodota”, kiedy zabierał z sobą maluchy i zostawiał Petrę z resztą dzieci - ich normalne dzieci wtedy były naprawdę maleńkie, dopiero uczyły się mówić, dreptały na chwiejnych nóżkach - odczuwał duży dyskomfort. Niezbyt go obchodziły niepotrzebne próby powiększenia jego przestrzeni życiowej. Wiedział, że nawet najwyższy stół i największe krzesło wkrótce staną się dla niego bezużyteczne, i nie zamierzał konstruować następnych. Od początku zdawał sobie sprawę, że skończy, leżąc na plecach albo na boku w ładowni, z grawitacją nastawioną na minimum. Mimo to wszedł wtedy sam na ten statek. Teraz Carlotta zmniejszyła grawitację do zera, a potem włączyła grawitator, który zamontowała na Ogarze i który bardzo powoli pociągnął Groszka w górę. Carlotta i Cincinnatus wznosili się razem z nim i obracali go ostrożnie w powietrzu, toteż kiedy dotarł do wyściełanej podłogi na Ogarze, osiadł na niej

bardzo łagodnie.

Przez cały czas umierał ze strachu. Niegdyś w nieważkości czuł się prawie normalnie, ale przy jego obecnych rozmiarach towarzyszące jej wrażenie spadania - jak na szczycie kolejki górskiej, tylko trwające bez końca - nie było podniecające, przypominało śmierć. Nigdy nie przeżyłby prawdziwego upadku. Nawet gdyby się tylko potknął i poleciał głową naprzód, kruche kości popękałyby i nigdy nie wróciłyby do zdrowia. Ludzie nie powinni mieć czterech i pół metra wzrostu.

Plan Carlotty i jego wspólne z Cincinnatusem wykonanie okazały się perfekcyjne. Groszek nie odniósł żadnych obrażeń, tyle że się najadł strachu. Nie miał nawet siniaka, nawet naciągniętych mięśni, tak delikatnie spoczął na podłodze Ogara. Dopiero tam się zorientował, że nie ma obok siebie komputera.

- Carlotto - powiedział - nie możemy ruszyć, dopóki się nie podłączę, żeby pokierować Ogarem. Przynieś mi mój holotop.

Roześmiała się.

- Wiemy, jak pilotujesz statki, ojcze. Jesteś w tym naprawdę dobry. Ale zwykła trajektoria mogłaby cię zabić. Cincinnatus cię przetransportuje i lot potrwa nie godzinę, ale cały dzień. Połóż się więc wygodnie i zaśnij.

- Od kiedy Cincinnatus kieruje statkiem?

Ale zamiast irytacji Groszek pozwolił sobie na ulgę. Przedtem pilotował Ogara ze stabilnej pozycji w ładowni „Herodota”. Wewnątrz Ogara jej nie miał - podczas lotu doświadczałby wszystkich zmian inercji, nie siedząc w fotelu pilota. Dzieci przewidziały ten problem i znalazły dobre rozwiązanie.

Nie idealne - chwilami wychodził na jaw brak doświadczenia Cincinnatusa - ale podróż przebiegła lepiej, niż gdyby Groszek sam pilotował, i kiedy wpłynęli do otwartej śluzy powietrznej z boku arki, mógł tylko podziwiać, jak zręcznie jego syn zatrzymał Ogara na środku.

Nie było tu grawitatora - soczewkowanie grawitacji nie działało dobrze wewnątrz obracających się obiektów, zwłaszcza tak blisko planety. Albo soczewkowanie grawitacji, albo siła odśrodkowa, nie oba naraz.

Ładownia w kole była dostatecznie duża, żeby ciało Groszka nie wystawało po wewnętrznej stronie. Dobra konstrukcja, pomyślał. Rekomendowana dla olbrzymów. Ale prawdziwa pomysłowość Formidów - i powód, dla którego przeprowadzenie akcji zabrało cały tydzień - objawiła się, gdy tylko koło zsynchronizowało się z bardzo wolnym cylindrem ekotatu. Tak wysoko nad ziemią Groszek prawie nie czuł grawitacji. Potem drzwi się

otwarły i po raz pierwszy zobaczył ekotat na własne oczy.

Ulga, jakiej doznał, uwolniwszy się spod sufitu na „Herodocie”, była niczym w porównaniu z tym uczuciem. Przestrzeń była tak wielka, a sztuczne słońce na środku przeciwległej piasty dawało tak przekonującą imitację słonecznego blasku, że przez jedną oszałamiającą chwilę Groszek miał wrażenie, że wrócił na Ziemię. Potem zobaczył, że ten świat wygina się do góry z obu stron i tworzy nad głową wyraźne sklepienie, z drzewami, łąkami i nawet małymi jeziorkami - właściwie stawami. Latały tu ptaki - czy ktoś wspominał o ptakach? - i choć wszystkie drzewa pochodziły z formidzkich światów, jemu przypominały las, bo Groszek nigdy nie znał się na ziemskich drzewach. Zieleń zaparła mu dech w piersi; dziwne kolory tu i ówdzie wcale nie raziły. To nie była planeta, ale najbardziej zbliżone do planety miejsce, jakie jeszcze miał szansę zobaczyć. Nigdy nie przypuszczał, że znowu znajdzie się w takim żyjącym świecie.

Carlotta i Cincinnatus zmontowali naprzeciwko drzwi rusztowanie. Wytoczyli Groszka z ładowni na wózku, a on się zorientował, że tkanina pod nim to mocna siatka - hamak, ale usztywniony prętami, żeby się nie zwinął w rulon z pasażerem w środku. Potem dzieci opuściły go łagodnie w dół jak dobrzy żeglarze i iluzja grawitacji zawładnęła nim tak miękko i naturalnie, jakby schodził po drabinie.

Grawitacja była odrobinę większa, niż przywyknął. Musiał oddychać trochę głębiej i częściej. Ale nie dyszał. Mógł wytrzymać. Mógł żyć w ten sposób. Przez jakiś czas.

Wreszcie spoczął na powierzchni, na siatce hamaka, i ptaki spikowały ku niemu. Wtedy spostrzegł, że to wcale nie są ptaki. To były trutnie. Zawisły nad nim, potem opadły na ziemię. Po chwili zjawił się Ender - laboratorium było niedaleko - wydawał się taki szczęśliwy. Doprawdy zbyt szczęśliwy, zważywszy na okoliczności. Widocznie badania w laboratorium szły mu bardzo dobrze. Groszek usiłował śledzić jego postępy, ale tę sieć skonfigurowała Carlotta i odkrył, że zablokowała tylne wejścia i ukryte kanały, których nieustannie używał na „Herodocie”, albo po prostu ich nie stworzyła. Odbierali mu możliwość ścisłego kontrolowania ich życia, chociaż posłusznie wypełniali wszystkie jego rozkazy.

- Chcą zacząć od razu - oznajmił Ender. - Rozmawiać z tobą.
- Zanim umrzesz - dodał Cincinnatus oschle.
- Więc zaczniemy od razu - zgodził się Groszek.

Trutnie usiadły mu na klatce piersiowej. Prawie nic nie ważyły. Potem się

zorientował, że nadal utrzymują większość swojego ciężaru na pracujących skrzydłach.

- Nie mogą mi siedzieć na piersi - powiedział. - Chociaż są takie małe, nie będę mógł oddychać, kiedy mnie przygniotą. Ale jeśli staną na ziemi obok mnie i dotkną mojej głowy, jak dotykały twojej...

- Chcą cię uhonorować jak ich nową królową kopca - wyjaśnił Ender - ale nie tak, żeby cię zabić.

Ender ukląkł i dotknął głową ust jednego z trutni. Po chwili wiadomość została przekazana. Trutnie zsunęły się z ciała Groszka i zebrały się wokół jego głowy.

Nabrały już wprawy w komunikowaniu się z ludźmi. Obrazy napływały powoli, łagodnie, emocji nie narzucano siłą. Raczej sugerowano.

Na początku Groszek powtarzał na głos to, czego się dowiadywał od trutni. Ender, który również ich dotykał i wszystko widział, zapewnił go, że dobrze je rozumie. Wkrótce Carlotta zaczęła dotrzymywać mu towarzystwa, a potem jej miejsce zajął Cincinnatus. Trutnie również się zmieniały, pracowały po dwa naraz. Ponieważ rozmawiali dzień i noc, budząc się i zasypiając. Prawdę mówiąc, Groszek miał wrażenie, że przespał większość tego czasu. To był długi, rozkoszny, fascynujący sen, cała historia życia trutni, wszystko, co wiedziały o swojej królowej kopca, o innych królowych, o życiu robotnic, o dziejach gatunku. Wiedziały tak wiele - i wiedziały bezpośrednio, bez zakłóceń spowodowanych przez język. Lecz w miarę jak rozwijał się ten sen, godzina po godzinie, dzień po dniu, Groszek dostrzegał luki w ich wiedzy. Zadawał pytania, a one odpowiadały tak, jak sądziły, że sobie życzyły; nie widziały tego, czego nie mogły zobaczyć. Myślały, że wiedzą wszystko, ale Groszek rozumiał, że królowa kopca odcinała je od najistotniejszych niebezpiecznych informacji.

Groszek wierzył, podobnie jak reszta rasy ludzkiej, że cała kolonia Formidów ma tylko jeden umysł. Że robotnice są dla królowej kopca jak ręce i nogi dla człowieka - zwykłe części ciała bez własnego rozumu. Ale kiedy Groszek poznawał smak ich krótkich żywotów we wspomnieniach trutni, wiedział, że to było kłamstwo, wielkie straszliwe kłamstwo. Robotnice miały umysły i pragnienia, ale korzystały z nich tylko wtedy, gdy królowa kopca tego chciała. Jeśli nie znalazła dla nich użytku, odrzucała je. Gdy robotnica sprzeciwiła się jej woli, nawet żeby zaproponować lepsze rozwiązanie, królowa po prostu opuszczała jej umysł, zrywała więź pomiędzy nimi i oczami innych Formidów patrzyła, jak oporna robotnica umiera.

I to jej sprawiało satysfakcję. Ponieważ najbardziej ze wszystkiego królowa kopca bała się buntu robotnic. Trutnie tego nie pamiętały - jak mogły? - ale Groszek wiedział, że ulga królowej świadczyła o napięciu, jakiego nie pozwalała doświadczać trutniom. Ukrywała przed nimi swój strach, jak ukrywała przed wszystkimi. Groszek jednak posiadał ludzką umiejętność czytania w myślach. Niezdolni łączyć się bezpośrednio, ludzie musieli nauczyć się odczytywać emocje z zewnętrznych oznak. Większość radziła sobie z tym zaledwie dostatecznie, niektórzy bardzo źle. Groszek zaś stał się w tym mistrzem, ale nie z miłości. Miłość jest złym obserwatorem - interpretuje wszystko na korzyść. Nienawiść zaślepia równie mocno - zawsze zakłada najgorsze. Groszek wprawił się w odgadywanie cudzych zamiarów jako dziecko, żeby przeżyć. Królowa kopca nie wysyłała takich rozpoznawalnych sygnałów - Groszek nie potrafił odczytywać wyrazu jej twarzy. I nie musiał. Ukrywała emocje, o których wiedziała, że powinny pozostać ukryte, ale nie następne, a Groszek umiał odgadnąć, co czuła tuż przedtem. Był przekonany, że jego interpretacje są trafne, a jeśli nie, lepszych nie wymyśli.

Przez trzy dni żył we śnie. W przeciwieństwie do królowych kopca nie próbował niczego ukrywać. Obnażył przed trutniami całe swoje życie. Niech poczują, co to znaczy być człowiekiem, mężczyzną - który ma obowiązki wobec innych, ale ostatecznie jest sam sobie panem, ma wolny wybór, dopóki akceptuje również konsekwencje swoich wyborów.

Dziwiły się. Ze zgrozą przyjmowały niektóre rzeczy na przykład koncepcję morderstwa. Groszek pokazał im, że uznał za morderstwo zerwanie przez królową kopca kontaktu z umysłem robotnicy, w wyniku czego tamta zmarła. Ale tylko rozbawił je swoją w oczywisty sposób mylną interpretacją. Nie jak ty, ona nie jest jak wy, ludzie, nie rozumiesz. Nie wymówiły tych słów, ale wyczyta! to z ich wyrozumiących, ubawionych, protekcyjnych reakcji. Jak dorośli rozmawiający z przedwcześnie rozwiniętym dzieckiem. Jak Groszek rozmawiający z własnymi dziećmi, zanim jeszcze skończyły dwa lata i rozpoczęły całkowicie samodzielną edukację.

W końcu trutnie się wycofały i Groszek zasnął naprawdę, głęboko. Śnił, ale to były zwykłe pogodne sny. Nie koszmary. Obudził się w blasku dnia. Daszek osłaniał jego twarz przed promieniami słońca. Było ciepło, w powietrzu wyczuwało się trochę wilgoci.

- Nakryliśmy cię, kiedy padało w nocy - oznajmiła Carlotta. - Muszą

wywoływać deszcz co najmniej raz na cztery dni, kiedy robią lato, tak jak teraz. Wstrzymali go podczas waszej rozmowy.

- Jaki był jej wynik? - zapytał Groszek.

- Chyba ty powinienes to ocenić - odparła Carlotta.

- Dużo się dowiedziałem, ale najbardziej interesujące było to, czego królowa kopca nigdy im nie pokazała. Nie wierzyły, że cokolwiek pominęła. Ufały, że jest z nimi całkowicie szczerza. Ale w co innego miałyby wierzyć? Kompletnie je omotała swoimi kłamstwami.

- Słyszałam, że rodzice tak robią, żeby chronić dzieci - wytknęła mu Carlotta.

- Ja też tak słyszałem - przyznał Groszek. - Pewnie to konieczne. Po prostu frustrujące dla kogoś, kto pyta.

- Jak się czujesz?

- Fizycznie? Popatrz na aparaturę i powiedz mi, czy żyję.

- Tętno prawidłowe - orzekła. - Inne funkcje życiowe w porządku... jak na kogoś twoich rozmiarów.

- Chyba nic nie jadłem - powiedział Groszek. - Ale pozostałe wyposażenie jest na miejscu. Czy skutecznie przetwarzałem odchody?

- Kupka i siusiu są całkiem zadowolające. Mój scowe robaki kręciły na to nosem, ale rośliny są zadowolone, a przynajmniej żadne jeszcze nie zwiędły.

- Więc moje życie ma sens.

Znowu zasnął. Kiedy ponownie się obudził, był zmierzch i cała trójka dzieci zebrała się wokół niego.

- Ojciec - powiedział Ender. - Mam ci coś do powiedzenia. Dobrego i złego. Głównie dobrego.

- Więc mów - ponaglił Groszek. - Nie chcę umrzeć podczas wstępu. Przejdź do rzeczy.

- Dobrze więc - zaczął Ender. - Formidzi przypadkiem nauczyli mnie, jak wyleczyć naszą przypadłość. Możemy włączyć normalne ludzkie wzorce wzrostu, a potem zakończyć ten proces, nie przekręcając klucza Antona.

- Jak? - zapytał Groszek.

- Kiedy zobaczyliśmy, jak formidzkie robotnice umierają odcięte od królowej, zacząłem się zastanawiać: nie kochają jej, przecież serce im nie pęka z żalu. Właściwie powinny postrzegać jej śmierć jako wyzwolenie, ale umierają. Doszedłem więc do wniosku, że królowe jakoś zmieniły genom robotnic, jak w przypadku rabów, ale się myliłem. Genom Formidów w

tych wyschniętych kokonach jest w zasadzie identyczny z genomem trutni i samej królowej kopca. Różnice tkwią gdzie indziej.

- Gdzie? - zapytał Groszek. - Nie każ mi zgadywać.

- One to robią poprzez organelle. Jak nasze mitochondria. Królowe potrafią przyrządzić bakteryjną zupę w gruczołach, które u trutni i robotnic mają charakter szczątkowy. Potem zarażają jaja robotnic tymi bakteriami i bakterie zagnieżdżają się w każdej komórce ich ciała.

Organelle reagują na mentalne połączenie pomiędzy królową a robotnicami. Wyczuwają, czy połączenie istnieje. Jeśli nie, zatrzymują metabolizm we wszystkich komórkach ciała praktycznie jednocześnie.

- Organelle jako policja myśli - stwierdziła z goryczą Carlotta. - Dranie.

- Tyranki - przyznał Groszek. - Inaczej przez cały czas musiałyby się obawiać buntu wśród córek. Dzięki organelom odzyskały spokój ducha. I mogły mieć znacznie więcej córek, niż potrafiłyby zdominować bezpośrednio samym umysłem.

- Tak - potwierdził Ender. - Trutnie to naturalna adaptacja. Potrafią rozszerzyć zasięg królowej. Ale nawet z przyczepionymi do niej dwudziestoma samcami królowa mogłaby kontrolować najwyżej kilkaset robotnic jednocześnie. Niektóre na pewno wymknęłyby się spod kontroli. Więc któraś z nich wymyśliła zniewalające organelle. Albo może wypróbowywały różne sposoby i wymieniały się rezultatami, aż zdecydowały się na ten jeden.

- I nigdy nie wszczepiły organelli samcom... - zauważył Groszek.

- Nie potrzebowały. Trutnie zawsze stały po stronie królowej, bez względu na wszystko. Wielbiące ją, przyczepione do niej, nieustannie świadome każdej jej myśli...

- Każdej myśli, którą zechciała z nimi dzielić - sprostował Groszek.

Ender przytaknął.

- Każda królowa wytwarza w sobie te organelle i dodaje do jaj robotnic. Samce są naturalne... tak je ukształtowała ewolucja. Ale królowe modyfikują każdą robotnicę i wszystkie doskonale wiedzą, co robią.

- Tworzą niewolników idealnych - stwierdził Cincinnatus. - I najlepszych żołnierzy, którzy walczą i giną na ich rozkaz. Jeśli się opierają, są odcinani, więc i tak umierają. To dla nich życie w desperacji. Może kiedy królowa naprawdę się na nich koncentruje, kochają ją tak jak samce. Ale potem ona przenosi uwagę gdzie indziej. Połączenie wciąż istnieje... musi istnieć, inaczej by umarli... I nawet nie ośmielają się odczuwać nienawiści.

Ale nienawidzą jej, prawda?

- Niektóre bardziej niż inne - przyznał Groszek. - Okropny sekret królowych kopca. Ale, Enderze, w jaki sposób to może być przydatne dla antoninów?

- Leguminotów - poprawił go Cincinnatus, a Groszkowi sprawiło przyjemność, że nalegają na używanie tego określenia.

- Organelle. Próbowaliśmy pracować bezpośrednio na genomie żywych osobników. Volescu stworzył naszą odmianę, kiedy byliśmy embrionami, garstką komórek. Ale żywe organizmy z milionami komórek? Wielokrotnie próbowano zmiany genomu „w locie”, co niekiedy przynosiło pozytywne efekty, jeśli zmiany były bardzo proste.

Groszek znał te fakty.

- Gigantyzm jest nierozłączny z inteligencją, więc tego nie da się zrobić.

- Ale gigantyzm to nie jest skutek... To brak wyłącznika czy raczej wzorcowego przełącznika. Nie możemy dodać wyłącznika do genomu, nie niszcząc inteligencji. Ale możemy umieścić go w organelli.

Takie proste. Takie oczywiste, teraz, kiedy Ender to powiedział. Mimo wszystko...

- Nie można po prostu stworzyć organelli dla ludzi - powiedział Groszek. - Mamy mitochondria od tak dawna, że... połączyły się z komórkami dużo wcześniej, zanim staliśmy się ludźmi. Mitochondria reprodukują się, kiedy komórka się dzieli. Królowe kopca musiały wprowadzać swoje organelle do każdego jaja.

- Zgadza się - potwierdził Ender.

- To jest ta sprytna część planu - dodała Carlotta.

- Wykorzystujemy wirusa, żeby wprowadzić wycinek zmodyfikowanego genu do naturalnie występujących mitochondriów. Otrzymują wyłącznik, a potem następuje jego ekspresja w odpowiednim czasie.

- Tak myślimy - dodał Cincinnatus.

- No, przecież jeszcze nie osiągnęliśmy dojrzałości - zaznaczył Ender. - Zaczekamy i zobaczymy. Ale jedno jest pewne: zmiana nastąpiła w każdej komórce naszych ciał.

- Już to zrobiliście?! - zawołał Groszek. Serce mu mocniej zabiło.

- Spokojnie, spokojnie, ojcze - mitygowała go Carlotta.

- Oczywiście, że zrobiliśmy - odparł Cincinnatus. - Na co niby

mieliśmy czekać?

- Na moje pozwolenie? - podsunął Groszek.

- Już je otrzymaliśmy - przypomniał Cincinnatus. - Kiedy nam wyjawiał swój plan dotyczący tego świata. Jest nasz. Te ciała są nasze. Kazałbyś nam to przemyśleć bardzo dokładnie, rozważyłbyś za nas wszystkie za i przeciw, a potem pozwoliłbyś nam podjąć decyzję. Więc zrobiliśmy wszystko tak, jakbyś nie spał, i podjęliśmy decyzję, i Ender wdmuchnął nam do płuc wirusa w aerozolu, i trochę nas zemdliło, kiedy wirus się rozprzestrzenił w naszych ciałach...

- ...ale teraz czujemy się lepiej, i nasze ciała nie odrzucają zmiany... - dodała Carlotta.

- ...a za kilka lat zobaczymy, czy to działa - zakończył Ender. - Jeśli nie, mamy jeszcze czas, żeby spróbować po raz drugi. Albo czegoś innego. Ale tak czy owak, ta zmiana przejdzie automatycznie na nasze dzieci. Leguminoty nie będą musiały zażywać pigułek czy poddawać się modyfikacjom, żeby zatrzymać się przy normalnym wzroście. Przekażemy to naszym dzieciom.

- Technicznie biorąc - odezwała się Carlotta - ja to przekażę.

- Nie zaprzeczę - przyznał Ender.

Groszek czuł, że łzy kapią mu z oczu. Nie warto było się wysilać, żeby podnieść rękę i je wytrzeć. Niech nawodnią glebę w tym miejscu.

- No więc... dobra robota, co? - zagadnął Ender.

- Och, bardzo dobra.

- Pozostaje pytanie... - zaczął Cincinnatus.

- Nie - przerwał mu Groszek.

- Nawet nie chcesz go usłyszeć? - zdziwiła się Carlotta.

- Chcecie teraz zastosować na mnie tę kurację. Ale już za późno. To, od czego was trochę zemdliło, mnie pewnie by zabiło. A nawet jeśli zadziała? Jestem już taki wielki, że nie mogę nic robić, tylko leżeć tu i wegetować, bo inaczej serce mi wysiądzie.

- Cały czas możesz myśleć - przypomniała mu Carlotta. - Krew ciągle dopływa ci do mózgu.

- Ale ja już nie muszę cały czas myśleć - odparł Groszek. - Wy to robicie. Przeprowadziliście ekspedycję na obcy statek. Uratowaliście grupę umierających obcych, jeśli w ogóle można ich uratować. Przystosujecie się dojedzenia ich protein...

- Zamierzamy też wprowadzić tu trochę ziemskich roślin i zwierząt -

wtrącił Cincinnatus. - Carlotta nie może żyć bez ziemniaków.

- I wyleczyliście swoją śmiertelną chorobę genetyczną - dokończył Groszek. - Teraz musicie tylko utrzymać wasze istnienie w całkowitej tajemnicy przed rasą zwykłych ludzi.

- Wiemy - powiedziała Carlotta. - Dlatego odebraliśmy ci ansibl.

Jej słowa zawisły w ciszy.

- Zamierzałeś powiedzieć swojemu przyjacielowi Enderowi Wigginowi prawdę o królowych kopca, tak? - zapytała.

- Tak - przyznał Groszek.

- Wiedzieliśmy - powiedział Cincinnatus. - Ale Wiggin nie potrafi trzymać języka za zębami. Napisał Królową kopca. Mówi prawdę, nawet jeśli rezultaty są katastrofalne.

- Musimy się ukrywać - podjął Ender. - I zachować w sekrecie również istnienie tej arki, bo gdyby Międzynarodowa Flota o niej wiedziała, odgadliby, że istnieją inne statki kolonizacyjne, na których królowe nie umarły, i zaczęliby ich szukać.

- Obiecaliśmy trutniom, że nie pozwolimy ci narażać w ten sposób przetrwania gatunku Formidów - wyjaśnił Cincinnatus. - Dlatego zgodziły się współpracować.

Czyli nie wysłał wiadomości do Endera Wiggina... No i dobrze. Nie powinien mu się przypominać, nie po takim czasie. I co by dało ostrzeżenie? Jeśli dobrze go zna - a znał go najlepiej ze wszystkich, może oprócz jego siostry Valentine - i tak obudzi królową w kokonie, gdy znajdzie dla niej odpowiednie miejsce. Bez względu na ostrzeżenia.

- Nawet tego dopilnowaliście - burknął Groszek. - Aroganckie małże bękarty.

- Nasi rodzice wzięli ślub - sprostowała Carlotta. - Przynajmniej tak nam mówiłeś.

Tej nocy spał dobrze, lepiej niż od pięciu długich lat w kosmosie, bo jego dzieci były bezpieczne, może nawet wyleczone, i z pewnością potrafiły same zadbać o siebie. Osiągnął to wszystko - jeśli nie bezpośrednio, to wychowując je na takich ludzi, którzy mają odwagę działać, żeby się uratować.

Rano wszyscy byli zajęci, ale Groszkowi wystarczyło, że mógł leżeć i słuchać odgłosów życia na łące. Nie znał nazw żadnych miejscowych zwierzątek, ale jedne skakały, inne ćwierkały i rechotały, jeszcze inne siadały lekko na nim i pełzały albo wiły się, a potem spadały z niego albo

zeskakiwały. Był częścią tutejszego życia. Wkrótce jego ciało jeszcze bardziej włączy się w ten cykl. Na razie był szczęśliwy.

I może po śmierci odkryje, że wyznawcy jednej albo drugiej religii mieli jednak rację. Może Petra będzie tam na niego czekać - zniecierpliwiona, zrządzająca: „Co tak długo?”. „Musiałem skończyć pracę”. „Wcale nie musiałeś... Dzieci miały to zrobić”.

I inni też. Siostra Carlotta, która uratowała mu życie. Buch, która też uratowała mu życie i dlatego umarła. Jego rodzice, chociaż spotkał ich dopiero po wojnie. Jego brat Nikolai.

Groszek ponownie się obudził. Nie wiedział, że zasnął. Ale teraz dzieci zebrały się wokół niego z poważnymi minami.

- Miałeś niewielki atak serca - powiedział Cincinnatus.
- To się nazywa szczęście - oznajmił Groszek.
- Nowa nazwa - skrzywiła się Carlotta. - Nie wiem, czy się przyjmie.
- Ale teraz bije - zauważył Groszek.
- Za szybko, ale bije - potwierdził Cincinnatus.
- Chcę wam coś powiedzieć - zaczął Groszek. - Wasza matka była miłością mojego życia.

- Wiemy - szepnęła Carlotta.
- Kochałem innych ludzi, ale ją najbardziej, najmocniej. Ponieważ stworzyliśmy coś razem. Stworzyliśmy was.

Groszek zaczął się przekręcać na bok.

- Hej! Co ty wyprawiasz?! - zawołał Cincinnatus.
- Nie muszę się przed tobą tłumaczyć - odparł Groszek. - Jestem rodzicem. Jestem Olbrzymem.

- Właśnie miałeś atak - przypomniał mu Ender.
- Myślisz, że nie czuję różnicy we własnej piersi? - rzucił Groszek.

Ostrożnie oparł się na kolanach i łokciach. Nie przybierał tej pozycji co najmniej od roku, odkąd przestał próbować się przekręcać. Nie wiedział więc, czy zdobędzie się nawet na to. Ale oto stanął na czworakach, jak dziecko. Zdyszany, wyczerpany.

Nie dam rady.

- To, czego chcę - powiedział cicho - to stanąć na tej łące i iść w blasku słońca.

- Dlaczego nie powiedziałeś? - zapytała Carlotta.

Położyli go z powrotem na hamaku, a potem wyciągarką podźwignęli do pozycji siedzącej i w końcu postawili na nogi.

Grawitacja, którą odczuwał, była tak niewielka, niemal zerowa, ale gdy stanął prosto, nawet trochę podtrzymywany przez hamak, ledwie mógł oddychać.

- Teraz pójdę - oznajmił.

Nogi miał jak z waty.

Trutnie podleciały do niego i uczepiły się jego ubrania, trzepocząc skrzydełkami, żeby go odciążyć. Dzieci zebrały się wokół jego nóg i pomogły mu zrobić jeden krok, potem drugi.

Czuł słońce na twarzy. Czuł ziemię pod nogami. Czuł, że ludzie, których kocha, podtrzymują go i prowadzą. To wystarczyło.

- Teraz się położę - powiedział Groszek.

A potem się położył.

A potem umarł.

KONIEC